

DEC 1975 7-1-62483

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/339**

**1975**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. KOŁAKOWSKI :

**NA MARGINESIE OSTATNIEJ KSIĄŻKI  
SACHAROWA**

T. STALIŃSKI :

**LUDZIE Z AKWARIUM**

ZD. MAREK :

**PRZYPIŁY I ODPIŁY EUROPY**

A. AMALRIK :

**USA I ZSSR W JEDNEJ ŁODZI**

# SPIS RZECZY

Leszek Kołakowski:	<i>Na marginesie ostatniej książki Sacharowa</i> .....	3
Zdzisław Marek:	<i>Przypływy i odpływy Europy</i> .....	11
Tomasz Staliński:	<i>Ludzie z Akwariów</i> .....	21
<b>WIERSZE</b>		
Andrzej Busza:	<i>Kohelet</i> .....	35
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Andriej Amalrik:	<i>USA i ZSSR w jednej łodzi</i> .....	45
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	54
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	66
<b>SĄSIEDZI</b>		
Ignazio Silone:	<i>Akt rewolucyjny</i> .....	74
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	74
Józef Lewandowski:	<i>Memoriał Vaclava Havela</i> .....	80
Dominik Morawski:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	88
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	89
<b>K R A J</b>		
Benedykt Heydenkorn:	<i>Międzynarodowa konferencja etniczna w Krakowie</i> .....	91
B. B.:	<i>Kronika gospodarcza</i> .....	95
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Janusz W. Ostrowski:	<i>Kongres Naukowców Polskich w Montrealu</i> .....	99
Bohdan Brodziński:	<i>Co zostanie z polskiego Londynu?</i> .....	106
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rozważania o literaturze zwanej „emigracyjną”</i> .....	113
<b>KSIĄŻKI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Krótko o książkach</i> .....	119
Stefan Karaibski:	<i>Satyryk na ambonie</i> .....	124
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Balcerowi następcy</i> .....	128
Olga Scherer:	<i>„Język ich stał się nam obcy”</i> .....	132
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	134
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	135
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	136
Al., M. E. Bończa-Tomaszewska, C. A. Halicki, O. Wajdowa:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	145
◆		
Redakcja:	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1975</i> .....	149
	<i>Do Prenumeratorów „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”</i> .....	160

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Grudzień - Décembre 1975

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

3

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM  
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

**NOTA BIOGRAFICZNA**

Zdzisław MAREK, ur. w r. 1923. Na emigracji przebywa od r. 1945. Studia lekarskie w Monachium i Sydney, dyplom na uniwersytecie sydneyjskim (M.B., B.S.). Pracuje w swoim zawodzie.

W okresie studenckim w Monachium w latach 1945-49 był jednym z inicjatorów i założycieli miesięcznika „Student Polski”, jak również członkiem komitetu redakcyjnego. Ogłaszał wiersze i prozę w prasie emigracyjnej. Jest autorem dwóch tomików wierszy wydanych w Londynie, trzeci w przygotowaniu. Pracuje obecnie nad powieścią oraz tomem szkiców krytycznych.

**SPROSTOWANIA REDAKCJI**

We wrześniowej *Kulturze*, we wpłatach na „Fundusz Kultury”, przez pomyłkę umieszczono po raz drugi dar p. Anny Radomyskiej z Londynu — odnotowany już w nrze lipcowym. Ponadto, przy darze p. Zdzisława Marka z Australii mylnie podano tytuł profesora.

W październikowej *kulturze* przez pomyłkę nie podano, że autorem not: „Odpowiedź Redakcji” i „Zgrzytliwe echo przeszłości” w dziale „Sąsiedzi” jest p. Kazimierz OKULICZ, a nie Redakcja.

**WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »**

Ada i Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass. (USA), po raz czwarty	F. 440,00
Stanisław V. Dobroniak, Sztokholm	F. 81,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz drugi	F. 10,50
Ryszard Głodkowski, St-Max (Francja), po raz jedenasty	F. 100,00
Inż. Z. L. Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz drugi	F. 28,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz ósmy	F. 57,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz trzeci	F. 44,00
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz drugi	F. 184,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA)	F. 440,00
Ks. Henry Maria Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 13,00
Ilse Maybach, Heilbronn (NRF), po raz dwunasty	F. 134,24
Iza Neyman, Nicea, zamiast wieńca na grób zmarłej 7. 10. 1975 r. pod Paryżem, dr Anieli Klein, wybitnej chemiczki, b. więźniarki obozów w Ravensbrück i Dachau, pracownika naukowego C.N.R.S. w Paryżu	F. 300,00
B. Partyka, Wallington, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 60,00
Henryk Stebelski, Montmélian, Avon (Francja) dla uczczenia pamięci Jana Libracha, którego prochy spoczęły w dniu 29. 10. 1975 r. na cmentarzu Montmorency pod Paryżem	F. 200,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz siedemnasty	F. 65,00
Zdzisław T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz dziewiąty	F. 50,00
Anonim z Polski	F. 88,00
Bezimiennie od Przyjaciela z USA	F. 22,00
Bezimiennie, New York	F. 48,00
N.N. ze Stockholmu	F. 30,00

DZIĘKUJEMY!

3

**Na marginesie ostatniej książki  
Sacharowa**

Manifest Andrieja Sacharowa nie wymaga objaśnień. Nie trzeba też tłumaczyć, dlaczego jest to tekst ważny dla świata: ważny zarówno przez swoją treść, jak i przez to, kto go napisał i gdzie napisał. Jest ważny dla Zachodu, dla Rosji i dla nas Polaków, ile że los nasz i perspektywy w oczywisty sposób związane są z losem tej Rosji, która wydarła się z duchowego zniewolenia.

Nazwisko Sacharowa obiegło świat 8 lat temu. W ciągu tych 8 lat, dręczony nieustającymi szykanami i prześladowaniem, Sacharow stał się jednym z najważniejszych symboli ducha swobody i rozumu, który ostaje się w walce z przygniatającą przewagą albo z pozorną wszechmocą despotyzmu. Jego obecność sama jest otuchą dla świata. Jest też niemiłym kolcem, dziurawiącym zasłonę frazesów i przemilczeń, którą chroni się na Zachodzie tylu manipulatorów słowa publicznego, aby nie wiedzieć o tym, od czego losy świata najbardziej zależą.

Chodzi nade wszystko o to — i chyba nie zniekształcam myśli Sacharowa upatrując w tym ośrodek jego apelu — że ustrój Związku Sowieckiego nie jest „sprawą wewnętrzną” tego kraju, którą można by spokojnie powierzyć rozmyślaniom jego mieszkańców, ale jednym z fundamentalnych wyznaczników sytuacji światowej. Powiedzenie takie jest właściwie trywialne, lecz bynajmniej za takie nie uchodzi, przeciwnie. Nawet z punktu widzenia formalnie uznanych zasad międzynarodowego porozumienia gwałcenie praw ludzkich nie jest „sprawą wewnętrzną” żadnego państwa; wszystkie państwa, które zgodziły się podpisać

Powyższy artykuł jest postowiem do książki A. Sacharowa pt. „Mój kraj i świat”, która ukaże się w „Bibliotece Kultury” w końcu bież. roku, w tłumaczeniu Michała Kaniowskiego.



Kartę Praw Człowieka — choćby ich ustroje w najjaskrawszy sposób urągały wszystkim normom tego pięknego dokumentu — zgodziły się tym samym, że pomiatanie niezwykłymi uprawnieniami ludzi w jakimkolwiek kraju — w Rosji Sowieckiej lub w Chile, w Indonezji lub w Czechosłowacji — podlega międzynarodowej kontroli i jest sprawą publiczną całego świata, niezależnie od tego czy istnieją środki, aby efektywnie zmusić rządzących do przestrzegania tych zasad. Faktycznie, jest pod dostatkami doświadczeń, które uczą, że chociaż moralna presja nie może, oczywiście, sama przez się spowodować zmiany żadnego ustroju, ani skłonić klasy rządzącej do rezygnacji ze swych przywilejów, nie jest ona wcale bezskuteczna i w poszczególnych wypadkach udaje się z jej pomocą wymuszać różne ustępstwa.

Ustrój sowiecki nie jest jednak „sprawą wewnętrzną” tego kraju w innym jeszcze znaczeniu, o którym Sacharow pisze: w tym mianowicie, że system rządzenia jest wprost i najoczywistej przyczynowo związany z sowiecką ekspansją imperialną, a ekspansja ta może w pewnych warunkach stać się — bez względu na obecne intencje przywódców — zapalnikiem globalnej wojny, ruiny cywilizacji i może zagłady ludzkości. Jeżeli uznajemy (a mało kto odważy się nie uznać) regułę, wedle której sprawa uchronienia ludzkości przed globalną wojną musi mieć absolutny priorytet względem wszystkich innych, to łatwo zauważyć, że wewnętrzny reżym sowiecki jest dla świata sprawą nieporównanie ważniejszą od reżymu jakiegokolwiek innego kraju, gdyż możliwość wywołania wojny światowej na skutek wewnętrznych tendencji ustroju w żadnym innym wypadku (Chin, Stanów Zjednoczonych czy mniejszych mocarstw) nie jest nawet w przybliżeniu tak znaczna.

Ustrój sowiecki, w rzeczy samej, nie tylko umocnił (czy może raczej uratował) i utrwalił ekspansjonizm caratu, dostarczając mu nowej podbudowy ideologicznej, nazywanej, zależnie od okoliczności, marksizmem-leninizmem albo internacjonalizmem proletariackim albo nieśmiertelną przyjaźnią narodów albo walką o pokój. Stworzył on ponadto nieznanne przedtem sposoby mobilizacji wszystkich możliwych środków materialnych i społecznych jako instrumentów ekspansjonizmu, a ta zdolność do mobilizacji nazywa się z kolei wyzwoleniem ludu pracującego od wyzysku (środki produkcji, włączając ludzi, są własnością państwa, a państwo jest własnością partii, a partia własnością swoich przywódców) albo centralizmem demokratycznym albo jednością moralną społeczeństwa albo jeszcze inaczej. Jednym z najważniejszych i nieodzownych narzędzi tej zdolności mobilizacyjnej jest monopol środków komunikacji i pozbawianie społeczeństwa informacji o świecie, czyli po prostu utrzymywanie ludzi w ciemności. Ignorancja

wielomilionowych mas zamieszkujących ogromne mocarstwo i ich izolacja od świata jest z oczywistych powodów dodatkowym czynnikiem wzmagającym niebezpieczeństwo wojny światowej; ludzie pozbawieni środków samodzielnej oceny wydarzeń i wiadomości o wydarzeniach są bezbronni zarówno materialnie jak duchowo w obliczu państwa. Nie zanoszą się jednak na to, by zasada swobodnego przepływu informacji, werbalnie uznana na festiwalu w Helsinkach, mogła w bliskiej przyszłości przestać być tym, czym jest — papierową ozdobą, która uspokaja sumienie zachodnich konstruktorów fałszem podszytej *détente*; sowiecki system nie może tej swobody rozszerzać inaczej, jak pod naciskiem, jako że jego zdrowie w obecnej formie zależy od ignorancji społeczeństwa i od całego systemu dezinformacji. Nacisk taki wszelako nie jest niemożliwy i przyczynia się do osłabienia, nie zaś do wzrostu wojennego zagrożenia.

Wnioski te, jakkolwiek łatwe do uzasadnienia są trudne do przyjęcia — choć nie z tych samych powodów — zarówno dla rządów państw demokratycznych Zachodu, jak dla nie-komunistycznej zachodniej lewicy (o komunistycznej zgoda nie wspominając). W pierwszym wypadku powodem i niechęci i strachu przed „wtrącaniem się w sprawy wewnętrzne” bloku sowieckiego jest nie tyle śpiętrzenie mnóstwa kłopotów ekonomicznych i społecznych w tych krajach, ile wygodne złudzenie, że imperializm sowiecki zostanie nasycony i uspokojony (jak obiecuje), gdy się zalegalizuje jego dotychczasowe zdobycze. W ostateczności zaś mamy zawsze argument: „przecież nie będziemy prowokować wojny światowej z powodu ucisku Ukraińców albo zniewolenia Czechów!” — jak gdyby wojna światowa była jedyną alternatywną możliwością w stosunku do kolejnych aktów tchórzliwego *appeasement*. Co się zaś tyczy moralnej strony sprawy albo gwałcenia praw ludzkich, to zawsze pozostaną obiekty mniej niebezpieczne: protesty przeciwko torturom w Chile lub egzekucjom Basków w Hiszpanii mają tę zaletę, że są niekosztowne; nie wynika stąd, że są zbyt cenne; chodzi tylko o to, że moralne oburzenie przeciwko despotyzmowi z osobliwą regularnością płonie najgoręcej tam, gdzie despotyczne systemy, poza tym iż są despotyczne, są także słabe w międzynarodowym układzie sił i nie mają środków retorsji przeciwko potępiającym je rządów lub moralistom.

Co się tyczy nie-komunistycznej i nie-rządzącej lewicy, to ma ona dodatkowe powody do samo-oszukiwania (nie bez nielicznych wyjątków, trzeba dodać; zaliczam do nich, na przykład, zespół wydający w New Yorku pismo *Dissent* — jedno z najuczciwszych czasopism politycznych, jakie mi są znane i którego przewodnią tendencję podzielam). Dzieli ona świat na lewicowy i prawicowy — nigdy nie podając wyraźnie kryteriów tego podziału

— i system sowiecki z niewyraźnych powodów umieszcza „mimo wszystko” na lewicy („oczywiście, wiemy, że różne błędy były popełnione, nawet zbrodnie, wiele tam jest braków, ale jednak...”). Nie wiadomo dokładnie, co jednak; najśmielsi odważają się nawet łagodnie sugerować, że ustrój chiński też jeszcze nie osiągnął zupełnej doskonałości, lecz takich jest niewiele). To „mimo wszystko” jest jądrem i streszczeniem całej lewicowej myśli; „mimo wszystko” system sowiecki na świadectwie przez Historię wydanym, a przez lewicę naukowo odkrytym, ma wyższy stopień, niż demokratyczne systemy świata zachodniego, gdzie przecież istnieją prywatne fabryki i posiadłości ziemskie. Tym samym mamy już zasady dystrybucji oburzenia moralnego: prześladowanie Basków w Hiszpanii dobrze się nadaje na obiekt zgrozy. Ale cóż w sprawie Kurdów Irackich, o których Sacharow w swoim orędziu nader na czasie wspomina? Nic, oczywiście. Któż wie, ilu Kurdów wyróżniło w ciągu ostatnich lat? Ale Irak z definicji jest „postępowy”, jako że rządzą nim anty-syjonści (bynajmniej nie anty-semici, oczywiście; postęp ludzkości, jak widać ostatnio, jest tak znaczny, że anty-semityzm całkiem znikł z powierzchni ziemi; niechże jaki lewicowy moralista pokaże anty-semitę! Nie ma, przypadli ku uldze ludzkości. Za to anty-syjonistów bez liku i wszyscy ogromnie, ale to ogromnie postępowi). Tak się przypadkiem składa, że Irak należy do bloku państw, które eksportują ropę naftową, więc trudno również oczekiwać od politycznych liderów Zachodnich demokracji, by zajmowali się losem Kurdów. Zawsze zostanie jakiś mniejszy despotyczny kraj, który ani nafty nie ma, ani nie jest sprzymierzony ze Związkiem Sowieckim lub Chinami, ten będzie służył wstrząsaniu sumień. Skądinąd, im bardziej skuteczny i konsekwentny despotyzm, tym mniej wiadomo o jego sprawach wewnętrznych, co też pomaga dobrej dystrybucji moralnego oburzenia: wszyscy wiedzieli o torturach i prześladowaniach w Grecji pułkowników, bo despotyzm był mało sprawny, a kontrola informacji bardzo niedołączna, ale któż wie, co się dzieje w północnej Korei?

Rzadziej dzisiaj, to prawda, słycać na lewicy ów osłupiający nonsens, którym Trocki do końca życia karmił siebie i swoich czytelników: w Związku Sowieckim klasa robotnicza została kompletnie wywłaszczona politycznie, pozbawiona elementarnych praw, zdeptana i zniewolona, ale taż klasa robotnicza nadal sprawuje tam dyktaturę, gdyż fabryki i ziemia są własnością państwową. Niemniej znaczna większość lewicy nadal przeżarta jest wstydem przed uznaniem, że sowietyzm jest absolutystycznym i despotycznym systemem rządzenia, utrzymującym przemocą przywileje klasowe, z nadzwyczaj silnie wbudowaną tendencją imperialistyczną. Wszystkie cechy tego społeczeństwa, o których Sacha-

row pisze — dręczące ubóstwo ludzi, beznadziejność życia, ucisk społeczny, narodowy, kulturalny i religijny, przemoc jako główne narzędzie we wszystkich sprawach wewnętrznych i międzynarodowych — są „w zasadzie” wiadome. Nie jest tylko „w zasadzie” wiadome, w jaki sposób ten kraj, który mógłby zapewnić swojej ludności wszystkie błogosławieństwa życia — zasobny we wszystkie surowce, wszystkie klimaty, mający ogromne obszary niezaludnione lub słabo zaludnione, bogatą i zróżnicowaną tradycję kulturalną, wybitne umysły i talenty — stał się zmorą ludzkości i nie potrafi nawet, jak potrafił tradycyjny imperializm, korzystać ze swojej imperialnej potęgi, aby poprawiać życie własnej ludności, ale zużywa wszystkie zasoby na niekończącą się rozbudowę militarnej i policyjnej maszyny ekspansji i ucisku.

Zakłamanie znacznej większości zachodniej lewicy, jej podwójne standardy oceny, jej usystematyzowane przemilczenia oraz chroniczne a dobrowolne iluzje, wszystko to sprawia, że niemal zupełnie nie mogą porozumieć się z nią ci, którzy są świadkami świata komunistycznego. Również nieuchronna jest nieufność i podejrzliwość względem wszystkich formacji lewicowych, które składają deklaracje demokratyczne, a sprawy wschodniego socjalizmu zbywają cząstkowymi „zastrzeżeniami” lub pomijają milczeniem. Najbardziej charakterystyczne pod tym względem są tak zwane „zliberalizowane” partie komunistyczne, zwłaszcza włoska. Oczywiście, utrata pełnej kontroli Moskwy nad partiami komunistycznymi poza „blokiem” jest faktem znaczącym i ważnym. Jest znaczące, że włoscy komuniści oświadczają, iż uznają zasady demokracji wielopartyjnej, wolnych wyborów i wolnej prasy jako nie „taktyczne”, ale „strategiczne” założenia (co ma zapewne znaczyć obietnicę, że będą one trwały długo, nie zaś krótko, gdyby komuniści mieli dojść do władzy). Jest też znaczące, że nie chcą brać na swoje konto takich wydarzeń, jak inwazja w Czechosłowacji. Mimo to, nie jest wcale wyraźne, dlaczego należałoby te deklaracje brać dosłownie. Nie jest to bynajmniej sprawa subiektywnych przekonań komunistycznych przywódców; nie jest to nawet sprawa — racjonalnej skądinąd — ufności do doświadczenia (gdziekolwiek komuniści dochodzili do władzy, swobody obywatelskie i instytucje demokratyczne były niszczone i nie ma od tej zasady wyjątków; dlaczegoż więc mielibyśmy teraz spodziewać się czego innego?). Istotne jest raczej, że również włoscy przywódcy komunistyczni, przy swoich obietnicach do tych lub innych posunięć sowieckiego rządu, nadal uważają się za wyznawców leninizmu (który obiecywał instytucje demokratyczne zniszczyć i obietnicy dotrzymał) i nadal uważają się za segment ogólnego „ruchu”, którego państwo sowieckie jest innym segmentem. Nie ma więc żadnego powodu przypuszczać, by wyrzekli się oni świę-

tej wiary, iż sowiecki system polityczny jest „historycznie wyższą” i nadzwyczajnie postępową formą organizacji społecznej i mimo takich czy innych „niesłusznych” posunięć zasługuje zawsze na totalne poparcie w jakimkolwiek konflikcie z „burżuazyjnymi” demokracjami. Krytyka poszczególnych „błędów” ze strony komunistów może się zdawać czymś niesłychanym tylko na tle ongiś panującej zasady bezwarunkowego i absolutnego entuzjazmu i zachwyty nad każdym słowem sowieckich wodzów i każdym uderzeniem historycznie postępowej pałki. Krytyka taka nie może jednak budzić zaufania, skoro włoscy komuniści nie są w stanie uznać sowieckiego socjalizmu za to, czym jest właśnie — za instrument totalitarnego ucisku i państwo, które z punktu widzenia praw obywatelskich, poziomu życia materialnego, zdolności do postępu technicznego, praworządności, stosunków międzyludzkich dostępu ludzi do informacji i płodności kulturalnej (czyli z punktu widzenia najważniejszych cech, wedle których można społeczną organizację oceniać) stoi znacznie niżej od wszystkich „burżuazyjnych” demokracji świata zachodniego z ich wszystkimi kłopotami, ułomnościami, korupcją i nierównością. Jest to, oczywiście, dopuszczenie możliwości fantazyjnej, gdyż komuniści, uznając tyle, przestaliby być komunistami, a w każdym razie odcieliby się radykalnie od leninizmu i leninowskiego dziedzictwa.



Przyznanie Sacharowowi pokojowej nagrody Nobla w październiku 1975 powitać trzeba z uznaniem nie tylko jako wybitnie zasłużony hołd dla jego niestrudzonej walki, lecz także jako dowód, że pogroźki i szantaże Moskwy nie są mimo wszystko całkiem skuteczne. Można ten akt porównać z inną nagrodą pokojową Nobla: tą, którą w 1936 roku dostał Karl von Ossietzky oczekujący wtedy śmierci w hitlerowskim więzieniu. Wynikiem, jak wiadomo, był rozkaz Hitlera, zakazujący od tej pory Niemcom przyjmowania nagrody Nobla. Zestawienie tych dwóch wydarzeń, oddzielonych prawie czterdziestoma latami, nadaje się na przedmiot różnych refleksji, które jednak możemy sobie na razie darować.

Dla nas, narodów sowieckiej strefy, apel Sacharowa jest szczególnie ważny z racji naszej sytuacji narodowej. Dla wszelkiej walki o prawa obywatelskie, instytucje demokratyczne i prawo narodowego samostanowienia w tej strefie oparciem naszym nie są ani rządy zachodnich demokracji ani zachodnia lewica ani zachodnia prawica; takim oparciem jest wspólnota ludzi i ludów wewnątrz sowieckiego obszaru panowania. Rządy demokracji zachodnich nie tylko zaakceptowały powojenne granice między blo-

kami (nie po prostu między państwami) jako stały porządek europejski, ale zainteresowane są bardziej w stabilności systemu sowieckiego, niż w jego dezintegracji. Nie jest wyobraźną sytuacją, w której Polska z oddzielną mogłaby odzyskać prawo samostanowienia narodowego i instytucje demokratyczne tak, aby poza tym wszystko pozostało po dawnemu. Odwracanie się od Rosji i Ukrainy, obojętność dla ich spraw i aspiracji, szkodzi wybitnie zarówno nam, jak Rosjanom i Ukraińcom; oznacza tyle, co przekazanie urzędowej propagandzie wszystkich spraw związanych ze stosunkami narodów, które żyją i będą żyły obok siebie. Tym czego chcą władcy sowieccy jest właśnie, by Polacy, Rosjanie i Ukraińcy znali się, chcieli się znać i chcieli się rozumieć wyłącznie za pośrednictwem maszyny władzy i jej propagandowych sloganów — wszystko jedno, czy ktokolwiek w nie wierzy. Rosjanie są pierwszymi ofiarami imperialnej ekspansji, w której używani są jako narzędzia. Wielu Rosjan wie o tym i wie wobec tego, że Rosjanie nie mogą się wydrzeć z ucisku, póki sowiecka władza uciska inne, nie-rosyjskie narody. Ci Rosjanie, którzy przyjmują na serio zasadę narodowego samostanowienia zarówno w stosunku do ludów zależnych — Polaków, Czechów czy Węgrów — jak w stosunku do narodowości nie-rosyjskich republik, są nie tylko naszymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, ale najważniejszymi sprzymierzeńcami, jakich mamy. Nie jest prawdą, że historycznie zakorzenione wrogości oddzieliły nas nieprzekraczalną barierą. Wrogości takie są uleczalne w warunkach swobody i swobodnej komunikacji, która jest niezbędna, by racjonalne porozumienie wypierało stare nienawiści. Trudno o większe historyczne powody do wzajemnej nienawiści, niż te, jakie dzieliła Francuzów i Anglików, a przecież — choć ślady tradycyjnych niechęci można nadal po obu stronach kanału spotkać — widać, że utraciły one siłę, która by oddzielała narody i uniemożliwiała współpracę. Zapewne, w stosunkach polsko-rosyjskich i polsko-ukraińskich sprawy są trudniejsze, lecz nie dlatego, by przeszłość je trudniejszymi czyniła, ale dlatego, że stosunki te poddane są presji duszącego kłamstwa, a oficjalne hasła przyjaźni nie tylko nie przyczyniają się do wygasania tradycyjnych wrogości, lecz je wzmacniają, skoro wszyscy wiedzą, że to, co się zwie „przyjaźnią polsko-radziecką” nie jest czym innym, jak frazeologicznym wyrażeniem i uświęceniem tego oto faktu, że Polska nie jest państwem suwerennym, lecz znajduje się pod kontrolą obcego mocarstwa. Odpychać z pola widzenia sprawy stosunków naszych z Rosją i Ukrainą to tyle, co poddać się presji instytucjonalnego kłamstwa; porozumienie i przyjaźń z nie-urzędową Rosją i Ukrainą jest głównym warunkiem, pod którym wspólna sprawa znoszenia ucisku społecznego i narodowego ma szansę wygranej. Alternatywną

możliwością jest eksplozywna dezintegracja sowieckiego systemu w wyniku jakiegoś gwałtownego kryzysu, połączona z chaotyczną, wielo-narodową masakrą i zwiększonym znacznie niebezpieczeństwem globalnej wojny; jest to perspektywa przeciwna temu, czego chcą — mimo wszystkich między nimi odmienności — zarówno Sacharow, jak Sołżenicyn; jest też przeciwna nadziei na to, że cywilizacja europejska przetrwa napór barbarzyństwa.

Leszek KOŁAKOWSKI

New Haven, 26. X. 1975

## Przyptywy i odpływy Europy

„... Nie był szczęśliwy, nie próbował nawet wmawiać w siebie, że jest szczęśliwy. Tęsknił za Europą tęsknotą podobną do uczucia głodu: Florencja z wieżycą Giotto o białych odcieniach: lub Pincio w Rzymie: albo lasy w Berkshire...”

... Był to maj, koniec maja — prawie sezon dzwoneków i zielone liście rozwijające się na żywoptotach. Czy wysoka kukurydza rosnąca pod oliwkami na Sycylii... czy też Bawaria z fioletowymi i żółtymi ostami i Alpy jeszcze zlodowaciałe. O Boże, być w Europie, ukochanej, ukochanej Europie...”

D. H. Lawrence, *Kangaroo*

Brzeg Pacyfiku. Miasteczko Thirroul niedaleko Sydney. Wycinek kontynentu, zbyt przytłaczający jako tło, drobne sprawy zagubionych ludzi. Krystalizacje, dlaczego właśnie teraz. Co oznaczają te próby przeciwstawienia sobie rzeczy pozornie niezwiązanych ze sobą.

I tu właśnie, Lawrence. Czytany dwadzieścia lat temu i powtórnice na pokładzie statku, którym wracałem z Europy do Australii. Europa i Australia, czyli rok w Europie po dwudziestu latach na antypodach. Cokolwiek było przedtem, zatraca się powoli, zdawałoby się, bezpowrotnie. Myśl natrafia na ciemności. Przyptyw Pacyfiku: scena pełna patosu, nie podobna z nią walczyć. Zacierające się światła. Myśli, wciąż tylko wczorajsze myśli. Parabole, kontrasty.

Lawrence był w Sydney zaledwie dwa dni (1922 roku), później odwiedził Thirroul, wtenczas małą osadę na południowych peryferiach metropolii, wciśniętą pomiędzy ostrą skarpe wybrzeża i Pacyfik. Thirroul rozrósł się obecnie, są tu kościoły, sklepy, hotele. Jadąc główną ulicą ocean błyska raz po raz pomię-

dzy drzewami i mrowiem domków pokrytych czerwoną dachówką, z ogródkami, w których róże bledną od upału.

Szczególnie ładne jest wybrzeże: na północ, widziany pod słońce łańcuch wzgórz oddzielający białe zatoki. Na południe widok jest surowszy, światła podkreślają kontrasty i mocniej obrysowują krawędzie.

Do Thirroul można z Sydney dojechać albo szosą nadbrzeżną, lub też przez tzw. Bulli Pass. Przed skretem na Bulli Pass jest park, gdzie można zatrzymać się na piknik. Tablica głosi: „World Renowned Views” etc. Widok stąd jest majestatyczny: na południe, wybrzeże jak na dłoni w łukach rozlicznych plaż i znie-ruchomiące z tej wysokości piany przyboju. Warstwy wody naj-pierw zielono-błękitne, dalej błękitne, wreszcie w kierunku ho-rizontu kobalt ciemniejący w mgiełkę, oddzielającą niebo od wody. Wzgórza wcinają się w Pacyfik i na zachód spływają w płaskowzgórz. Ogromne bładniebieskie niebo przenikające ziemię, wodę i człowieka.

Dzisiaj widok jest taki sam, jak zawsze, może tylko więcej jest dymów nad przemysłowym Wollongong i Port Kembla. Z czym należałoby porównać ten udany obrazek? Czy wytrzymuje on porównanie z krajobrazem włoskiej Riwieri? Widok z Ana-capri jest potężniejszy, woda jakaś inna i bliższa, gdy z tarasu hotelu Caesarus Augustus patrzy się nostalgicznie na ciągnące gromadami mewy, a woda marszczy się z wielkiego oddalenia. Zapewne jest to inne. Nie chcę porównywać, nie chcę iść dwois-tymi ścieżkami Lawrence’a.

W przypadku Lawrence’a konflikt dwóch światów wydaje się pozorny. Lawrence nie był w Australii długo, niewystarczająco długo, by przesiąknąć obietnicami nowych światów; jego konfron-tacja z Australią była względnie nieskomplikowana. Polegała w rezultacie na potępianiu wszystkiego, co Europą nie jest i w niczym Europy nie przypomina. Emigrant XX wieku, w sytua-cji nieco podobnej, nie stara się myśleć o tym wszystkim, jeśli fakultet samodzielnego myślenia nie uległ jeszcze u niego atrofii w ostrym świetle południa. Jeśli natrafi przypadkiem na książkę Lawrence’a, jeśli do Europy powróci i jego europejskość ożyje, dziwaczność jego sytuacji duchowej stanie się jasna i tragizm inte-lektualny powiększy się i wyolbrzymi. Jego wielka podróż będzie przeżywana na nowo w tej właśnie perspektywie: przez pęknięte szkło, w rozbitym lustrze. Będzie starał się odtworzyć czystość obrazu przywołując wspomnienia — lecz zamiast jednolitego obra-zu powstanie mozaika: za wiele smutnych kolorów, za wiele uproszczeń.

Lawrence-pisarz był bardzo wrażliwy na piękno przyrody, ale

instynktownie obracał się w innym żywiole: ludzkim. Dlatego odtrącała go pustka. Jego myśli, jego słowa i jego uczucia gubiły się bez rezonansu w przestrzeniach. Odczuć to powinien każdy, kto tworzy na tym kontynencie. Zamiast przedłużenia w materii ludzkiej, jedynej nieśmiertelności w jakiej twórczość może prze-trwać, boryka się z echem odbitym od obojętnych rzeczy, czasem klinicznie wiernym i tym bardziej nienawistnym, czasem zdefor-mowanym bez sensu.

A więc natura i sztuka, znów, tu nad Pacyfikiem, w dekora-cjach abstraktu. Przypływ potężnieje, myśli rozbiegają się. Anta-gonizm pomiędzy naturą i sztuką, zablizniany często, ożywiany w paradoksach, wydaje się w mojej sytuacji bardzo realny. Czy tylko w mojej sytuacji? Czy możemy naturę pominąć? Czy w naszym dążeniu do pełni odczuwania i pełni ekspresji nie ma miejsca na różnorodność nie niszczącą monolitu? Postęp niszczy naturę, sztuka wyprzedzająca czas wydaje się usprawiedliwiać nasze barbarzyństwo. Czy naprawdę natura jest wrogiem formy, czy już nie możemy się niczego od niej nauczyć?

Ale teraz, nad Pacyfikiem, ostatnie światła zachodu giną szyb-ko i miasto zaczyna świecić w oddaleniu. Wczoraj i dzisiaj stają się jednoznaczne. Irracjonalny przypływ Europy zaczyna się na dobre.

Najpierw jest próba autoironii, jako antidotum: wyłączyć się z wszystkiego, odrzucić wszystko. W końcu pozostaje szmer i plusk wody jako rzecz pierwsza i ostatnia. Chaos myśli i świa-domość, że wody prawie już nie widać w mroku. Przypomnienie, że zawsze lubiłem patrzeć w wodę: najbardziej w strumieniu, rzeki. Później powracał kraj rodzinny w krótkich, bolesnych obra-zach, zabijany następną myślą, oceanem, rzeczami większymi, bar-dziej w danej chwili dostępnymi dla myśli. Im dłużej myśli się o oceanach, im dłużej się w nie patrzy, tym bardziej stają się one nierealne i maleją: stają się zupełnie nieszkodliwe, jak na rysunku dziecka, bardzo dwuwymiarowe jakies, nieme. Powracają w świadomość nieoczekiwanie, gdy zapomina się o ich istnieniu, wszechwładne i potężniejsze, niż kiedykolwiek. Jak wtedy, w młodości. Zawsze bliskie, choć nie te same.

Ale dzisiaj, w epoce wygodnego „piekiełka”, wybrukowanego na odmianę złymi chęciami, nie wolno wracać do rzeczy tak kom-promitujących, jak refleksje. Rozeznanie tego nowego przykaza-nia niewiele mi pomaga. Następna fala, następne przeżycie. Jest wczesny ranek, wychodzimy na taras hotelu z Oleńką i Hanią. Woda podchodzi do stóp, przyjazna w kryształowych blaskach, pełna rytmów natarczywych, uderzeń o stare schodki. Tak, cud anachroniczny, Wenecja. Pamiętać będzie się zawsze kolor wody:





ciemnozielona, w wydłużonych światłocieniach. Żółte ściany szesnastowiecznych pałaców, naprzeciw nas wspaniała Santa Maria della Salute. Gondole. Świat prawie nie do uwierzenia w zestawieniu z moją codziennością. Jeden z tych szczęśliwych dni.

Campanile we Florencji? Wieżycy Giotta o bladych odcieniach — jak trafnie ujęta została przez Lawrence'a esencja bryły i koloru. Campanile nie jest ani niebieskawe, ani zielonkawe. Świeci ono jakimś światłem wewnętrznym, pełnym potencjałów nienaruszonych, zlewających się w jedno z rysunkiem.

... A widok na Florencję z Piazzale Michelangelo o zachodzie, tak kojący?

Czym odróżnia się w istocie widok wybrzeża Thirroul np. od widoku na Jungfrau znad potoku, gdy mgły jeszcze przesłaniają zbocza i szczyt błyszczą w śniegach? Powtarzam, w istocie. Czyżby to kwestia wyboru? A jeśli tak, to co liczy się w ostateczności? Dla Lawrence'a nie przedstawiało to żadnej wątpliwości. Wielki Europejczyk tęsknił do raju utraconego, gdzie nawet krajobrazy są bardziej ludzkie.

Czym więc należy się kierować w swoich postawach odnośnie otoczenia: estetyzmem jakimś na co dzień, materializmem? Wiara w człowieka, czy świadomością, że materia zwycięża w swej indywidualności?

... A więc stojąc tak nad brzegiem Pacyfiku w miasteczku Thirroul niepomny rosnącego ruchu samochodów na pobliskiej szosie i drugiej połowy dwudziestego wieku, zdaje mi się, że zaczynam lepiej rozumieć idiosynkrazje Lawrence'a. Aby odkryć trudne piękno tego kontynentu trzeba wpatrzeć się w serce materii: należy uznać, że woda sama w sobie jest piękna, że ogromna pustka nieba jest piękna. Równinne pustkowia z rzadkimi eukaliptusami zaczepiającymi o przygodne obłoki należy rozumieć. Należy patrzeć dalej i głębiej w ten mistyczny krajobraz. Człowiek powinien zapomnieć o swojej wielkości w tych nieludzkich przestrzeniach, winien stać się ich częścią składową. A Lawrence-człowiek bronił się przed tą kosmiczną perspektywą.

Wracam wczesnym porankiem do Sydney. Wspominam wczorajszą eskapadę w europejskie wspomnienia, te dziwne stany, w których wszystko wydaje się dobre i doskonałe, jakaś harmonia półtonów, półblasków w chwili, którą się bezpowrotnie traci; później nie podobna odtworzyć cokolwiek wiernie, lecz wie się, że to było. Jadąc, patrzę od czasu do czasu na ocean. Dzień znów pogodny i łaskawy, woda łagodna, słońce mniej ostre o tej porze. Jadę wysoko, ponad półkolumnami plaż. Niekiedy ze stromych zakrętów widać tylko jasny błękit Pacyfiku. Mijam szereg miejsco-

wości podobnych do Thirroul. Widok stąd jest jeszcze bardziej rozległy. Skręcam wreszcie pod górę w eukaliptusowy gaj na wzgórze. Bliski szczytu zatrzymuję Chryslera i wychodzę na skraj drogi. Zapach mięty podchodzi z dołu, powietrze jeszcze pełne wilgoci po nocy. Poszycie lasu mocne, nieokielznane, paprocie, czasem kwiaty Waratah, jak zagubione gwiazdy. Eukaliptusy są jeszcze młode, ich wysokie pnie świecą, a u góry korony drobne, bezlistne prawie, podobne do kopru albo drzew z rysunku dziecka. Pod światło Pacyfik niebieszczeje jeszcze bardziej, przechodząc w pasma płynnego srebra, a niedojrzała i starcza zarazem zielen eukaliptusów kontrastuje z czystym kolorem oceanu i burzy spokój. Pozostawia uczucie rozczarowania i zwątpienia: czy natura może naprawdę zastąpić sztukę. Paradoks Oskara Wilde'a, wrażliwości Gombrowicza, obserwacje Lawrence'a — o tym wszystkim rozmyślam, gdy wydostaję się wreszcie na ogromny płaskowyż National Park pokryty „lantaną”, wydającą się nawiedzać oddalającą się ocean.

„... Każdy człowiek pracy, który poczuwa się do tego, żeby być naprawdę odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa, czuje, że jest to jego obowiązkiem wywierać autorytet w takiej, czy innej formie... Europa została ugruntowana na instynkcie autorytetu: 'Powinieneś'. Jedyłą alternatywą jest anarchia...”.

D. H. Lawrence, *Kangaroo*

W spisywaniu dotychczasowych rozważań zauważyłem brak umiejscowień. A więc, po pierwsze, dwudziesty wiek. Człowiek epoki technokracji może odmienić zupełnie strukturę socjalną Australii i stworzyć inny, mniej oderwany i wolny, a bardziej zaangażowany typ człowieka, jeśli nie z wyboru, to z konieczności. Postulaty Lawrence'a zostaną spełnione w całości, gdyż nie będzie innego wyjścia.

Dalsze umiejscowienie, ważne z mojego punktu widzenia: emigranci są w sytuacji wyjątkowej. Stanowią grupę oderwaną od głównego nurtu społeczeństwa, nie mającą bezpośredniego wpływu na kształtowanie się losów swej przybranej ojczyzny. Proszę wybaczyć mi porównanie: są nawozem sztucznym, katalizatorem, czymś potrzebnym, ale organicznie zewnętrznym. Taka rola narzuca odrębność i nakazuje, ze względów samozachowawczych uprawianie swoistej gry w stosunku do większości. Jak wykazano już dawno, w zupełnie odmiennej sytuacji, gra taka nie jest całkowicie pozbawiona swoich radości i urojonych zwycięstw. Żyjąc w takiej atmosferze od lat, słowa Lawrence'a

uświadomiły mi dopiero, że nigdy o tym wszystkim poważnie nie myślałem. Zawsze sądziłem, że jest rzeczą rzadką, by zwykły obywatel czerpał swe siły duchowe, swoją *raison d'être* z konformizmów i uczestniczenia w wielości. (Pierwszy raz zauważyłem to w Anglii, a więc w ojczyźnie Lawrence'a, gdzie tzw. *civic pride* jest poważną częścią składową charakteru narodowego). Czasem to zbytnie przestrzeganie dobra całości może zamienić się w groteskę.

Jest znów pogodne, chłodne popołudnie. Pierwsze kwiaty drzewa Pacific Coral gubią się, jak ogniste kreski na tle bladego nieba i kobaltowej wody. Oto abstrakcja sytuacji niemożliwej do przyjęcia: obcość pejzażu i oderwanie przybysza znikąd. Czarne, bezlistne korony z wykwittem kwieciami-ognia na tle bezgranicznego nieba i nieskończonej wody. Zrudziała, niepotrzebna trawa brzegu. Kres życia? A jednak pozorna ta pustka żywiołów nie wytrzymuje próby milczenia przez minutę. Niebo zaczyna ożywać w kołowaniu mew, ocean śpiewa i wiatr wiąże to wszystko w jakąś całość organiczną, przepelnioną potencjałem nie do odgadnięcia, mistycyzmem niełatwym. Krajobraz włazi za skórę, żyje biciem serca, oddechem, myślą. Nie ma abstrakcji — są tylko pozory.

Pozorny może okazać się nakreślony tutaj obraz emigranta, jako człowieka z dnia na dzień żyjącego na krawędzi czasu i epoki, jałowego i nikomu niepotrzebnego świadka rzeczywistości. Należy podziwiać tych, którzy uczestnicząc, w społeczeństwach choćby emigracyjnych widzą całość integralną. Patrzę wstecz: nie należałem i nie należę do nich. Byłoby to triumfem ironii, gdyby dzisiaj przyszło mi żałować, że nie brałem udziału w jałowych sporach, szrankach politycznych, stróżowaniu braci moich — udział wszystkich aktywnych emigrantów. Za późno opuścić moją prywatną wewnętrzną emigrację z tej właśnie emigracji, chociaż idę w tym samym kierunku. Ile w tym wszystkim patosu a ile konieczności — nie wiem. I zastanawiając się nad słowami Lawrence'a o powinnościach jednostki, wypada, wbrew sobie, podziwiać tych, którzy wytrwale kontynuują niemożliwą prawie walkę, stwarzając podwaliny pod autorytet „sprawy”, bez którego według Lawrence'a byłaby anarchia. Dodałbym: jeszcze jedna anarchia. I może nie anarchia twórcza.

Ale zabrnąłem na boczne tory. Lawrence mówił o Australii, nie o emigrantach. Sam, do pewnego stopnia jednak był emigrantem. Czyżby? — Raczej turystą. A turyści miewają dobry wzrok. Znowu dziwny brak ogniwi. Wichrowate linie. Inność bezczasowa i ponadczasowa. W takich chwilach każda myśl ocala, każde porównanie jest dopuszczalne.

Następny dzień nie przynosi rozwiązań w moich sporach ze sobą na granicy wczoraj i dzisiaj. Wczorajsze zwierzenia i wątpliwości nie wyczerpują sprawy. Beznamiętnie patrząc należy zaznaczyć, że emigrant ma dwie sytuacje życiowe: jedna, realna, na co dzień — to praca, obcowanie z ludźmi tego kraju, lojalność, namiastka autorytetu. Druga sytuacja — to abstrakcja na *week-end*: kraj, marzenie o powrocie, zatrzymanie czasu w punkcie opuszczenia kraju i podjęcie wszystkiego w tym właśnie punkcie, walka o tzw. sprawę. Gdyby można na to spojrzeć ze stanowiska Lawrence'a, jakiegoś nonszalanckiego obserwatora i niezaangażowanego arbitra, może wszystko uprościłoby się do takiego właśnie ujęcia. Skomplikowane — a może prawdziwe? I jak abstrakt krajobrazu australijskiego wydaje się ożywać po dłuższym patrzeniu, tak i w refleksji nad sprawą społeczności emigracyjnej obserwuję zamianę sytuacji fikcyjnej w palącą i istotną rzeczywistość, którą jutro może zniweczy wieczny rytm oceanu.

◆

*I w po-lu przy swej trzo-dzie  
I w po-lu przy swej trzo-dzie  
Po-snęli w swo-bodzie*

Ile w tym z egzaltacji, a ile z prawdy. Jeszcze niedawno, słuchając słów tej kolędy, nie wiedziałem, że powróci ona do mnie nieoczekiwanie, jak echo mocne i potężne, prawdziwe. Oto chór mieszany w kościele polskim w Londynie dogania mnie znów nad Pacyfikiem. Instynktownie, na drodze porównań, mógłbym cofnąć się o lat trzydzieści i odnaleźć siebie w starym mieście polskim w którym wzrosłem. Chór gimnazjalny, mróz, kolędy, świat tak mały, że mieści się w granicach dotyku. Po co wskrzeszać to wszystko? Już raz powróciło to w Londynie w echu pełnym rezygnacji, dojrzałym i prawdziwszym, ta sama i nie ta sama kolęda, choć wie się, że zawsze ta sama.

◆

*W czarnym lesie niedźwiedź śpi  
W czarnym lesie niedźwiedź śpi  
My go nie zbudzimy  
Bo się go boimy  
Jak się zbudzi to nas zje  
Jak się zbudzi to nas zje*

Tu następował nagły ruch, coś, jak kłapanie niedźwiedzie

z odrzuceniem głowy i chytrym uśmiezkiem. Najbardziej wierzy w prawdziwość sytuacji gruba pani o delikatnych, prawie dzieciennych rysach. Chodzi w kole piosenki, szczęśliwa i ocieżała, z niedźwiedzią prawie mimiką udanego pół-okrucieństwa. Ma głos młody i czysty i wierzy w to, co śpiewa, na dnie jej świadomości nie pozostaje absolutnie nic. Nic nie jest w stanie przeciwstawić się jej instynktom. Koło wiruje, piosenka wzmaga się i rodzi nowy świat: o wymiarach ludzkich, zbudowany z substancji ludzkiej. Sala duża i mroczna, na dworze chłód — to wszystko nie ma znaczenia. To powrót w utracone dzieciństwo północy.

W Australii dziwy takie są niemożliwe. Słońce południa przepętnia swym wszytkowiedzącym światłem każdy kąt i nie ma miejsca na grę na niby, na udawanie, na szukanie światła w słowie, czy spojrzeniu: wszystko jest nasycone słońcem, nic nie ma sensu nic nie przyciemni tego darowanego światła, więc wystarczy trwać w mądrej bierności i pełnymi garściami czerpać słoneczną wiedzę każdej chwili.

A tam, w Chiswick, szarym i przemysłowym krańcu *West-End*'u odbywa się wciąż jeszcze dla mnie transformacja mroku w słońce prawdziwe i ludzkie: bo cóż lepszego, niż patrzeć na krąg dzieci w krainie ojczystego słowa.

Tyle ze wspomnień. Chwilę później, patrząc na ocean wszystko znów wydaje się zanikać i znów pozostaje walczyć z myślą bluźnierczą, że to wszystko nie ma sensu.

„... Trójka chłopców, jeden z nich młokos pewnie z piętnastoletni, w kostiumach kąpielowych, wyszła z ciepłej laguny, aby bawić się i tarzać się w piasku. Wielki chłopak taził na czworakach a mały jeździł na jego grzbiecie, zsuwając się w piasek. Byli niezwykle podobni do młodych zwierzątek, bezmyślni, jak opisy...”

D. H. Lawrence, *Kangaroo*

Tak, Thirroul zmienił się zapewne bardzo od czasu, kiedy przebywał tu Lawrence. Pewnie gdzieś tutaj jest jeszcze osławiony „Wyewurk”, domek z jego powieści. Może zasięgnę języka, gdy odwiedzę Thirroul następnym razem, ale na razie niechaj wyobraźnia dalej szuka śladów autora i utożsamia jego opisy ze wszystkim widzianym.

Nie trudno byłoby zapewne, uważnemu czytelnikowi, ujrzyć młodego człowieka goniącego po piasku, zmieniającego kierunek biegu, przewracającego się w wegetatywnych igraszkach. Co taki człowiek myśli, jeśli w ogóle myśli — oto dylemat Lawrence'a. Czy należy tylko myśleć w obliczu ziemi, nieba i wody, gdy

można po prostu czuć się częścią świata. Jeśli czynności nasze, niewinne i nie przynoszące krzywdy nikomu, dają nam zadowolenie i harmonię czy należy wstydzić się koziołków instynktu?

Dziwna jest historia moich spotkań z książką Lawrence'a. Tuż po przybyciu do Australii zawędrowałem do okazałej Mitchell Library w Sydney, by odnowić kontakt z książką. Był to gorący dzień i dla przybysza z północnej półkuli dotyk upału przynosił egzotyczną inność. Było jakoś dobrze i książki zdawały się zastępować ciągłość utraconą przez podróż na antypody. Przypadkowo otworzyłem wtedy leżącą na stole książkę Lawrence'a, z której zaczerpnięte są cytaty. Już po pierwszych stronicach uznałem ton autora za ostry, prawie nieprzychylny, a większość jego opinii za powierzchowne oceny.

Dziwnym trafem, po przeszło dwudziestu latach, otworzyłem *Kangaroo* w drodze powrotnej statkiem do Australii, gdzieś na oceanie indyjskim. Tym razem „Kangura” czytałem uważniej, reakcje przestały być natychmiastowe. Czytając powieść powtórnie, tym razem bez uprzedzeń neofity i zupełnie bezstronnie, wydawało mi się, że zaczynam lepiej rozumieć Lawrence'a. Początek jego powieści odzwierciedla gwałtowne zderzenie człowieka kultury z pustką; formy — z bezkształtną materią; organizacji wyższego rzędu z pseudo-chaosem potencjałów. Osady wyrastające na takim tle mogą być prawdziwe, lub nieprawdziwe, lecz muszą mieć w sobie coś z ożywczej, destrukcyjnej chociażby ostrości. Mogła to być po prostu walka o siebie samego, o całe swoje życie, które wydawało się rozpadać w ogromnych przestrzeniach dalekiego kontynentu. Lawrence mógł zapewne wpatrywać się w statyczną panoramę Jungfrau, nie przestając ani na chwilę być sobą. Ale tutaj, w Thirroul, na krawędzi piasków i oceanu, pod bezlitosnym słońcem, mógł tylko odrzucać realność takiej rzeczywistości lub rezygnować, stawać się częścią samotnego patosu. Lawrence bronił się przed wciągnięciem w komórki barbarzyńskiej przyrody tak obcej jego pojęciu sztuki. Zapewne raziły go niewysmakowane proporcje, powódź amorfii, kolory w ubóstwie różniczkowań, abstrakcjonizm pozorny, chłonny i nieprawdziwy. Odrzucał więc, w pierwszych opisach, scenę australijską, jako niecywilizowaną. Nie sięgał głębiej, niż pustka przestrzeni. Napełniała go lekkiem, jego, Europejczyka, chociaż odkrywał powoli groźne piękno tego kraju, nie chciał zgłębiać tajemnic tego piękna, nie chciał w nim tkwić, z niego czerpać. Była to kwestia wyboru, gdyż często, na dalszych stronicach książki dawał dowody, że patos i ogrom pejzażu południa zapisały się trwale w jego pamięci.

Być może, że opuściłem wiele ważnego i godnego wspomnie-

nia w zestawianiu opisu z rzeczywistością. Jak dziwnie jednak wplata się książka Lawrence'a w losy emigranta i jego wiecznie odmieniający się czas. Lawrence był w Sydney zaledwie dwa dni, jeden *week-end*. To nie jest to samo, gdyby mieszkał tu całe życie, lub, powiedzmy, dwadzieścia lat. Czy myślałby tymi samymi kategoriami? Czy „Kangur” napisany po latach pobytu na kontynencie australijskim byłby zupełnie odmienną wersją powieści?

Przechodząc ulicą nad morzem w Thirroul zastanawiam się, który z pobliskich domków byłby idealnym „Wyewurk”. Można by tu przeżyć, raz jeszcze, zanim duszę zagarną przestrzenie kontynentu, konflikt wyboru u samych źródeł: człowieka w symbiozie z żywiołami, samotnego, lecz może szczęśliwego, *versus* człowieka w tłumie i żyjącego z tłumem, może znów samotnego wśród tłumy wytworów kultury. A może już jest za późno!

Instynktownie chciałoby się stanąć nad plażą, gdzie jeden z młodych Australijczyków biegnie zygżakiem po piasku, chciałoby się zapamiętać ten obrazek, gdyż wkrótce człowiek może utracić resztki swej pozornej nawet niewinności i swobody, swej nie-dojrzałości.

Instynktownie, zaprzeczając czasowi, chciałoby się pójść w jego ślady, gdyby się nie było czymś innym: emigrantem, człowiekiem stamtąd, niezauważonym cenzorem rzeczy.

Zdzisław MAREK

## Ludzie z Akwarium\*

„Stary Józio” wiedział, że jest Starym Józiem, ale nie cierpiał nad tym, że go tak nazywają, przecież wymyśliła to zwariowana Teresa, którą lubił, choć uwodziła Janusza — co prawda uwodzenie owo nie przeszkadzało Józiowi tak bardzo, jak niemądrej Annie, ale bądź co bądź stwarzało jakieś napięcia i dwuznaczności. Teresa była oczywiście osobą, jak to mówiono w nowej polszczyźnie, „kontrowersyjną”, ale dzięki temu jest żywa, nie jakaś woskowa lala czy nakręcona marionetka jak inni. Józio czyli Józef Glebowicz miał obecnie lat 76, mimo to uważał się za jedyne obok Teresy żywego człowieka w całym tym rodzinno mieszkaniowym środowisku, w jakim tkwił chcąc nie chcąc, niby w jakimś dziwnym getcie: człowiek z wiekiem traci znajomości i przyjaźnie, zdany jest na resztki, które pozostały mu z przeszłości lub na związki automatyczne czyli przypadkowe, wynikłe z powiązań rodzinnych. Zaś dawne znajomości i bliskości utracił wszakże wyjątkowo dokładnie, choć miał ich też wyjątkowo dużo: wojna, okupacja, Powstanie, terror stalinowski, wszystkie te kataklizmy operowały przede wszystkim w jego środowisku, wojskowo-politycznym, niepodległościowym. Paru zaledwie towarzyszy i świadków życia pozostało, głównie w Londynie i w Kanadzie, nawet więcej tam niż w obecnej Warszawie. Niezwykłe swoją drogą, rzadkie w historii losy pokolenia, a dzisiejsi warszawscy chłopcy, nie tak bardzo przecież odmienni od tych, co przed trzydziestu zaledwie laty rzucili się na Niemców prawie z gołymi rękami, pojęcia teraz nie mają o niczym, wyjątkiem są tylko tacy dociekliwi młodzieńcy jak Janusz i jego przyjaciele z Marca 68. Bo w dzisiejszej Warszawie, żeby dowiedzieć się czegoś o bezpośrednio nawet przeszłości, trzeba z wysiłkiem i samozaparciem ryć w bibliotekach i archiwach, tych jeszcze nie skonfiskowanych,

Fragment nowej powieści Tomasza Stalińskiego, która ukaże się w „Bibliotece Kultury” na początku przyszłego roku.

nie ocenzone i nie wytrzebionych (to bądź co bądź Polska, gdzie panuje „dyktatura złagodzona przez bałagan”, w Moskwie nikt z „plebsu” nie ma dostępu do prawdziwych archiwów, a w tych dostępnych nie ma niczego prócz propagandy), żeby jednak podjąć się żmudnego i specjalnego wysiłku rycia w starych papierach trzeba WIEDZIEĆ, że istniała jakaś przeszłość, całkowicie odmienna od tego, co przedstawiają teraz oficjalnie, czego uczą w szkołach. Unicestwienie przeszłości, przewidziane i opisane podobno przez niejakiego Orwella staje się faktem, bo przeszłość jest największym wrogiem komunistycznej teraźniejszości. Jest niebezpieczeństwem, mogącym po latach zmaterializować się i uderzyć zwielokrotnionym rykoszetem — stało się to na przykład w przypadku Januszowego „asystenta”, młodego robotnika Bogdana, którym tak bardzo wstrząsnęło odkrycie paktu Ribbentrop-Mołotow, jako że o pakcie takim nigdy przedtem nie słyszał. To, że przeszłość sprzed trzydziestu paru lat, dotąd szczelnie zakryta i przeinaczona, mogła nagle objawić swe nowe choć stare oblicze, swoją zatajoną treść demoniczną i perfidną, stało się dla „prostego człowieka” wstrząsem, a ze wstrząsu takiego wyniknąć jeszcze mogą konsekwencje wręcz nieobliczalne, o czym zresztą Stary Józio, doświadczony konspirator, milczał jak zakłęty. Tak, przeszłość żyje nadal, bez przeszłości nie istniejemy, oparł się na tym wielki samotnik Aleksander Sołżenicyn, na własną rękę przywracający Rosji jej utracone, jakby wytarte przez kogoś gumą z kalendarza, kilkadziesiąt lat straszliwej historii. Stary Józio nie wierzył w mijanie przeszłości, wszystko było dlań jednakowo żywe, wszelkie etapy swojej wędrówki traktował współrzędnie, od owej wiosny gdy siedemnastoletni chłopak, uciekł do Legionów i, sfałszowawszy sobie datę urodzenia, brał udział w walkach z Moskalami nad Styrem i Stochodem. Od tego czasu minęła przecież tylko jedna psychiczna chwila i dlatego Stary Józio nie czuł się wcale Starym Józiem lecz tylko Józiem i wesoło przyjmował nadane mu przez Teresę przezwiśko.

Czuł się też jedynym obok niej żywym człowiekiem wśród „towarzystwa z Wiejskiej”, bo, podobnie jak niefrasobliwa Teresa, miał myśli różne, nieustabilizowane, niejednokrotnie przeczące sobie nawzajem, podczas gdy inni, ludzie dzisiejsi, żyli wypełnieni poszczególną myślą, każdy swoją, jak nakręcone, z osobna mario-netki. Na przykład jego własny syn, Krzysztof. Chodzi po Warszawie owładnięty jedną, jedyną, maniacką ideą, że oto „nieugięte” (tak oni lubią mówić) prawa historii stworzyły Trzecią Polskę, sowiecką i komunistyczną, oraz że on to właśnie ma istnienie tej Polski piórem uzasadniać, upiększać upatetyczniać. Dlaczego akurat właśnie on? Musi przecież kłamać każdym słowem, bo każde, choćby na swój sposób słuszne słowo o Zachodzie,

Niemcach, przyszłości Europy staje się automatycznie fałszem, jeśli brak mu tła z drugiej strony, jeśli musi się milczeć o Wschodzie, o przeszłości i genezie faktów, jeśli przedstawia się tylko geometrycznie odkrojone pół sprawy. Kłamstwo dokonywane z przekonania to najbardziej przygnębiające z kłamstw. Mamy najbardziej odrażająco kłamiących dziennikarzy spośród wszystkich komunistycznych krajów — w innych „bratnich” ludowych republikach kłamią albo z głupoty czy niewiedzy, albo ze strachu, panicznego strachu. Natomiast w Polsce o jakiegokolwiek niewiedzy mowy nie ma, boć ci spryciarze z prasy wiedzą tu wszystko, a i na Zachód jeżdżą bez przeszkód, o strachu też trudno mówić, mniejszy on tutaj niż gdzie indziej, owszem, zabraniają pisać i gadać, ale za to nikt do gadania czy pisania nie jest zmuszany, przymus ma naturę wyłącznie negatywną, przeciwnie niż w Chinach czy NRD, gdzie, chcąc żyć, trzeba mówić, trzeba deklarować. Jeśli więc nie przymuszani kłamią, robią to z karierowiczostwa, na zimno. Ale najgorszy, bo chorobliwy jest wypadek, gdy ktoś kłamie z przekonania — wie, że kłamie, ale uznaje rzecz za konieczną, za zbawienną, za patetycznie historyczną i historycznie patetyczną, w dodatku że to niby on, absolutnie on musi to robić, nikt inny, lecz koniecznie on, bo to jego misja, on przejrzał dzieje i tajemny sens prawdy, która rodzi się z kłamstwa przez powtarzanie: rzekomo kłamstwo powtórzone tysiąc razy i nie napotykać na niczyj sprzeciw staje się prawdą, bo prawda jest po prostu pewną odmianą ludzkiego przeświadczenia. To przekonanie właśnie wydaje się u Krzysztofa nieludzkie, najgorsze ze wszystkiego. Podobną duchową prostytutkę uprawiał też Adam Mirewicz, przedwojenny poznański „sanator”, podczas wojny lojalny funkcjonariusz emigracyjnego rządu w Londynie, a po wojnie niemal od razu wiceminister spraw zagranicznych Polski Komunistycznej, dziś od niedawna emeryt, pisujący teraz bezinteresownie te same sowieckie kłamstwa, lepiej je zresztą podając od samych Sowietów. Ale Mirewicz to stary dyplomatyczny automat, którego owa wieloletnia, cyniczna lecz podniecająca gra tak osobiście wciągnęła, że na starość, miast bezczynności, bawi się sam ze sobą w pokera. Dlaczego jednak podobnie nieludzki i automatyczny jest Krzysztof, wychowany w domu owianym historią i wolną Polską, Krzysztof, który przecież wie wszystko i pamięta wszystko?! Nie ma w nim wszakże dzisiaj nic ludzkiego, chyba ów uporczywy erotyzm, ale to znowuż, w jego wieku zwłaszcza, po trochu odrażające i nic dziwnego, że ta biedna, niezbyt mądra Anna w końcu załamała się nerwowo.

Jeśli z Krzysztofa zrobił się jednostronny automat, to co dopiero mówić o innych! Cóż to za osobliwy łańcuszek neurotycznych manii nanizano na nią ludzką, oplatającą dziś „Starego J6-

zia". Obok Krzysztofa Anna, opanowana wyłącznie ideą „życia pozytywnego”, przez co rozumie zbożną pracę, trwałe małżeństwo i nie mieszanie się w żadną politykę. Jej brat — jeszcze węższy, jeśli to możliwe: tylko praca i ból, że Partia się zmienia, więc nie można jej służyć, bo zanim się człowiek nauczy jednego, już trzeba robić co innego i jest się nie na linii czy nie na etapie. Ale zastanowić się nad tą Partią i nad przyczynami zmian linii, to już nie łaska, to wykracza poza plan życia. A skąd ten plan? Z powietrza, lecz gęste tutaj jakoś i sugestywnie panuje powietrze, skoro w sposób niezauważalny tak ludzi urabia. To już lepszy jest Gnatek, król jednostronności, ale za to świadomej, z wyboru, czego nie ukrywa: chce mieć pogląd uogólniony, na swój sposób umotywowany, który usprawiedliwiałby dobre samopoczucie w pracy, robienie kariery z przekonaniem, że to i dla Polski i dla siebie, w zgodzie z prawami świata. Może i ma gdzieś na dnie wątpliwości, może i nie, ale umie je sflumić, bo to „chłopek-roztropek”, cyniczny oczywiście, ale i szczerzy, mniej zakłamanym. Jedną myśl go ożywia, jedna idea: kariera, polityczna kariera. Czy to jest idea? Słowa różną mają barwę!

Ale ci bliscy, „chłopcy”, ci naprawdę ideowi i bezinteresowni, ideowi przeciw sobie samym, też są jednostronni, o władnięci jedną tylko myślą: komunizm ich zaczarował, negatywnie, ale zaczarował. Stary Józio właściwie przewidywał, że tak się kiedyś stanie, przewidywał wówczas, przez owe pięć lat niemieckiej okupacji, gdy codziennie, w dzień i w nocy ryzykowało się życie. Już wtedy, choć nigdy się nikomu do tego nie przyznał, wiedział, że to się okaże z czasem do niczego zgoła niepotrzebne. Z czasem — ten czas przyszedł właśnie teraz. Cały wysiłek konspiracyjny poszedł na nic, okupacja dla przyszłości okazała się jałowa, posłużyła tylko komunizmowi, nobilitowała go, że walczył z hitlerem, choć walczył przymuszony i to w okolicznościach kompromitujących. Właściwie skompromitowali się wszyscy, gdy w sercu „chrześcijańskiej Europy”, na oczach owych wszystkich a także z ich winy, powstało i rozwinęło się coś takiego jak hitlerizm. Dziś owi wszyscy wołają o tym milczyć, bohaterska polska konspiracja okazała się właśnie dla polskiej przyszłości jałowa, młodzież nic z tego nie wie, najlepsi jej, ideowi przedstawiciele, taki Janusz, Henryk czy Bogdan zajmują się obecnie tylko komunistami. Józef Glebowicz przeczuł to, przeczuł już przed wieloma laty, podczas wojny i po niej, dlatego tak pokierował swoim działaniem i później procesem, jak pokierował. Zawsze, od początku okupacji, nawiedzała go myśl, że hitlerowskie Niemcy są czymś przejściowym, anormalną plagą, wrzodem na ciele historii, że wrzód pęknie i minie bez śladu, a sprawa polska rozstrzygnie się w konfrontacji z Rosją i z komunistami, z nikim innym i zawczasu trzeba się

przygotować, aby tę właśnie a nie inną problematykę rozegrać. Wojsko polskie było już nieważne, tak myślał Józio, choć zawody wojskowe, może dlatego, że tak myślał i że to się udzielało, nie dał mu Londyn nominacji na generała, choć rzecz była po Powstaniu zgłoszona. Dla niego liczył się tylko manewr z komunistami, ale tego nie rozumieli inni, zwłaszcza apodyktyczny i opętany z czasem ideą walki zbrojnej na ulicach Warszawy generał Lubiński. W rezultacie manewr się nie udał, a raczej w ogóle go nie przeprowadzono. Dopiero na procesie pułkownik Józef Glebowicz skutecznie, na swoją skalę, udamą już zagrywkę: on to pomanewrował tym razem komunistami, nie oni nim. Ale mało to kto rozumiał, warunkiem powodzenia manewru była tajemnica. Nie obowiązuje ona wiecznie, Stary Józio ma już rzecz opisaną i manuskrypt zdeponowany gdzie trzeba, ale nie może pokazać tego jeszcze choćby tej niemądrej Annie, która zatruwa mu życie. Zresztą nie rozumiałaby, czas po temu przeminął, polski czas, co niweluje wszystko i sprawia, iż wszelkie, tajne czy jawne wysiłki idą tu po społu a solidarnie — na marne.

Janusz, Henryk, Bogdan, oczywiście, to są na pewno najlepsi, to są następcy, dziedzice tamtych czasów. Ale też już napiętnowani, naznaczeni, obciążeni jałowością. „Sowiecka cisza” — tak określił kiedyś sytuację w krajach komunistycznego Wschodu pewien warszawski choć z Poznania się wywodzący krytyk, człowiek bardzo inteligentny i przenikliwy antylewicowy szermierz, który niestety w czasie okupacji stał się prohitlerowskim kolaborantem — rzadki w Polsce wypadek. Niestety czy „stety”, boć kolaborowali Francuzi, Belgowie, Duńczycy, Holendrzy, w ogóle wszyscy — byle się ratować. Tylko w Polsce, która pierwsza dostała od Hitlera po skórce na polu bitwy a nie w konferencyjnych gabinetach, nikt nie myślał o ratowaniu się, lecz o dalszej walce. Nawet, o dziwo, ów prawicowy literat S..., który wymyślił określenie „sowiecka cisza”, bynajmniej nie dlatego chciał współpracować z Niemcami, aby ratować śmiertelnie zagrożony byt narodowy, ale — cóż za dziwacy żyją w tym kraju — z powodów ideologicznych, wręcz filozoficznych. Okazało się to zresztą dobitnie, gdy swą najwyższą działalność rozwijać zaczął w roku 1943, już po bitwie Stalingradzkiej, kiedy klęska Hitlera stała się dla wszystkich oczywista. Niemcy patrzyli dotąd na nieliczne polskie usiłowania kolaboracyjne niechętnie i nieufnie, a jedyne właściwie poważnego „pro-germaniste”, starego polityka Studnickiego wręcz zamknęli do więzienia i to w Berlinie, dokąd się udał na początku okupacji, aby wręczyć Goeringowi arcylogiczny memoriał na temat konieczności współpracy niemiecko-polskiej wobec milczącego Sfinksa ze Wschodu. Ów polityk to był w ogóle człowiek nader logiczny i bystry prorok, jednego tylko nie prze-

wiedział, że mianowicie Niemcy zrzucą go ze schodów i zamkną w ciupie: taki bywa kres proroków niecałkowitych.

Ża to literatowi S..., który nie był precyzyjnym logikiem dziejów ani politycznym statystą lecz swego rodzaju filozofem prawicowości, powiodło się u Szkopów lepiej: po klęsce Stalingradzkiej jakiś tam członek tak zwanego rządu tak zwanej Generalnej Guberni (Niemcy to idealistyczni biurokraci — klasyfikatorzy: zaczynają od zmiany nazwy, przekonani, że za tym automatycznie nastąpi przemiana samej rzeczy) pojął że wobec zbliżania się Niemcis czyli Czerwonej Armii dobrze by było mieć wśród Polaków jakąś antykomunistyczną propagandę — dobrze po prostu dla własnej skóry, aby, cofając się przed Rosjanami, nie dostać zniecka polskim nożem w plecy. Prostuduszny ów ale nieco bardziej niż jego kamraci przewidujący Niemczyk zezwolił literatowi S... na wydawanie tygodnika, niby konspiracyjnego, żeby nie budzić nieufności Polaków, lecz kolportowanego w kioskach i wśród gazetarzy. Literat S... wypełniał pod różnymi kryptonimami większą część numeru: nie negował, że Niemcy popełnili wobec Polaków wiele zbrodni (o wymordowaniu Żydów taktownie nie wspominał), twierdził jednak, że wobec zbliżającej się wielkimi krokami śmiertelnej „sowieckiej ciszy”, należy zapomnieć o urazach i zjednoczyć się przeciw wspólnemu wrogowi w imię „cywilizacji zachodniej”. Dziwny człowiek, rozśmieszający i osmucający: z kim chciał się jednoczyć i kiedy — po klęsce?! W dodatku uparł się i wydawał swoje pismo nadal jeszcze po upadku Powstania i zburzeniu Warszawy, jakby mało mu jeszcze było dowodów absurdalności całej akcji. Nie wiadomo właściwie co sobie wtedy naprawdę myślał, nikt się nigdy o tym nie dowiedział, bo zniknął bez śladu wraz z armią niemiecką. Podobno umarł gdzieś w Wenezueli, gdzie pod fałszywym nazwiskiem — prowadził polską czytelnię. Jeszcze jeden wariat znad Wisły posiany w świecie, ale wariat nie typowy, bo chciał zdradzić kraj, walczący z wrogiem. Co prawda w Polsce zrównano wszystkich, i tych, licznych, co chcieli walczyć i tych nielicznych, co chcieli zdradzić. Wszakże generał Lubiński, główny ideolog i architekt Powstania siedzi na wygnaniu i tam też umrze, a londyńscy generałowie, którzy z rozsądkiem i patriotyzmem wrócili do kraju, aby współpracować z nową władzą, skończyli w więzieniu lub zgoła z kulą w głowie. Mądrość nie przydała się tu na nic, zrównano mądrych z głupimi a fantastów z realistami. Stalin zrównał wszystkich, wiedział co robi. A teraz z kolei wszystkich wypuszczono, bezzębnymi staruszków, co nie są już groźni, bo żyją nie rozumianymi przez nikogo wspominkami. I to jest właśnie dopiero owa wyprorokowana przez prohitlerowskiego literata S..., skuteczna bo łagodna, wszechobejmująca „sowiecka cisza”.

Patrząc dziś wstecz Stary Józio uważał jednak, że w końcu on sam miał zawsze swój realny rozum i że nie całkiem poszło to na marne, bo przecież uratował sporo młodych ludzi, choć nieświadoma rzeczy Anna uważała przeciwnie, że ich podmówił a potem zdradził i wydał. Nieświadomość rzeczy tłumaczyła Annę i jej nienawiść, rozgrzeszała tę nienawiść — nieświadomość rzeczy to w ogóle cecha tego dziwnego, nowego miasta i wszystkich jego obecnych mieszkańców. Wobec „totalnego niepoinformowania” nikt tu nie jest niczemu winien, za winowajcę uznać więc można tylko jego jednego, Starego Józia, bo on tu żyje jedyny spośród tych, co dali rzekomo rozkaz do Powstania, które zniszczyło w rezultacie stolicę. Dali rzekomo, bo nie takie to proste — ale komu tę rzecz tłumaczyć, jak nikt nic nie wie, nie pamięta, nie rozumie. I komu tłumaczyć jego późniejszą, też tylko rzekomą konspirację, ową „Polskę Wolną”, osławioną procesem, którego był rzekomo niesławną ofiarą a w istocie zręcznym manipulatorem, o czym nie wiedzą nawet ocaleli towarzysze broni. No cóż, można przeprowadzać przewód historyczny przed publicznością, która tę historię zna, ale tu historię najnowszą nie tyle sfałszowano co w ogóle unicestwiono i nie ma się do kogo odwołać, co najwyżej zdać się na Sąd Boży. W tej sytuacji Janusz, Henryk, Bogdan, i przyjaciele byli bezcenni, bo przeszłość ich intrygowała, fascynowała, bo coś o niej wiedzieli, odkrywając ją, odcyfrowując z archiwalnych palimpsestów. Tylko że wyłoniło się nowe niebezpieczeństwo: oni chcieli działać, historia, jak sądzili, dawała im asumpt i odskocznię do tego działania, chcieli odtworzyć przeszłość, powtórzyć ją na nowej spirali, odegrać tę samą scenę jeszcze raz. I tu, jak najbardziej pechowo, Stary Józio wychodził znów na instygatora, na szatana kusiciela — tylko dlatego, że on ich tej przeszłości uczył, że ją uosabiał. „Znów poprowadzi chłopców do jatki” — myślała z pewnością Anna, jak tu jej wytłumaczyć, że jest inaczej, przeciwnie, że zawsze było inaczej i przeciwnie? Nie da się tego wytłumaczyć, tłumaczenie jest zawarte w tajnym manuskrypcie, ale musi on zostać tajny: coraz mniej widać wokół potencjalnych czytelników, którzy odebrali go właściwie, jako rozprawę z mechanizmem dawności a nie jako absurdalnie we współczesność przeniesiony sygnał ułańskiej, legionowej trąbki. Stary Józio, choć wspomnieniami zanurzony po uszy w polskiej dawności, nigdy nie był zwolennikiem odgrywania na nowej, historycznej scenie dawnych, kawalerskich epopoi. Ale tego nie rozumiał, nawet sprytna i lotna Teresa!

Krzysztof drażnił wszystkich okropnie swą publicystyką w „Trybunie Socjalizmu”, bo Polacy nie lubią, kiedy się im tak nachalnie na czarne mówi białe, twierdząc jednocześnie, że bez tego nie da się żyć. Robić owszem — ale nie gadać. Naurasteniczne

gadulstwo Krzysztofa wynikało z jakiegoś przełamania psychicznego, z jakiegoś wstrząsu, zresztą wiadomo jakiego: dawnego, młodzieńczego, Polacy nigdy nie zapominają przeszłości, ona w nich żyje, współzrędnie z teraźniejszością, oddziałując niewidocznie na ich postępowanie i zachowanie. Polacy to przeżuwacze historii, karmiący się wciąż minionym, choć częstokroć wcale sobie tego nie uświadamiają. Powstanie, Warszawa płonie, Rosjanie tuż za Wisłą, ale nie dają pomocy, przeciwnie cofają się — oto czym był do dzisiaj Krzysztof, to był jego wstrząs, jego całozyciowy pokarm. Z tego zrodziło się u niego wszystko: że nie może być dwóch wrogów, że trzeba stać po jednej stronie. — Świat dzieli się na obozy, a Ty chcesz być w innym obozie, niż Twój kraj — powiedział kiedyś do Janusza. — To niemożliwe, wręcz fizycznie — nie można żyć poza Historią. Chyba, że się jest uczestnikiem a dziś strzępkami dawnej Historii — jak Ojciec. Ale dawność nie może stanowić kryterium dla dzisiejszości, to mechaniczne niewolnictwo duchowe, uniemożliwiające widzenie rzeczywistości służenie narodowi w konkretnych warunkach!

Powiedzenie to, skrócone, antyjojckowskie credo Krzysztofa, dotarło przez pośredników do Starego Józia, budząc jego uśmiech i westchnienie nad ludzkim niepoinformowaniem, nad przedziwną plątaniną nieporozumień, rozciągającą swe zabójcze sieci między pokoleniami. Boć kto to mówił: Krzysztof, prawdziwy niewolnik przeszłości i to przeszłości zredukowanej do jednej jedynej wizji: Warszawa płonie, palona przez Niemców, Rosjanie za Wisłą obserwują rzecz beczynnie. A przecież to Stary Józio właśnie przewidział tę rzecz i chciał jej przeciwdziałać — jeszcze w absurdalnych warunkach konspiracji. Lecz całą tę sprawę, opisaną zresztą również w jego manuskrypcie, ocenić może prędzej Janusz niż Krzysztof, traktujący Ojca, wbrew faktom duchowym i fizycznym, jako zapamiętałego i niepomnego na nic „bojowca” z epoki Piłsudczyzny. Tymczasem takim był właśnie Lubiński, główny w konspiracji oponent Starego Józia, właściwy sprawca Powstania, człek przyzwoity, lecz powoli i bez wyobraźni myślący — aż podziw bierze, że był kiedyś szefem Dwójki czyli Wywiadu, choć pewno z tamtych czasów wyniósł swój ślepy lęk przed Moskalami i odwrócony kompleks ich demoniczności, że musi im się wszystko udać, bo oni wszystko przewidują. Przenoczenie jest równie szkodliwe jak i niedocenie, przeciwnieństwa się tu upodabniają — to wszystko wyłożył Józef Glebowicz w swoim zdeponowanym manuskrypcie, który Janusz czytał, ale rozumiał opacznie, a którego Krzysztof czytać by nie chciał, choć podobniejsze to do jego idei niż sądzi. Oto pokoleniowa komedia omyłek: „Syn minie książkę, lecz Ty wspomnisz, wnuku!”

Generał Lubiński długo uważał, że patriotyczna Armia Pod-

ziemna nie powinna wykrwawiać się w bezcelowych walkach z Niemcami, lecz zbroić się i rosnać, aby wobec wkraczających zwycięsko Rosjan odegrać rolę ramienia Wolnej Polski czyli egzekutywy legalnego Rządu Rzeczypospolitej w Londynie. Pułkownik Glebowicz od początku wiedział, że to są mrzonki, że Rosja, piętrząca zwały swych trupów w walce z Niemcami, jest najcenniejszym — bo jako dawca krwi niezastąpionym — aliantem Zachodu, i że „stanie z bronią u nogi”, projektowane przez Lubińskiego, dałoby jej walny argument wobec świata na temat polskiej wrogości czy „reakcyjności”. Walczyć należało, ale mądrze i nie na dwa fronty, uwzględniając absolutną głupotę polityczną Niemców, oraz dużą zręczność coraz bardziej w świecie Zachodnim popularnej Rosji. Londyn niewiele tu mógł zrobić, jego karta już została zagrana i zgrana — wypuszczono z Rosji Polaków w postaci armii Andersa, ta armia robiła swoje na Zachodzie, ale co począć politycznie tu, w okupowanym i odciętym od Rosji frontami Kraju?! Uaktywnienie się w czwartym roku okupacji komunistycznego podziemia w Warszawie, wieści o tworzeniu przez Rosjan jakiegoś polskiego Komitetu w Chełmie czy w Lublinie, sprawy doprowadzające do szału i rozpaczę szefa sztabu Armii Podziemnej generała Lubińskiego, zaciekawiły i podniecały dyrektora Wywiadu Politycznego, pułkownika Glebowicza. Oto wreszcie nadarzało się wyjście z impasu, pojawiał się jakiś nowy, polski choć komunistyczny, partner w miejsce nieobecnego i nie liczącego się już w głównej rozgrywce (a główna rozgrywka była tylko i jedynie z Rosją) londyńskiego rządu. Należało tylko nawiązać nic z tym partnerem, upodobnić się jakoś do niego, znaleźć choćby pozór wspólnego języka, wciągnąć go we wzajemną grę. Radiostacja komunistyczna za Wisłą nawołuje do walki zbrojnej z Niemcami i wręcz do Powstania w Warszawie, bardzo dobrze, wziąć to za dobrą monetę, ale przytrzymać ich za słowo, zmusić do wspólnej akcji, pomanewrować tak, aby pomogli, aby musieli pomóc, dając w ten sposób Armii Podziemnej rangę uznawanego, politycznego partnera. Armii Podziemnej i jej warszawskiemu kierownictwu.

W tym celu potrzebne były koncesje polityczne lub ich pozor. Pułkownik Glebowicz wręcz na własną rękę zaczął tych pozorów dostarczać, jego biuletyny nie stroniły od języka lewicy i od współpracy z „masonami”, jak mówiono, Wywiad Polityczny zaczął w skołowanej okupacji i konspiracją a rozpolitykowanej Warszawie świecić opinią „czerwonej jacejki”. Źle to się skończyło, jakies niewiadome (choć i wiadome) skrajnie pravicowe bojówki zamordowały Glebowiczowi kilku wybitnych pracowników w dodatku, co było hańbą, ludzi pochodzenia żydowskiego. Jednocześnie w Komendzie i Rządzie szerzono doń nieufność a



znowu komuniści spłoszyli się lub też może w ogóle nie działali nigdy w dobrej wierze, co tryumfująco obwieszczał Lubiński, nie rozumiejąc że tryumfuje na własnym grobie i że raczej robienie dobrej miny może tamtych zmusić do udawanej choćby, czy wymuszonej, dobrej woli. Ale było już za późno: gdy Lubiński uznał wreszcie, że walka zbrojna z Niemcami jest politycznie i psychologicznie nieunikniona, jasne się stało, że będzie to walka straceni- cza i bez sojuszników. Komuniści zza Bugu i Wisły zamilkli, Armia Czerwona wstrzymała swój pochód (umyślnie czy nieumyśl- nie — któż będzie tego dochodzić?) pogłoski o działaniach nie- mieckiego Ruchu Oporu znikły, zamach na Hitlera zawiódł i oto słabo uzbrojona Podziemna Armia Warszawy stanęła do nierów- nej walki ze zmobilizowanymi przez głupich Niemców doborowy- mi jednostkami. Skutek znany: wielka mogiła i pogorzeliśko. Nie- ugięty w wyszukiwaniu pokrętnych autozłudzeń Lubiński twier- dził teraz, że zburzenie Warszawy „wstrząsnęło sumieniem świa- ta” i musi dać z czasem rezultaty polityczne w przetargach z Ro- sją. Pułkownik Glebowicz, choć od początku uważał, że Powsta- nie antyniemieckie jest konieczne i nieuniknione, nie podzielał tego optymizmu. Politycznie mogło Powstanie coś bezpośrednio przynieść, gdyby inaczej politykowano. Wspominał zawsze wielki stół u nich, w Wywiadzie, gdzie na trzy dni przed wybuchem walki oglądali rozłożoną szeroko konspiracyjną prasę podziemnej Warszawy. Wszystkie te pisemka wstępными artykułami ziały przeciw Rosji i jej wkraczającemu na polskie ziemie terrorowi — o Niemcach nie było tam już ani słowa. — Jeśli my tutaj to czytamy, to sowiecki dowódca zza Bugu też to na pewno czyta — powiedział ktoś. Ano właśnie!

Oczywiście, Powstanie w swej straceniowej postaci miało z cza- sem okazać i swe politycznie dodatnie skutki — choć inaczej dodatnie, niż to mniemał generał Lubiński, który z Oflagu pole- cał do Londynu, podczas gdy Józef Glebowicz bez rozkazu wró- cił z niewoli do Warszawy. Po latach jeszcze przecież Rosjanie pamiętają, że ten ludek potrafi rzucić się do beznadziejnej walki, poświęcając bez namysłu swe rodzinne miasto. Pamiętają i z pa- miętania tego wyciągają konsekwencje — inaczej tu się jednak dzisiaj żyje, niż w Pradze czy Wschodnim Berlinie, a kultura katolickiej Polski istnieć nie przestała. Ale wtedy, na gruzach Warszawy, nie należało powtarzać hekatomb, należało oszczędzić młodą krew. I dlatego właśnie, czego nie rozumiało wielu ludzi z Krzysztofem na czele, pułkownik Józef Glebowicz założył w Warszawie po powrocie z niemieckiej niewoli słynną swą niele- galną „Polskę Wolną”, organizację której proces wstrząsnął za niewiele miesięcy krajową opinią, choć i zadziwił wszystkich nadaną mu przez komunistycznych prokuratorów dwuznaczną dia-

lektyką. Stary Józio założył tajną organizację bojową, aby ratować polską młodzież? Tak właśnie było, to jego zrealizowany wreszcie Wielki Manewr, z którego był dumny po dziś dzień, choć nie mogli owej niełatwej rzeczy pojąć dzisiejsi „starzy”, z Krzyszto- fem i niemądrą Anną na czele.

Jak to się stało? Po powrocie z obozu jeńców do zniszczonej Warszawy Józef Glebowicz zastał sytuację fatalną i brzemienneą w dalsze kłęski. Rosjanie, pod pozorem rozmów politycznych, zwabili pod Warszawą całe szefostwo podziemia i wywieźli do Moskwy, gdzie urządzono im niezadługo proces o... kolaborację z Niemcami. Jednocześnie resztą w teje Moskwy toczyły się rozmowy na temat utworzenia rzekomego Rządu Koalicyjnego w Polsce — rzekomego, bo miał to być ów przysłowiowy paszтет gdzie mięsa dano po równi: jeden koń i jeden zając. Konie byli oczywiście komuniści i ich najrozmaitsi satelici, zającem zaś nie- dobitki londyńskich „rządowych” Polaków z byłym chłopskim pre- mierem Wykałajczykiem na czele, ludzie, którzy dla ratowania resztek, czy też pozorów, ojczyzny zdecydowali się ulec dwuznac- nej sugestii angielskiej i dogadać się jakoś z Komuną. Jednocześ- nie w zalany przez Czerwoną Armię kraju trwał niebываły zamęt. Miliony ludzi jechały natłoczonymi pociągami ze Wschodu na Zachód, zajmować nowe ziemie, staroendecką modą zwane teraz Piastowskimi — już to komuniści błysnęli tu elastycznością i niespodzianym talentem politycznym: nawet marksistowski dok- tryner, chłopski filozof Baryłka ani się zająknął przy używaniu dawnej, osławionej, nacjonalistycznej frazeologii. Jednocześnie trwały bratobójcze walki, po lasach czatowały grupy niedobitków Armii Podziemnej i przenaizomajszych, samorzutnych częstokroć formacji, wśród których nie brakło ekstremistów z ugrupowań skrajnie prawicowych, nie mających w nowej sytuacji nic do stra- cenia. Wszyscy oni toczyli partyzancką walkę z nową, komunis- tyczną administracją polską, gdzie, obok karierowiczów i agentów nie brak też było i ludzi naiwnie ideowych z dawnej lewicy. Sło- wem tragiczny zamęt i poplątanie racji, a do tego ogólne niepoin- formowanie o sytuacji światowej i poglądach tak zwanych Alian- tów (czyich?! — tego już nikt nie wiedział). Tylko grupa rozsąd- nych profesorów w starym a jakimś cudem nie zniszczonym Kra- kowie radziła, żeby dać spokój wszelkiej polityce oporu, podpo- rządować się nowej władzy, uznając fakt, że Alianci sprzedali nas Rosji za sowiecką krew i wziąć się tak czy owak do odbudowy zniszczonego i na nowe terytoria przetrzonego kraju. Iście gali- cyjski, austro-węgierski punkt widzenia — a w końcu przecież — jedynie słuszny.

Na tle tego wszystkiego odcinała się jedna grupa, szlachetna, dynamiczna a zgorzkniała i przejęta głębokim buntem: młodzież

z Armii Podziemnej i formacji pokrewnych, młodzież, która przeżyła Powstanie lub też, zgrupowana w podstołecznych lasach, nie zdążyła doń dotrzeć. Ta młodzież rozgoryczona i bez złudzeń, mająca za sobą zawinioną przez Dwóch Wrogów klęskę Warszawy, rozszerzonymi ze zgrozy oczami obserwowała wszystko co działo się wokół, komunistyczną frazeologię, sowiecką okupację, przemieszanie, terror i perfidię. Ta młodzież bliska była nowo- go wybuchu, który swą rozpaczliwą gwałtownością daleko zostawiłby w tyle warszawskie Powstanie a klęski narodowe spowodować by mógł niewymierne i nieobliczalne. Za tę młodzież Józef Glebowicz, ostatni żyjący na wolności członek sztabu Powstania, czuł się odpowiedzialny, tę młodzież ratować postanowił przed ostateczną zagładą, zdając sobie sprawę, że Czerwonej Władzy w Polsce nikt i nic już zmienić nie zdoła, pomimo chętnych wysiłków naiwnego i nie znającego Polski, a tylko chwającego się angielskim poparciem, przybyłego z Londynu chłopskiego przywódcy Wykałajczyka.

Glebowicz nawiązał stare kontakty konspiracyjne i radiowe. Znał swoją młodzież, gdy więc, co przewidywał, parę jego próbnych apeli o zaniechanie konspiracji i ujawnianie się zawiodło, założył sam swoją tajną organizację, właśnie ową „Polskę Wolną”. Cele były antykomunistyczne, ale środki działania łagodne i pół legalne: zabraniał walki wprost, kazał gromadzić siły, popierać Wykałajczyka i czekać: na wybory, na interwencję Aliantów, na zmówienie Boskie. Skanalizował gniew i bunt w jeden strumień, którym kierował, zebrał cały dynamit do jednego magazynu, ujął lont w ręce, zapobiegając przypadkowemu wybuchowi i — nie konspirując się nadmiernie — wyczekiwał. Wyczekiwał okazji do swojego, ratującego narodową substancję manewru, w którym tym razem nikt mu już nie przeszkodzi: był sam, sam jeden, w dodatku upoważniony do wszelkich działań przez resztki rozwiązanego londyńskiego rządu — a to się w Kraju liczyło, ten sentyment trwał — jeden z niewielu...

Okazja nadarzyła się niezadługo, tak jak przewidział. Aresztowano go i postawiono w stan oskarżenia, szykując do rychłego, pokazowego procesu. Teraz... Wiedział, że musi działać szybko, dopóki nie zaczną go toturować, dopóki jest sobą i władza swoim umysłem. Wystarczy przecież pozbawić człowieka snu przez tydzień, aby zaczął kwilić jak dziecko, roztkliwiając się nad sobą i przyznając do win popełnionych lub niepopełnionych. Do tego nie można było dopuścić. Pułkownik Glebowicz natychmiast zażądał kontaktu z najwyższymi władzami Nowej Polski, odmawiając kategorycznie zeznań przed kimkolwiek innym. Szczęśliwie trafił na Żydów, a ci mieli doń sentyment, kierował w 43-cim pomocą

dla walczącego getta, w jego Wydziale Wywiadowczym pracowało sporo osób semickiego pochodzenia, pomagał im ukrywać się i przeżyć. Żydzi z najwyższej, komunistycznej Centrali umieli to ocenić, poza tym w głębi duszy sami czuli się niepewnie w roli sowieckich namiestników, władających dziwnym, zdziaczalym przez wojnę i okupację krajem.

I w rezultacie — udało się. Pułkownik Glebowicz zgodził się wydać listę przywódców i aktywistów „Polski Wolnej”, zgodził się powiedzieć na procesie kilka lewicowych frazesów, odciąć się od dawnych kierowników Podziemia i wezwać młodzież, aby wróciła do legalnego życia — za to obiecano mu, że nikt nie będzie aresztowany ani karany za dawne grzechy, że wszystkim pozwolą ujawnić się i powrócić do społeczeństwa a on sam nie posiedzi w ciupie dłużej niż dwa lata. Układu tego dotrzymano, obustronnie dotrzymano. Nikt z „niezłomnych”, co potępiali pułkownika Glebowicza, iż na procesie odrzekł się od swej przeszłości i próbował przypodobać nowej władzy, nikt z tych polskich mędrków, oskarżających go o zaprzaństwo, o słabość charakteru czy, w najlepszym wypadku, o strach przed torturami, nikt z tych ludzi nie domyślał się, że to on, dawny szef Wywiadu Politycznego, pokierował procesem tak jak chciał, pomanewrował komunistycznym sądem tudzież prokuraturą i za parę zimno wypowiedzianych frazesów ocalił i przywrócił do życia kwiat warszawskiej oraz w ogóle polskiej młodzieży. Przeprowadził wreszcie swój manewr z komunistami, do którego odmawiano mu prawa w dzikich warunkach konspiracyjnych przed Powstaniem, pokazał, jak się robi prawdziwie narodową politykę. Dzięki niemu to skompleksowany Krzysztof mógł głosić swój pozytywistyczny program na łamach partyjnej prasy — dzięki niemu, a nie, jak prostodusznie sądził, dzięki interwencji snobistycznego redaktora Boruty. Dzięki niemu stało się w Warszawie wiele rzeczy, choć nikt o tym nie wiedział — a raczej *dzięki temu*, że nikt o tym nie wiedział. Warunkiem powodzenia manewru i umowy była ich obustronna tajność. Nikt też nie miał prawa przewidzieć, że skazany na dziesięć lat więzienia pułkownik Józef Glebowicz zostanie po dwóch latach amnestionowany i wypuszczony na wolność. W polityce nie chodzi o publiczne laury, ważne jest tylko i jedynie — skuteczność.

Potem już wypadki wymknęły mu się z rąk, poszły swoim torem. Nastąpiły awanturnicze próby wskrzeszenia „Polski Wolnej”, robił to na własną rękę „Franek” i przybyły z Londynu B..., spowodowali bolesne straty w ludziach, ale straty te nie objęły powstańczej młodzieży, uratowanej przez pułkownika Glebowicza. A później przyszedł ów rok 1949, rok pokazowego terroru stalinowskiego, kiedy to aresztowano wszystkich, wszystkich bez wyjątku, ze Starym Józkiem i jego ludźmi na czele. Przesiedzieli wtedy

„za niewinność” prawie siedem lat, aż do przełomu 1956. Ale to już jego konta nie obciąża, to było nieobliczalne, jak żywioł, jak burza czy huragan. Poszli wtedy przecież do więzienia wszyscy, poszli najwyżsi notable partyjni, z Szefem Baryłką, sekretarzem Mleczką i Admirałem na czele, poszli londyńscy generałowie, co się zgłosili do Warszawy, poszli dawni socjaliści, którzy poparli komunę. „Za twoje myto jeszcze cię obito!”. Na to już nie tylko Józef Glebowicz ale w ogóle nikt w całej Polsce nie miał wpływu — z kolei po roku 1956 wszystkim wynagrodzono lata nieobliczalnej ciupy a umowa zawarta przez Glebowicza odżyła w pełni. Czego nie może zrozumieć niemądry Krzysztof ani niemądra Anna.

I, oczywiście, generał Lubiński. Parę lat temu Stary Józio pojechał do Londynu i spotkał się z tamtym w młdej kawiarni Café Grotta na Leicester Square. Sprawca Powstania postarzał, ale nie stracił pewności siebie. Boczył się na Glebowicza, oskarżając go o wkopanie ludzi, boć w aresztowaniach 1949 padli ofiarą i ci ujawnieni przez Józia kierownicy „Polski Wolnej”. — Pułkownik wygubił ludzi, wygubił bez rozkazu! — powtarzał z uporem tępy starzec, co sam nosił na sumieniu setki tysięcy padłe w Warszawie. — Nie wygubiłem, tylko ratowałem, bo... — perswadował cierpliwie Glebowicz. Wreszcie tamten zaproponował formułę, w swoim pojęciu kompromisową. „Wszelkie umowy z bolszewikami to oszustwo i kant, pułkownik bolszewików nie znał i dał się wciągnąć. Ale może i chciałeś dobrze, czort cię pobież! Więc chodźmy na wódkę”. I poszli.

Tak, sprawę wyjaśnia tylko tajny, zdeponowany gdzie trzeba, w kraju i poza krajem, memoriał Starego Józia. Ale w aktualnej, międzypokoleniowej komedii omyłek i on na nic się nie przyda. Oto Janusz, wnuk, co „nie minął książki”, wyciągnął z niej swoje, dziwne wnioski: znów powstańcze i straceńcze, jakby w tym narodzie w przynajmniej co drugim pokoleniu konieczna była klęska. Tyle, że Janusz przygotowuje sobie klęskę wyłącznie własną, osobistą, umyślili coś z tym młodym, opętany Bogdanem — że niby w tych czasach odpowiedni jest terror indywidualny, społeczna terapia wstrząsowa. Stary Józio nie wiedział, co tam knuli, ale obawiał się tego i nie pochwalał, choć Anna uważała go za podżegacza. Janusz zdenerwowany był komunistami i dawał się temu zdenerwowaniu ponieść — niesłusznie. Owszem, dokuczili mu, ale głównie z głupoty, któż widział przejmować się nadmiernie komunistyczną głupotą i widzieć w niej jakiś niedocieczony demonizm? To jest też swoiste uwięzienie mózgu, zasugerowanie się, zauroczenie rzekomą siłą, wszechmocą — uwięzienie duszy i zawężenie perspektyw, właściwe dookolnym Ludziom z Akwarium.

Tomasz STALIŃSKI

## Wiersze

### Kohélet

„A ja wam powiadam lepiej być  
swiniopasem z Amager, którego  
słuchają świni, niż poetą niezro-  
zumiałym wśród ludzi”.

Kierkegaard

widziałem najlepsze umysły mego czasu  
siejące popiół słów na wiatr

marność nad marnościami  
rzekł Eklezjastes  
marność nad marnościami  
co więcej ma człowiek  
ze wszystkiej pracy swojej  
którą się trudzi

widziałem Miłosa jak w pustej auli  
czeszał włosy białymi palcami  
widziałem starego katastrofistę  
pochylonego jak chimera  
nad zatoką San Francisco  
nadsłuchiwał o zmroku głosów z Litwy  
a widział tylko za ciemną wodą  
tandetne niebo Swedenborga  
ale nazajutrz rano gdy góra Tamalpais  
znów brała na bary miedziane zorze  
prostował się w oknie na świat otwartym  
i z hartowaną pogodą dziękował  
za białe żagle za błękitne morze

pokolenie przemija  
 i pokolenie nadchodzi  
 a ziemia na wieki stoi  
 słońce rano wschodzi  
 i na noc zapada  
 wiatr przebiegając wszystko wkoło  
 wraca się do swoich kręgów  
 wszystkie rzeki wpadają do morza  
 aby znowu płynąć  
 i nic nie ma nowego  
 pod słońcem

w portyku wielkiego muzeum  
 gdzie Grekom skradzione marmury  
 wystawił ongi Lord Elgin  
 widziałem Herberta  
 siedział wśród profesorów i gołębi  
 i jasnym głosem skandował  
 obłoki obłoki obłoki  
 potem długo z Tukidydesem w rękę  
 obliczał cenę wygnania  
 na piersiach miał cyklopią ranę  
 którą ironią opędał  
 od samarytańskich much

ja Eklezjastes byłem królem  
 izraelskim w Jeruzalem  
 i umyśliłem w sercu swoim  
 szukać i dowiadywać się  
 mądrze o wszystkim  
 i widziałem pod słońcem  
 na miejscu sądu bezbożność  
 a na miejscu sprawiedliwości bezprawie  
 i ujrzałem uciski i żyzy niewinnych  
 a żadnego pocieszyciela  
 i chwaliłem więcej umarłych niżli żywych  
 a za szczęśliwego uważałem tego  
 który się jeszcze nie narodził  
 i nie widział złego  
 które się dzieje pod słońcem

przy którejś tam stacji  
 wewnętrznego kręgu metra londyńskiego  
 spotkałem Kazimierza Wierzyńskiego  
 stał w pożarze kwiatów

przed witryną kwaciarni  
 przygarbiony z popiołem na smagłej skroni  
 za nim na antypodach czasu i przestrzeni  
 raj utracony brzozy i buki  
 przed nim piąta pora roku  
 bez wiatru bez śniegu  
 bez słońca

a więc nic z tego  
 czego pożądały oczy moje  
 nie wzbraniałem im  
 i nie odmawiałem  
 sercu memu radości  
 lecz przypatrując się  
 znalazłem inną marność  
 pod słońcem  
 jest sam jeden  
 i nie ma drugiego  
 ani syna ani brata  
 a jednak pracować nie przestaje  
 i nie może nasycić się  
 oko jego widzeniem  
 ani pieśnią jego ucho

Sułkowski Tadeusz hodował wiersze i róże  
 przeszczepiał rytmy zestrajał pędy głosek  
 gdzie rym z rymem się mijał  
 napisał mocno szpary  
 by popiół słów był ciężki i twardy  
 gdy w pobliskim Ken Wood  
 za gajem Keatsa i błonią Hampsteadu  
 z Mozartem przekomarzały się słowiki  
 a na stiukach Adama  
 pasły się złote lwy i jelenie  
 housekeeper Tadeusz  
 szorował schody i trzepał chodniki  
 i pękiem piór strusich  
 pokorne zmiatał kurze  
 jak gdyby można było skryć się  
 za tarczą mowy piękniejszej niż życie  
 lub zmyć gorycz cudzych schodów  
 ścierką

lepiej tedy dwóm być społem  
 niż jednemu

albowiem mają pożytek  
ze swego towarzystwa  
jeśli jeden upadnie  
drugi go podeprze  
biada samemu  
bo jeśli upadnie  
nie ma nikogo  
kto by go podniósł

dwóch znałem Janów  
jeden pod mostem  
skarłałe od promieni goryczy  
piastował wizje  
tam gdzie słodka płynie Tamiza  
i holownik wśród nocnej ciszy  
huczy seksualnie  
drugi wdziawszy płaszcz przybysza  
popłynął zraniony hejnał  
opatrywać plastrem  
słodkich rymów  
a przekupki rynkowe  
obdarzać  
cukrowym uśmiechem

muchy zdychające  
psują miłą woń drogiego olejku  
droższa jest od mądrości i sławy  
mała i krótkotrwała głupota  
serce mądrego po prawej stronie jego  
serce głupiego po lewej stronie jego  
w myśli twojej nie uwłaczaj błaznowi  
a w skrytości pokoju twego  
nie gardź nędznikiem  
wie bowiem sumienie twoje  
że i ty często hołdowałeś marności  
a ucisk zasmucał cię  
i pozbawiał mocy serca

mówiono mi że Wojacek  
w macicy kubła się zabawiał  
tnąc skórę barwnymi szkiełkami  
a kiedy obmierzły mu  
*les beaux jours*  
na rośnym padole

wzniósł się na stryczku  
w migdałowy obłok  
w zawsze gościnne krocze nieba

przyjemne jest światło  
i miło jest oczom widzieć słońce  
weselże się tedy  
w młodości twojej młodzieńcze  
oddal gniew od serca twego  
i odrzuć zło od ciała twego  
póki się nie przerwie  
sznur srebrny  
i nie skurczy wstęgą złota  
póki nie rozbije się wiadro  
nad źródłem  
i nie złamie się koło  
nad studnią  
i wróci się proch do ziemi  
swojej z której był  
a duch wróci się do Boga  
który go dał  
nie masz nikogo  
który by zawsze żył  
i który by taką nadzieję miał  
nie bądź zatem  
nazbyt gorliwy  
abyś nie umarł w czasie nie swoim  
ani mądry więcej niż potrzebna  
abyś nie zgłupiał

Jacka spotkałem na Mokotowie  
przy błękitnawym kiosku Ruchu  
żarliwym jak kauter słowem  
wypalał nagłówki dzienników  
obstając że teraz  
miejsce poety jest na ulicy  
rwał zardzewiałe druty druku  
a na Niepodległości  
kryto brukiem jezdnię  
i płonęły jesienne stopy drzew  
warszawskim ogniem  
który i grzeje i pali ręce

toteż widziałem  
za dni marności mojej

sprawiedliwy ginie  
 w sprawiedliwości swojej  
 a bezbożny długo żyje  
 w złości swojej  
 i choć czasem  
 panuje człowiek nad człowiekiem  
 na swoje nieszczęście  
 wszystkie rzeczy na przyszły czas  
 zachowane są w niepewności  
 idźże tedy  
 a jedz chleb swój  
 z weselem  
 i pij wino swe z radością  
 używaj żywota z żoną  
 którą miłujesz  
 po wszystkie dni  
 niestałego żywota twego  
 które ci są dane pod słońcem  
 przez wszystkie dni marność twojej

znałem poetów  
 którzy dla papuci w szkocką kratę  
 i kominka buzującego sośniną  
 którzy dla barszczu z grzybkami  
 w niedzielę  
 i wieczornej wizyty teściów  
 sprzedawali wyobraźnię  
 po ziarnie na raty

i tych co w pogoni  
 za nową metaforą  
 zdradzali żony  
 w pluszu i cieniu taksówek  
 całując błękitne jak Adriatyk oczy  
 pod srebrnymi łuskami powiek  
 w wielkomijskich windach  
 lecających z klekotem  
 w neonowe niebo

i poznałem  
 iż bardziej gorzka niżli śmierć  
 jest niewiasta  
 która jest sidłem łowców  
 a serce jej niewodem  
 a ręce jej pętami

widziałem też i tę prawdę, pod słońcem  
 serce mądrych gdzie smutek jest  
 a serce głupich gdzie wesele  
 śmiech poczytałem za błąd  
 a do wesela rzekłem  
 co się darmo zwodzisz  
 umyśliłem tedy w duszy mojej  
 abym powściągnął od wina  
 ciało moje a serce  
 przeniósł ku mądrości  
 ażbym zobaczył  
 co jest pożyteczne  
 dla synów ludzkich  
 co czynić im trzeba  
 przez wszystkie dni  
 żywota pod słońcem

Kołakowski z diabłem rozmawiał  
 w Trattoria di Roma na Westendzie  
 dr. Schleppfuss w sztruksowym garniturze  
 kolację stawił frutti di mare  
 i butelkę Puligny-Montrachet  
 o zdrowie dbać trzeba drogi profesorze  
 niech pan przykład bierze z Hobbesa  
 który z samym Lewiatanem wchodził w układy  
 niech pan wspomni Hegla z Jeny  
 którego czciło całe Świąte Przymierze  
 a pan ilu ma uczniów  
 w Oksfordzie Ryle'a po Ayerze  
 przecież wszystkim dawno wiadomo  
 że przejście od jest do powinno być  
 jest mrzonką przeszłości myślowym  
 staroświeckich głów  
 że nie ma już mitów  
 by wskrzesiły jak Ezechiel w dolinie  
 suche kości słów  
 tak mówił demon do Kołakowskiego  
 w Trattoria di Roma na Westendzie

i przyłożyłem serce swoje  
 aby poznać mądrość i umiejętność  
 i poznałem że i w tym  
 jest utrapienie ducha  
 bo w wielkiej mądrości  
 jest wiele kłopotu

a kto przyczynia wiedzy  
przyczynia i smutku  
i zrozumiałem  
iż nie może człowiek  
znaleźć żadnej przyczyny  
wszystkich dzieł Bożych  
które się dokonują pod słońcem  
a im więcej męczy się  
tym mniej znajduje  
przeto zdało mi się  
że nie ma nic lepszego  
jak weselić się z pracy swej  
i czynić dobrze  
za żywota swego

zachód organy w kościele co pustoszeje  
zmierch śniedzią pokrył dookolne wzgórza  
w cichej kotlinie  
gdzie rzeka Monnow do rzeki Wye szepcząc wpada  
widzę biały domek  
tam Tarnawski uprawia ogródek  
niebem ciągną jutrzne obłoki  
jak galery przez cieśninę Bosforu  
a Tarnawski uprawia ogródek  
po zmroku w aureoli lampy stołowej  
pisze listy do siostrzeńców  
recepty dla przyjaciół  
rady dla potomności  
językiem serca  
człowieka  
który sztuce oddał talent  
geniusz zaś miłości

cóż potrzeba człowiekowi  
szukać rzeczy większych nad siebie  
gdy nie wie  
co mu jest pożyteczne w życiu jego  
w liczbie dni pielgrzymowania jego  
i w czasie  
który jak cień przemija  
lepsze jest imię dobre  
niżli maści drogic  
i dzień śmierci  
niżli narodzin

śródziemnomorską godziną  
w pionowym słońcu  
które jest młode raz tylko  
przez kocie szpary  
niedomkniętej żaluzji  
ujrzałem Gombrowicza  
stał między dwoma lustrami  
nieruchomo w skośnej poświacie  
połamanych promieni  
i nie było wiadomo  
gdzie człowiek a gdzie odbicia  
dziewięć razy lustra wymieniały  
oprawną w mosiężne ramy twarz  
Gombrowicz patrzył na Gombrowicza  
jak tamten dziwne z ustami robił rzeczy  
smutny i drwiący zarazem  
oczy w głębiach szkła  
co w siebie się zapadało  
jak piraje pożerały własny wzrok  
aż nagle niewidzialna ręka  
domknęła żaluzje  
pobladył ściany błysnął błękit  
przez palce cyprysów  
bystro przemknęły gołębie

mądrego oczy są w głowie jego  
głupi w ciemności chodzi  
i poznałem iż jednaki  
jest obu koniec  
nie będzie bowiem pamięci  
tak mądrego jak i głupiego  
a potomne czasy  
wszystko zarówno pokryją  
zapomnieniem  
i dlatego obmierzył mi  
żywot mój  
gdy widziałem  
że wszystko pod słońcem  
jest marnością  
i utrapieniem ducha

przybyliśmy z Bogdanem na ten brzeg  
szlakiem szalbierzy drwali lemingów  
Eldorado hiszpańskich żeglarzy  
dawno zaszło na zachodnim widnokręgu

dla nas po zmroku wschodzą puszyste gwiazdy  
zawsze z ośmiogodzinnym opóźnieniem  
cypel którym niby kończy się łąd  
jest tylko jednym z wielu łańcucha przyładców  
co biegnie daleko na północ  
nad kamienną podkową zatoki  
z latarnią morską i rykiem syreny we mgle  
piszemy wiersze do dziupli po szarych wiewiórkach  
butelkujemy je w szkle po takim Lowrym  
który jak pisze gdzieś Bogdan  
na wankuwerskiej zapijał się wyspie

a Eklezjastes będąc bardzo mądrym  
nauczał lud i powiedział  
rzucaj chleb twój na wody płynące  
tworzenia wielu ksiąg nie ma końca  
a częste myślenie jest utrapieniem serca

końca mowy wszyscy razem słuchajmy  
*vanitas vanitatum et omnia vanitas*  
tako rzecze Kohelet

Andrzej BUSZA

## Archiwum polityczne

### USA i ZSSR w jednej łodzi

Na dyplomatyczne uznanie Związku Sowieckiego potrzeba było Stanom Zjednoczonym szesnastu lat (1917-1933), na sojusz z nim — ośmiu (1933-1941), na to by wspólnie zająć się przebudową świata — czterech (1941-1945), na to zaś aby całkowicie rozczarować się do tej polityki — tylko dwóch lat (1945-1947).

Dlaczego Stany Zjednoczone tak długo zwlekały z uznaniem Związku Sowieckiego? Przecież uznanie dyplomatyczne nie oznacza aprobaty, a brak uznania, sam przez się, nie zmienia rewolucyjnego systemu w pożądanym kierunku? Czemu zaprzeczono okazję popierania elementów umiarkowanych w Związku Sowieckim — nie uznając go w okresie NEP'u, a uznając w okresie masowych represji? Czemu po zdecydowaniu się na zbliżenie ze Związkiem Sowieckim, prowadzono je tak bez zastrzeżeń — by nagle ocknąć się w oszołomieniu?

Prawdopodobnie dlatego, że Stany Zjednoczone mało interesowały się wewnętrznymi problemami sowieckimi. Kurs polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych zależał od tego, jakie siły brały tam górę — i mógł w tragiczny sposób nie odpowiadać temu, co działo się w Związku Sowieckim.

Zaczynając politykę zbliżenia ze Zw. Sowieckim F.D. Roosevelt — jak się zdaje — brał pod uwagę nie tylko potrzeby okresu wojennego, ale i wzgląd bardziej ogólny, a mianowicie, że ustabilizowana sytuacja na świecie jest niemożliwa bez włączenia w system światowy państwa o takim znaczeniu. Związek Sowiecki wewnątrz systemu światowego wydawał się Rooseveltowi mniej niebezpieczny niż poza nim, i z tego to powodu nie ZSSR zapłacił za wejście do systemu, a jemu zapłacono — przede wszystkim prawem rozporządzania Wschodnią Europą.



*Stalin wyskoczył z łodzi*

Istotnie, gdzie lepiej umieścić destrukcyjny podsystem — w systemie czy poza nim — w wypadku gdy — jak pokazało doświadczenie — samo włączenie nie zmienia podsystemu destrukcyjnego w konstruktywny? Innymi słowy, jeśli wyobrazimy sobie państwa zachodnie jako wiosłarzy łodzi, a Związek Sowiecki jako pływaka, który stara się tę łódź zatopić, to co jest to rozsądniejsze: zaprosić ZSSR na honorowych warunkach do łodzi — w nadziei, że będzie wiosłował razem z innymi, czy też trzymać go poza łodzią, bojąc się że ją zatopi, ale równocześnie żywiąc nadzieję, że osamotniony prędzej czy później utraci siły?

Roosevelt zaprosił Stalina do łodzi. Ale nie zmieniło to ani wewnętrznej, ani zagranicznej polityki Związku Sowieckiego. Stalin nie tylko rozhuśtywał łódź, ale — mówiąc obrazowo — sam z niej wyskoczył. Czując się oszukany i przynajmniej się do swej odpowiedzialności za „narzucanie komunizmu” wschodniej Europie, Stany Zjednoczone dokonały ostrego zwrotu i przeszły do polityki „powstrzymywania komunizmu”, ratując resztę Europy, ale przede wszystkim z postanowieniem nie ustępowania bez walki w Azji. Ale i tu Stany Zjednoczone były skłonne ignorować stosunek samych narodów do „komunizmu”.

Brak zrozumienia procesów wewnętrznych, zachodzących w innych krajach, zmuszał Stany Zjednoczone do nadmiernego polegania na manipulacjach siłami wojskowymi i pomocą gospodarczą. Jeśli się przyjmie, że rewolucje komunistyczne w Azji były wynikiem historycznego rozwoju tych krajów i że komunizm stał się tutaj formą przebudzonego nacjonalizmu i egalitaryzmu, nie zaś rezultatem intryg sowieckich — powojenną politykę amerykańską w Azji można uznać za równie niezręczną, jaką była ona w Europie w czasie wojny.

Gdyby Stany Zjednoczone uznały w 1949 roku Chińską Republikę Ludową, nie tylko uniknęłyby wojny koreańskiej, ale i przyspieszyły odejście ChRL od Związku Sowieckiego. Stworzenie potencjalnego zagrożenia na wschodzie skłoniłoby Związek Sowiecki do ustępstw na zachodzie; nie mając za plecami przyjaznych Chińczyków, ZSSR zgodziłby się w 1953 roku na zjednoczenie Niemiec. Ale Stany Zjednoczone nie tylko nie uznały Chińskiej Republiki Ludowej, ale ponadto zdecydowały się na wydanie decydującej bitwy „komunizmowi” w najbardziej niekorzystnym dla siebie miejscu — w Wietnamie, gdzie reżym — który Stany Zjednoczone popierały tylko dlatego, że był „antykomunistyczny” — w oczach samego narodu był kontynuatorem reżymu kolonialnego i na skutek tego skazany był na zagładę.

Gdzieś pomiędzy dwoma kryzysami — rozczarowaniem Stanów Zjednoczonych do „przeznania komunizmu” w Europie przy końcu lat czterdziestych i rozczarowaniem do „powstrzymania komunizmu” w Azji na początku lat siedemdziesiątych — zaczęło się

to, co obecnie nazywa się „polityką odprężenia”, a co dawniej nazywało się „polityką pokojowego współistnienia”.

Mimo rosnącej potęgi militarnej łódź Stalina, z nędzarskimi Chinami na utrzymaniu i niepewnymi wschodnioeuropejczykami na dziobie, niezbyt nadawała się do uderzenia taranem w łódź zachodnią. Samoizolacja w jakiej znajdował się Związek Sowiecki w ostatnich latach życia Stalina nadwerżyła siły kraju i doprowadziła do szeregu konwulsyjnych reform w latach pięćdziesiątych. Zorientowawszy się w negatywnych rezultatach skrajnej izolacji, Związek Sowiecki wstąpił na drogę przemian wewnętrznych i naprawiania stosunków międzynarodowych.

Stany Zjednoczone zmęczone „zimną wojną” i związanym z nią napięciem wewnętrznym oraz niebezpieczeństwem niespodziewanego ataku, wyszły, chociaż nie bez wahania, naprzeciw. W pierwszym rządzie przecenili one zmiany wewnętrzne, jakie nastąpiły w Związku Sowieckim po śmierci Stalina. W dodatku na sposób myślenia przywódców Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego wpłynęło pojawienie się nowego „kontynentu” politycznego — trzeciego świata — kierując ich w stronę zarówno rywalizacji jak i współpracy.

Śmierć Johna Kennedy i odejście Nikity Chruszczowa zbiegły się z bardziej sceptycznym stosunkiem do odprężenia. Stany Zjednoczone okazały się głęboko uwikłane w konflikt wietnamski, a w Związku Sowieckim znów na kilka lat zwyciężyły idee izolacjonizmu.

Jednak obiektywny bieg historii okazał się silniejszy. Podczas gdy Stany Zjednoczone już osiągnęły poziom państwa usiłującego niczego w świecie nie zmieniać, a zachować to co jest, także Związek Sowiecki zaczął stopniowo zbliżać się do tego poziomu. Od któregoś momentu musiała nieuchronnie powstać potrzeba porozumienia.

Obiektywny charakter tego zbliżenia widać najwyraźniej w tym, że po obu stronach przywodził mu ludzie dość bezbarwni, którzy w przeszłości okazywali jedynie wrogość wobec przeciwnego systemu. Jednak właśnie ich bezbarwność oraz fakt, że każdy z nich był przedstawicielem aparatu biurokratycznego, pomogła ich zbliżeniu i lepszemu wzajemnemu zrozumieniu. Dlatego też, ten kto u siebie szedł od jednego zwycięstwa nad wolnym słowem do drugiego, mógł współczuć drugiemu, który został w swoim kraju pokonany przez wolne słowo.

*Świat stoi równowagą atomową*

Rozważając zalety odprężenia w porównaniu z zimną wojną nie możemy oczywiście mówić, że odprężenie jest alternatywą wojny. „Zimna wojna” stanowiąca rodzaj sublimacji wojny gorącej, nie mniej skutecznie zapobiegała wojnie jak i odprężenie, ponieważ pokój utrzymywał się i utrzymuje dzięki równowadze

atomowej. Dlatego też obustronne ograniczenie zbrojeń, nawet jeśli zostanie osiągnięte, nie zmniejszy ani nie zwiększy niebezpieczeństwa wojny.

Wzrost zbrojeń jest skutkiem konfrontacji, a nie jej przyczyną, a także w dużym stopniu jest skutkiem postępu naukowego i technicznego. Ponieważ samo porozumienie w sprawie takich czy innych ograniczeń nie zlikwiduje ani konfrontacji ani postępu, wyścig zbrojeń zahamowany w jednym miejscu zawsze wystąpi w innym. Ograniczenie zbrojeń może być rezultatem odprężenia, ale nie jego jedyną czy główną treścią. Dlatego odprężenie najlepiej uważać nie za instrument zachowania pokoju, lecz ulepszenia świata, w przeciwnym bowiem razie nie miałyby to żadnego sensu.

Odnosi się jednak wrażenie, że dla Stanów Zjednoczonych celem odprężenia jest właśnie zachowanie istniejącego stanu rzeczy. Wydaje się, że starają się one opleść Związek Sowiecki pajęczyną umów i dwustronnych zobowiązań i pozbawić go tym samym możliwości naruszania równowagi świata z obawy, by nie podrzeć tej sieci.

Dla Związku Sowieckiego — strony wciąż jeszcze atakującej — cele odprężenia są znacznie szersze. ZSSR stara się wyjść z izolacji z trzech co najmniej przyczyn: po pierwsze, aby zbliżywszy się do Zachodu manipulować krajami zachodnimi, można by rzec: pojedynczo, a nie *en bloc*, jak to się głównie dzieje obecnie; po drugie, aby zabezpieczyć sobie spokój na tyłach z uwagi na wrogie stosunki z Chinami; po trzecie, aby przewyciężyć związane z izolacją zacofanie gospodarcze.

Mimo znacznych osiągnięć w zakresie przemysłu wojennego, gospodarka Związku Sowieckiego jest mocno zacofana i wymaga modernizacji technologicznej i organizacyjnej, niemożliwej bez pomocy Zachodu. Ponadto zacofanie rolnictwa zmusza Związek Sowiecki do systematycznych zakupów zboża na Zachodzie: bez tych zakupów dwa nieurodzaje pod rząd są w stanie zachwiać sowiecką ekonomię, a nawet spowodować masowe rozruchy.

Poza tym wszystkim odprężenie można wytłumaczyć, jak sądzę, dwoma nie całkiem widocznymi, lecz istniejącymi okolicznościami. Po pierwsze, że Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki uważają się nawzajem za jedynych równych partnerów; po drugie, że państwa te wraz z innymi rozwiniętymi krajami zaczynają czuć się nie tylko rywalami, ale i w pewnym stopniu sojusznikami — swego rodzaju garstką sytych wśród tłumu głodnych.

Mówię o tych tendencjach zdając sobie sprawę, że istnieją też tendencje odmiennie i że Związek Sowiecki w oczach Stanów Zjednoczonych pozostaje po dawnemu siłą destrukcyjną. Niezależnie od tego czy amerykańscy przywódcy zdają sobie z tego sprawę czy nie, rzeczywista zmiana polityki zagranicznej ZSSR jest niemożliwa bez zmiany sytuacji wewnętrznej.

Trudno wyobrazić sobie państwo, łączące ustawiczny ucisk i przemoc wewnątrz z pokojowością i ustepliwością na zewnątrz;

taka pokojowość oznaczałaby jedynie słabość militarną lub kamuflaż. Z tego względu wszelka liberalizacja wewnętrznej polityki Związku Sowieckiego może być nie tylko pożądana przez Amerykanów ze względów humanitarnych, lecz i niezbędna z punktu widzenia ich własnego bezpieczeństwa, i dlatego Amerykanie powinni ją uważać za jeden z celów polityki Stanów Zjednoczonych.

Ponieważ Stany Zjednoczone wypracowując swą strategię polityczną wybrały nie izolację Związku Sowieckiego, lecz współpracę z nim, możliwe były dwa warianty taktyczne:

1) iść na zbliżenie ze Związkiem Sowieckim licząc na to, że współpraca ze Stanami Zjednoczonymi, i w ogóle z Zachodem, stopniowo sama przez się „zmiękczy” ZSSR;

2) uwarunkować każdy krok wobec Związku Sowieckiego żądaniem określonych zmian zarówno jego wewnętrznej jak i zagranicznej polityki, zdając sobie sprawę z ich wzajemnej zależności.

Odnosi się wrażenie, że Nixon i Kissinger wybrali pierwszą drogę, jako z oczywistych względów wymagającą najmniejszego wysiłku i prowadzącą do od razu widocznych rezultatów. Zadanie zbliżenia ze Związkiem Sowieckim wymagające, powiedzmy, dwóch dziesięcioleci, Kissinger postanowił rozwiązać w niewiele więcej niż dwa lata. Pośpiech ten odzwierciedla może nie tylko sposób myślenia samego Kissingera, ale i charakterystyczną cechę amerykańskiego sposobu myślenia w ogóle — sposobu myślenia *businessman'ów*, którzy chcą od razu zobaczyć namacalne rezultaty swych wysiłków.

Skłoniło to rząd amerykański do pośpiesznego podpisania szeregu ustępstw tylko po to, by można było powiedzieć i pokazać współobywatelom na ekranach telewizyjnych: proszę, zrobiliśmy to, to i to. Tymczasem Stany Zjednoczone mają do czynienia z partnerem, wobec którego niebezpiecznie jest się spieszyć. Jeśli nawet przywódcy sowieccy nie dysponują wieloma błyskotliwymi przymiotami Kissingera, to potrafią znakomicie nie tylko stać sobie dalekie cele, ale i cierpliwie czekać.

#### *Metody poniżające prestiż Stanów Zjednoczonych*

Amerykańska polityka różni się od sowieckiej jeszcze dwoma cechami szczególnymi. Polityka zagraniczna jest tu swego rodzaju uczennicą polityki wewnętrznej, sposób myślenia działaczy państwowych, którzy dochodzą do kierownictwa polityką zagraniczną, przez całe lata kształci się na problemach wewnętrzno-politycznych, i wszystkie metody, których nauczyli się w polityce wewnętrznej stosują i w zagranicznej. Amerykańska polityka wewnętrzna oparta jest na swobodnej grze sił, rozstrzyganej kompromisowo, natomiast sowiecka na bezkompromisowym realizowaniu dyrektyw. I jeśli Stany Zjednoczone świadomie — a jesz-

cze częściej nieświadomie — zasiadają do stołu rozmów z myślą o kompromisie, to Związek Sowiecki zasiada przy nim z zamiarem wypełnienia swego zadania całkowicie, idąc tylko na ustępstwa fikcyjne.

Drugą dziwną cechą polityki amerykańskiej, jak i w ogóle polityki Zachodu, jest traktowanie Związku Sowieckiego jak małego dziecka, któremu na wiele się pozwala i którego nie należy drażnić, aby nie zaczęło krzyczeć, a które potem, jak dorośnie, wszystko zrozumie. To długoletnie „wychowywanie” ZSSR metodą doktora Spocka wyraża się nie tylko nieskończoną ilością drobnych ustępstw ze strony Stanów Zjednoczonych, ale i w postępkach wręcz poniżających dla ich prestiżu jako wielkiego mocarstwa. Najdobitniej wyraziło się to w niechęci prezydenta Forda do zaproszenia Sołżenicyna do Białego Domu, ponieważ Kissinger obawiał się, że to rozżłości Breżniewa.

Takie zachowanie jest w ogóle bardzo charakterystyczne dla przedstawicieli rządu amerykańskiego. Tak na przykład pewien amerykański dyplomata, z którym znamy się już ponad 10 lat, i który niedawno powrócił do Moskwy, uchylił się od spotkania ze mną, choć pośrednią drogą przesłał mi wyrazy swojej sympatii.

Znając charakter tych, którym Amerykanie starają się podobnymi metodami przypodobać, sędzę, że chociaż zyskuje to niewątpliwie ich aprobatę, wzbudza też i pewną pogardę. Sytuacja przypomina stosunki między sklepikarzem a policjantem w jakimkolwiek miasteczku przedrewolucyjnej zachodniej Rosji: sklepikarz płaszczy się przed nadętym policjantem, żeby ten nie przeszkadzał mu handlować i żyć jak pączek w maśle.

Z wiekiem widzę coraz wyraźniej, że wszystko co najlepsze na naszym świecie wyraża się w stosunkach międzyludzkich — miłości męża do żony, rodziców do dzieci, współczuciu, wyrozumiałości, zwykłej uczciwości — podczas gdy wszelka ideologia i doktryna, jeśli nie traktuje się jej ostrożnie jako hipotezy roboczej, może spowodować się do ścinania głów lub, w najlepszym razie, do nabijania sakiewki.

To, że dwaj ludzie, którzy bez żadnych kłopotów spotykali się ponad 10 lat temu, a obecnie w okresie „odprężenia” nie mogą się spotykać, nie przemawia na korzyść jego ludzkich aspektów. Dążenie do „nieprzeciążania” — jak powiedział dr Kissinger — odprężenia problemami ludzkimi, do ustępowania w kwestiach humanitarnych — jako politycznie nieważnych, a drażliwych dla Związku Sowieckiego — po to, by popierać sprzedaż Pepsi-Coli jako rzeczy realnej, nie wydaje się słuszne w świetle nie doraźnych, ale długoterminowych zadań samych Stanów Zjednoczonych.

Jeśli Stany Zjednoczone stawiają sobie za zadanie nawiązanie rzeczywistej przyjaznych stosunków ze Związkiem Sowieckim i chcą być pewne ich trwałości, winny dążyć do przekształcenia sowieckiego podsystemu z zamkniętego w otwarty. Uświadomienie sobie przez ludzi sowieckich swych praw ludzkich jest siłą dzia-

łającą w tym kierunku. Ponieważ Ruch Obrony Praw Człowieka nie ma dywizji, politycy-policjanci i politycy-sklepikarze skłonni są go lekceważyć. Ale wydaje mi się, że właśnie światowy ruch w obronie praw człowieka stanie się przekształcającą świat siłą, która zatrumfuje zarówno nad nieludzką opartą na gwałcie, jak i nad nieludzką opartą na obojętności.

Prawdziwą stabilizację znaleźć można tylko w ruchu, tylko w rozszerzaniu swego wpływu. Stany Zjednoczone winny dążyć do zmiany świata, jeśli chcą jego równowagi. System nie stawiający celów ekspansjonistycznych kurczy się i zamiera. Świat przeżył wiele odmian ekspansji — wojskową, gospodarczą, kulturalną. Jeśli Stany Zjednoczone potrafią stać się centrum nowej ekspansji — humanitarnej, skierowanej do obrony praw człowieka na całym świecie — ich przyszłość będzie zabezpieczona na długo.

### „Odprężenie” wymaga nieustępliwości

Jest rzeczą interesującą, że ten idealistyczny czynnik dawał się już w mniejszym lub większym stopniu zauważyć w polityce amerykańskiej w ciągu całej historii Stanów Zjednoczonych. Staroświecki, europejski sposób myślenia politycznego — bez zrozumienia perspektywy historycznej i bez zainteresowania dla wzniesionych celów — nie będzie chyba długo panował w amerykańskiej polityce zagranicznej. Jak bardzo pragnęłyby dr Kissinger odrzucenia problemów humanitarnych, pojawiają się one w takiej czy innej formie, co widać szczególnie na przykładzie rozbieżności zdań między administracją a Kongresem w sprawie handlu i emigracji ze Związku Sowieckiego.

Te rozbieżności zdań, choć dla administracji kłopotliwe, dają jej także pewne korzyści. Trójkąt Kissinger-Breżniew-Jackson przypomina nieco sytuację, kiedy to przestępcę stara się złamać dwóch sędziów śledczych, z których jeden krzyczy i wali pięścią w stół — senator Jackson, a drugi uśmiecha się uprzejmie i obiecuje pobłażliwość — Sekretarz Stanu Kissinger, tak, że na skutek kontrastu przestępca ulega uśmiechowi.

Rząd Stanów Zjednoczonych znajduje się niewątpliwie pod naciskiem kół finansowych, z fabrykantami napojów chłodzących na czele, zainteresowanych współpracą z ZSSR, który traktują jako gigantyczny, potencjalny rynek zbytu i źródło surowca oraz taniej siły roboczej. Współpracy gospodarczej można wówczas tylko przyklasnąć, jeśli będzie ona jednym z elementów odprężenia, nie zaś kształtującą to odprężenie siłą.

*Businessman*'i bez wątpienia mieli ogromny udział w stworzeniu współczesnej Ameryki, lecz kiedy stali się naczelną siłą polityczną, doprowadzili Stany Zjednoczone do granic katastrofy — do Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych. Nie należy się dziwić, że właśnie kapitaliści tak śmiało popychają swój rząd do współpracy z tymi, którzy głoszą jako swój cel ich unicestwienie. Oto co przeszło sto lat temu pisał angielski syndykalista T.J. Danning,

cytowany z aprobatą przez Marksa: „Kapitał... odznacza się naturą bojaźliwą... Ale gdy pokaże się na horyzoncie dostateczny zysk, kapitał staje się odważny. Zapewnijcie 10 %, a kapitał zgadza się na wszelkie propozycje, przy 20 % ożywia się, przy 50 % jest w pełni gotowy do złamania karku...”

Amerykanie to naród entuzjastów. Kiedy entuzjazmowali się „zimną wojną” — nie wiem czy słychać było tam jakieś trzeźwe głosy, proponujące inną alternatywę. Obecnie Amerykanie rozentuzjazmowali się „odprężeniem” — i bardzo dobrze, że rozlegają się głosy ostrzegawcze. Może zostaną dosłyszane upomnienia, że odprężenie wymaga powściągliwości i nieustępliwości, a nie tylko gotowości wychodzenia naprzeciw, że darmowe ustępstwa prowadzą do nowych żądań.

Alternatywą odprężenia, którą usiłują przedstawić jej zwolennicy, jest odprężenie, dokonywane w inny sposób, odprężenie przy którym cele dalekosiężne nie będą poświęcane na rzecz doraźnych i przy którym trzeba będzie nauczyć się czekać, na to czego się chce.

Polityka zagraniczna nie istnieje sama dla siebie, jest ona funkcją wewnętrzną sytuacji kraju, która ze swej strony zależy od warunków zewnętrznych. Przyjmując, że bez zbliżenia ze Związkiem Sowieckim Stany Zjednoczone nie mogą nań oddziaływać, równocześnie trzeba stwierdzić, że bez konstruktywnego oddziaływania, zbliżenie to może być dla Stanów Zjednoczonych nawet niebezpieczne. Jeżeli za każdy cetnar, za każdy sekret technologiczny Związek Sowiecki będzie płacił nie tyle złotem, co krokiem w kierunku demokratyzacji swego społeczeństwa — tylko wówczas jego polityka zagraniczna przestanie stanowić zagrożenie dla Zachodu.

Niechaj jednak ta zmiana, ten „miękki nacisk” na Związek Sowiecki, nie nosi charakteru raniącego jego miłoścy własną, niech przebiega pod hasłem domagania się od Związku Sowieckiego wypełnienia deklaracji międzynarodowych przezeń podpisanych, i niech każde ustępstwo ZSSR witane będzie nie jako „Zwycięstwo Zachodu”, lecz jako krok w stronę wspólnego dobra.

W powstałym trójkącie stosunek Stanów Zjednoczonych do Związku Sowieckiego i do Chińskiej Republiki Ludowej, mimo podobieństwa — jest różny. Chiny ani ekonomicznie, ani społecznie, ani politycznie nie dorosły jeszcze do prawdziwego partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi, a z militarnego punktu widzenia przedstawiają dla nich znacznie mniejsze niebezpieczeństwo niż ZSSR. Równocześnie sprężyna rewolucji nie rozkręciła się jeszcze w Chinach do końca, i żadna próba nacisku na nie, celem spowodowania zmian wewnętrznych, przypuszczalnie nie da rezultatu. Chiny są jeszcze tak daleko od Zachodu, że wszystko co się tam dzieje traktowane jest niemal tak, jakby działo się na księżycu. Chiny są jeszcze zanadto „obce”, by opinia społeczna zajęła się tymi, którzy tam są prześladowani.

Inna sprawa ze Związkiem Sowieckim. Na skutek swego tragicznego euroazjatyckiego położenia jest on zarazem i bliższy i

bardziej niebezpieczny dla Zachodu, niż Chiny. Sprężyna rosyjskiej rewolucji wykręciła się całkowicie, i poruszając się siłą bezwładu Związek Sowiecki winien być znacznie podatniejszy na nacisk Zachodu, zwłaszcza mając za plecami wrogo nastawione Chiny. I jest zupełnie oczywiste, że im bardziej będą się rozwijać więzi Związku Sowieckiego z Zachodem, tym bardziej „rozumiały” stanie się on dla Zachodu, tym uważniej zachodnia opinia publiczna będzie śledziła to, co się dzieje w ZSSR.

Jeśli rywalizacja Związek Sowiecki - Chiny będzie się nadal zastrzała — a sądzę że będzie — wówczas więzy Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Sowieckim i Chinami zmienią się w rękach amerykańskich przywódców w rodzaj lejc, którymi mogliby oni kierować historią świata.

Tylko pytanie czy potrafią?

Zakładamy, że państwo, czy grupa państw, wypracowując długoterminową politykę, winny określić cel, strategię i taktykę. Gdy się patrzy z Rosji, może się zdawać, że nawet uznając strategię Stanów Zjednoczonych za słuszną, ich taktyka w gruncie rzeczy szkodzi ich celowi. Ale co ważniejsze, polityka Stanów Zjednoczonych, — a jeszcze bardziej Zachodu jako całości — zdradza mglistość celów, lub nawet ich brak, gdyż zachowanie politycznego *status quo* i wzrost ekonomiczny to jeszcze nie cel.

Może dezintegracja i zanik zaufania do siebie jakie oświadczyły obecnie Zachodem i częściowo znalazły wyraz w „odprężeniu” doprowadzą do oświadczenia sobie przezeń wielkiego celu — przebudowy świata, której podstawę stanowić będzie osoba człowieka, osoba w sensie ogólnoludzkim, a nie jako istota egoistyczna. Wówczas Zachód, odzyskawszy wiarę w siebie, przemówi innym językiem.

Andriej AMALRIK

Moskwa-Engure, sierpień 1975

(Przełożył z rosyjskiego M. B.)

Andriej Amalrik zwrócił na siebie uwagę książką „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?”\*. Jest także autorem „Niezamierzonej podróży na Syberię” oraz szeregu artykułów.

21 maja 1970 A. Amalrik został aresztowany i postawiony pod sąd za rozpowszechnianie „literatury, zawierającej kłamliwe oszczerstwa, oczerniające sowiecki system państwowy i społeczny”. 26 maja wysłano go do Swierdłowska, by uniknąć rozgłosu wokół procesu i protestów w Moskwie.

Rozprawa odbyła się w Swierdłowsku 11-12 listopada 1970 roku. Amalrik przekazał przewodniczącemu sądu oświadczenie na piśmie i odmówił dalszego udziału w przewodzie sądowym. Skazano go na trzy lata łagru o obostrzonym reżymie.

Po pięciu latach łagrów, powtórnym aresztowaniu i zsyłce Amalrik został wreszcie uwolniony. Nie dostał zameldowania w Moskwie, ale pozwolono mu na kilkudniowe przyjazdy do stolicy (gdzie mieszka jego żona).

Przytoczony tekst ukazał się po raz pierwszy — ze skrótami — 22. 10.

\* „Biblioteka Kultury”, tom 190, 1970, cena: F. 10.

1975 w New York Times, za którego zezwoleniem zamieszczamy poniższe tłumaczenie z tekstu oryginalnego.

Podtytuły pochodzą od redakcji Novoye Russkoye Slovo, gdzie oryginalny tekst ukazał się w całości 2 listopada 1975.

## Widziane z Brukseli

### TÊTE A TÊTE Z MUMIĄ

Motto: „Giscard w mauzoleum: hołd dla marksizmu-leninizmu czy maskarada? *Humanité*, organ KP Francji.

Jedno krótkie zdanie, a w istocie cały splot historycznych wydarzeń.

Po pierwsze, historyczna była wizyta Valéry Giscard d'Estaing (w dalszym ciągu poufale, ale wygodnie zwanym VGE) w Moskwie. Dlaczego? Zaraz opowiem.

Po drugie, historyczne było złożenie wieńca przez szefa zachodniego państwa pod murem mauzoleum. Dlaczego? Zaraz opowiem.

Po trzecie, historyczne jest zdanie zacytowane z *Humanité*. Dlaczego? Odpowiadam od razu. Dlatego mianowicie, że po raz pierwszy chyba — i ostatni, mam nadzieję — zgadzam się z tym dziennikiem. To stwierdzenie prowadzi nas prosto do drugiego historycznego wydarzenia, jakim było złożenie wieńca czy też wiązanek (to bardziej elegancko) u ściany mauzoleum, gdzie spoczywa wódz proletariatu, Włodzimierz Lenin.

VGE był pierwszym szefem zachodniego państwa, który odbył pielgrzymkę do dzieciątka Lenin, nie licząc prezydenta Portugalii Gomeza, ale ten był tak zdezorientowany, pozbawiony doświadczenia i znajomości historii, że trudno mu to brać za złe. VGE natomiast zna historię współczesną i wie kto w oszklonej trumienec poczywa. Zaskoczenie samych Rosjan było tak szczere, że swe kwiatki VGE złożył na małym stolicku, na chybcika podrzuconym przez kustosza kremlowskich salonów.

### Kwiatki dla gułaga

*Humanité* ma więc rację. Nie był to akt hołdu dla marksizmu-leninizmu, dziś już nawet poważnemu marksście nie przyszłoby to do głowy, a była to rzeczywiście maskarada.

Nie znaczy to abym wątpił w intencje VGE, który chciał uczy-

nić gest wobec gospodarzy, a może i szerzej. „Patrzcie, zdawał się wołać, jaki ja tolerancyjny. Choć przeciwnik komunizmu, to składam kwiatki na grobie jego twórcy. Niech żyje odwilż ideologiczna”. Chciał po drugie zrobić gest wobec swoich komunistów. „Patrzcie, wołał, jaki ja liberał i bierzcie ze mnie przykład. Mamy odmienne ideologie, ale ja szanuję cudze poglądy. Niech żyje odwilż ideologiczna”.

Nie wyszło. Pudło było fatalne. VGE myślał, że powtarza gest Brandta na kolanach w warszawskim getcie. VGE się mylił. Różnice są zasadnicze.

Po pierwsze, gest Brandta był szczerzy i spontaniczny, gest VGE najzupełniej wyreżyserowany. Po drugie, Brandt złożył hołd ofiarom ludobójstwa i to dokonane przez jego własnych braci. VGE złożył natomiast hołd owszem, twórcy państwa sowieckiego, ale równocześnie twórcy Czeki. Brandt, po trzecie, padł na kolana przed gehenną narodu żydowskiego, VGE pochylił się w trumny budowniczego pierwszych w ogóle obozów koncentracyjnych, człowieka, który kazał zamykać do kacetu „wszystkich podejrzanych”, inspiratora „archipelagu gułag” i systemu stalinowskiego ludobójstwa, odpowiedzialnego za gehennę narodu rosyjskiego i stu innych narodów.

No i w końcu VGE mylił się gorzko, jeżeli sądził, że składa w ten sposób hołd narodowi rosyjskiemu. Mauzoleum Lenina to dziś w Moskwie coś w rodzaju wieży Eiffla. VGE myślał, że chyląc czoła i zachowując chwilę milczenia u czarnego muru Czerwonego Placu jest sam na sam z narodem rosyjskim. Był sam na sam ale tylko z maleńką, wyschniętą mumią...

### Berezyna bez Napoleona

No i trzecie wydarzenie historyczne, to sama moskiewska wyprawa VGE. Jest to taka nowa Berezyna i choć występuje tu ks. Poniatowski, to Napoleona nie ma. Całość tej nowej nieudanej francuskiej wyprawy na Moskwę ma znaczenie historyczne, albowiem stanowi kliniczny wprost przykład ogromu nieporozumień i pogmatwania pojęć, jeżeli nie po prostu nieudolności, z jakimi Zachód wkroczył — żeby nie powiedzieć wdepnął — w epokę po-helsinkach.

Sto stron tzw. dokumentu z Helsinek jest pełnych niedomowień, niejasności, dwuznacznych banałów, nadających się do bardzo odmiennych interpretacji. Otóż, VGE miał pecha, padł ofiarą okoliczności, był po prostu pierwszym szefem poważnego państwa europejskiego, który udał się z wizytą do Moskwy po złożeniu 35 podpisów pod fińską komedią w trzech koszykach z prologiem i epilogiem. VGE znał prolog i koszyki, nie wiedział natomiast, że będzie do tej komedii epilog i że to on właśnie będzie jego głównym bohaterem.

VGE zainkasował więc całą porcję przestróg czy nauk, jakie u

progu nowego post-fińskiego etapu, Moskwa chciała przekazać nie tylko Francji, ale i całej Europie Zachodniej. VGE zapłacił cały koszt tej operacji i jeżeli jego wyprawa na Moskwę pozostanie w historii, to właśnie jako klucz do dokumentu z Helsinek, jako bryk pozwalający rozwiązać podstawowe niejasności ukryte na dnie trzech, a przede wszystkim trzeciego koszyka wplecionego z takim wysiłkiem w Helsinkach.

Nieporozumienie albo raczej usuwanie nieporozumień zaczęło się od pierwszego dnia. Przyzwyczajeni do „uprzewilejowanego traktowania” w Moskwie zdziwieni Francuzi stwierdzili więc od razu, że powitanie było wyjątkowo chłodne, że tylko jakieś 30 ciężarówek przywiozło masy pracujące dla spontanicznego pomachania małymi chorągiewkami, że duże flagi francuskie zniknęły natychmiast po przejeździe ostatniego samochodu z orszaku prezydenta, że Breżniew się nie uśmiechał, że pierwsze wiadomości o wizycie prezydenta Francji zajęły mniej miejsca w *Prawdzie* niż depesza gratulacyjna kremłowskiej trójki do prezydenta mocarstwa Gwinea-Bissau, że dziennikarze francuscy pozostawali w całkowitej ciemności, albowiem ani razu rzecznik sowieckiego MSZ-u nie raczył do nich przemówić, że także Breżniew z dziennikarzami nie gaworzył, jak to czyni zawsze kiedy czeka na dostojnego gościa w sali kremłowskiej.

Tak nadszedł wieczór, a z nim obiad czyli kolacja. Obaj panowie wymienili toasty i Breżniew, naturalnie, znał pełny tekst przemówienia VGE, natomiast VGE znał tylko niepełny tekst przemówienia Breżniewa. Kiedy natomiast poznano oba teksty, okazało się, że uprzedzając propozycje VGE, aby *détente* czyli odprężenie objęło również sferę sporów ideologicznych, Breżniew powiedział, że on tego nie potrafi, bo walka ideologiczna to zjawisko obiektywne, niezależne, jak deszcz czy wiatr, od woli człowieka, jak to stwierdził człowiek, którego VGE uhonorował kwiatkami.

Po czym nadszedł znowu ranek i VGE ze zdumieniem stwierdził, że z wywiadu jakiego udzielił *Prawdzie* prawie nic nie zostało, że z tekstu, w którym VGE w pierwszej osobie opowiadał narodowi rosyjskiemu o jego (VGE) zasługach dla utrwalenia przyjaźni francusko-sowieckiej pozostały tylko banały i to w trzeciej osobie.

Po czym nadeszło popołudnie, kiedy to VGE wracał z samowarem z Tuły. Wypoczywał właśnie na pokładzie YAK-40, kiedy sekretarz podał mu depeszę od Breżniewa. „Jestem cierpiący, powiadał Breżniew, przeziębilem się na lotnisku, kiedy czekałem na Pana, lekarz zabronił wychodzić, nie mogę się dziś z Panem zobaczyć. Jeżeli to Panu nie robi różnicy, odłożmy to na jutro”. Naturalnie, odpowiedział grzeczny VGE, „życzę szybkiego powrotu do zdrowia, a tymczasem wykorzystamy złotą rosyjską jesień, aby co nie co pooglądać...”.

Ale kiedy VGE zaczął oglądać, to się okazało, że to nie Breżniew jest chory, ale że w Moskwie wybuchła epidemia. Równocześnie bowiem zachorowali i anulowali spotkania z kolegami

z Paryża ministrowie spraw zagranicznych, przemysłu i handlu zagranicznego. Zdziwił się VGE, zwłaszcza kiedy nazajutrz spotkał Breżniewa w świetnej formie. Zdziwienie zmaleło, kiedy anulowano jeszcze jedno spotkanie VGE-Breżniew. Francuzi podpisali więc szybko komunikat o przyjaźni i kilka teoretycznych kontraktów handlowych, po czym odlecieli o dwie godziny przed czasem. Zarobiony czas wykorzystali na myślenie. Sądząc z oficjalnych wypowiedzi, jeszcze ciągle myślą. My natomiast zaczęliśmy wcześniej, w związku z czym już myślenie zakończyliśmy. Oto jego plód. Mieści się on w czterech lekcjach i sprowadza do jednego wniosku.

#### Lekcja nr 1: Murzyn zrobił swoje...

Tylko naiwny człowiek mógłby sądzić, że to propozycja VGE odprężenia ideologicznego wywołała zły humor na Kremlu. Gdyby nawet VGE nie wysunął propozycji ideologicznego „buzi”, to i tak musiałyby zapłacić kosztą tej podróży, a Breżniew i tak wykonałby swój manewr. Należy studiować historię, pod tym względem nic nowego w Moskwie nie zaszło.

Kiedy w 1959 roku zjawili się w Moskwie panowie MacMillan i Selwyn Lloyd, premier i minister spraw zagranicznych rządu JKM, Chruszczow, który także chciał udzielić Europie lekcji politycznej, dostał nagle bólu zębów i odesłał gości na wycieczkę do tego samego Kijowa (może takie polityczne Lourdes sowieckie?) i też bez żadnego dobrego towarzystwa.

Pierwsza lekcja zaaplikowana VGE oznacza w tym kontekście, że dla Kremla Helsinki oznaczają koniec pewnego etapu europejskiej historii. Po załatwieniu z Brandtem sprawy niemieckiej, a przede wszystkim po uznaniu NRD i po załatwieniu, głównie z Francuzami zresztą, sprawy Helsinek — to znaczy prawnego — uznania faktycznej dominacji sowieców na Wschodzie, Kreml nie potrzebuje już średnich — nie mówiąc o małych — państw dla dalszego prowadzenia dyplomacji.

Jeżeli chodzi o VGE, to Moskwa mu w ten sposób dała do zrozumienia, że aby być *salonfaehig* nie potrzebuje już rekomendacji Paryża. Dopóki polityka np. de Gaulle'a mogła, zdaniem Moskwy, prowadzić do osłabienia NATO czy EWG, Francja była traktowana w „uprzewilejowany sposób”. Uprzywilejowanie osłabło, kiedy Nixon z Kissingerem wprowadzili dyplomację superczytową, a w ogóle się skończyła kiedy w Paryżu nastąpił VGE.

Jest to w Moskwie człowiek podejrzany i gdyby Breżniew mógł, to posłałby go siać kwiatki na Sołówkach. VGE dezorientuje Kreml. Człowiek, który w maju anuluje święto zwycięstwa, a w październiku składa hołd Leninowi, to dla Moskwy amator. Kiedy ambasador Czerwonienko odwiedzał, ku wściekłości lewicy, kandydata na prezydenta Valéry Giscard d'Estaing, to był to akt

nadziei. Kiedy Breżniew się przeziębził i anulował dwa spotkania z VGE to był to akt beznadziei.

W Moskwie nic nie jest dziełem przypadku. Nie było więc błędem nieodpowiedzialnego dziennikarza, jeżeli *Prawda*, akurat w czasie wizyty VGE wydrukowała ogromny artykuł o znaczeniu stosunków sowiecko-...amerykańskich. Podobnie jak nie było przypadkiem jeżeli w chwili kiedy VGE wzruszał się pod murem, *Prawda* wydrukowała oświadczenie Biura Politycznego komunistycznej partii francuskiej bardzo, oględnie mówiąc, niechętnego dla prezydenckiego gościa.

Wszystkie te „aluzje” były tak grubo szyte, że pierwszym gestem VGE po powrocie do Paryża było obsobaczenie dziennikarzy francuskich za „obraźliwe i nieodpowiedzialne” zainteresowanie stanem zdrowia Breżniewa. Być może Breżniew miał początek grypy, ale tak ostro ustawiając dziennikarzy (oni zawsze są winni) i podkreślając — wbrew temu co powiedział sam Breżniew — że szef KPZS był w bardzo dobrej formie, VGE dawał wyraźnie do zrozumienia, że to nie czynniki „biologiczne”, a polityczne spowodowały zamieszanie w Moskwie.

Najśmieszniej ujął to pewien dziennikarz sowiecki: „Kiedy raz nareszcie nasz szef przyznaje publicznie, że jest chory, to mu nikt wtedy nie wierzy”, dziwił się. Niestusznie. Breżniew właśnie chciał, aby nikt mu nie uwierzył, a on przecież wie, że jedynym sposobem osiągnięcia odwrotnego efektu, jest oficjalne i publiczne oświadczenie przywódcy sowieckiego.

Oto więc lekcja pierwsza. Dopóki państwa Europy Zachodniej zjawiać się będą w Moskwie w szyku rozpięzchłym, w pojedynkę, w rozbiciu, ba, gorzej, bo radując się z potknięć konkurentów w śmiesznym biegu z przeszkodami do sowieckich czułości — krótko mówiąc dopóki postępować będą tak jak dotychczas, dopóty zajmować będą miejsca na strapontenach, z tyłu, albo wprost stojące i traktowane będą pogardliwie, gorzej niż Gwinea Bissau czy Uganda marszałka Amina.

To rozbita Europa sprawiła lub przyczyniła się do tego, że jedynym biegunem dyplomacji sowieckiej stały się USA, że na Ameryce spoczywa cały ciężar wyzwania, jakie rzucił Breżniew swym konkurentom w Biurze Politycznym. Jasne, można i należy się spodziewać określonych inicjatyw Moskwy w kierunku Europy Zachodniej, ale będą to — z wyjątkiem bieżących interesów i małych zabiegów (Kreml niczego nie zaniedbuje) — raczej otwarcia w kierunku EWG czy nawet, dlaczego nie, NATO. Reszta, a więc zboże dla zbankrutowanego rolnictwa, technologia dla drepczącej w miejscu Syberii, SALT a więc nieco oddechu w niszcącym wyścigu zbrojeń, to wszystko ma tylko jeden adres — USA. Prezes General Motors jest dziś ważniejszy dla Moskwy niż następca generała de Gaulle'a. Gdyby VGE położył pod mauzoleum nie małą wiązanek chryzantem, a cały ogród pałacu Elizejskiego, to i tak tego zestawienia by nie zmienił.

Idąc pod mauzoleum VGE myślał, że wykazuje siłę ducha. Dla Rosjan była to oznaka politycznej słabości.

## Lekcja nr 2: Na dnie koszyka

Aż wstyd wracać do tej formuły, ale nikt jeszcze nie wymyślił lepszej. Dla Zachodu wszystkie koszyki z Helsinek były równe, dla Rosjan, którzy znają Orwella lepiej od Francuzów, jeden koszyk, trzeci mianowicie, był mniej równy od innych. VGE, pierwszy liberał w Moskwie po Helsinkach, i w tej sprawie stał się mimowolnym *porte-parole*'m Breżniewa.

Otóż, Rosjanie uważają, jak to już *Kultura* nieraz zauważyła, że tylko klauzule dotyczące nienaruszalności granic i współpracy gospodarczej są operacyjne w całości i natychmiast. Żeby nie gubić się w szczegółach zacytujmy tylko przykład zupełnie świeżego układu o sojuszu między NRD a ZSSR. Niektórzy, niefachowcy, dziwili się po co w ogóle taki układ, skoro stary, aktualnie obowiązujący, wcale jeszcze nie wygasł, ba, ma jeszcze przed sobą 10 lat życia, no i po co nowy układ tak nagle, na chwilę dostawnie przed przyjazdem VGE?

Postudiujmy dokumenty, a dowiemy się prawdy. Pozornie układ, niczego sobie, podobny do takich samych układów jakie ZSSR zawarł już np. z Czechosłowacją i Węgarami, gdzie też gwarantował granice. Znacznie bardziej pouczające było natomiast porównanie z poprzednim układem ZSSR-NRD. Z nowego tekstu znikła mianowicie wszelka aluzja do ewentualnego zjednoczenia obu państw niemieckich. Mała różnica, a cieszy. Ile treści. Jest to klasyczny przykład jak w tej branży Wschód rozumie wnioski z Helsinek. Schmidt jest oczywiście innego zdania, ale chętnego słuchacza znalazł tylko w pełnym gustownych spluwaczek gabinecie Mao Tse-tunga...

VGE natomiast się tym nie interesował, w istocie bowiem on zgadza się z poglądem, iż Helsinki przekreślają wszelką teoretyczną szansę zjednoczenia Niemiec. VGE interesował się natomiast koszykiem nr 3.

Otóż, aby z koszyka nr 3 przejść do lekcji nr 2, to w pół roku po Helsinkach nikt nie powinien się łudzić co do absurdu jakiegokolwiek nadziei na liberalizację niektórych najbardziej nieludzkich praktyk na Wschodzie. To prawda, czasem Moskwa ulega i wspaniałomyślnie, na prośbę VGE i kanclerza Kreisky'ego, pozwoliła na *rassenschande* Spaskiego z jakąś francuską urzędniczką i nieznanego szerzej pisarza Sokołowa z jakąś austriacką urzędniczką. Ale, w ogóle, to Kreml kategorycznie odrzucił dyskusję nad propozycją francuską aby ująć w jakąś formę bilateralną sprawę mieszanych ślubów czy łączenia rodzin. To *niet* było tak chamskie, że nawet *Le Monde*, znany z wyrozumiałości wobec wschodniego super-mocarstwa, nazwał to praktyką „z innego wieku”, co po francusku odnosi się do średniowiecza, i co jest obrażą dla średniowiecza, kiedy to mieszane śluby były nawet w modzie a ustawy norymberskie o czystości rasy nie tylko nie były aplikowane do sfery ideologicznej, ale nie były nawet znane.

Od czasu wizyty VGE Rosjanie udoskonali swój arsenał perswazji i gustowna kampania przeciw Sacharowowi, odbieranie paszportów emigrantom żydowskim na chwilę przed przekroczeniem granicy, to tylko niektóre z nowych argumentów, mających przekonać VGE i jego kolegów, że Rosja — kraj socjalistycznego humanizmu — nie ma zamiaru za Helsinki płacić ani liberalizacją ani demokratyzacją, ani żadną inną „acją”.

Wprost przeciwnie. Wyśmiewając wszelkie próby ideologicznego wyciszenia stosunków w ZSSR, czy stosunków Wschód-Zachód, czy stosunków między VGE a Marchais, Breżniew uprzedził, iż nie tylko nie osłabi, ale wprost przeciwnie wzmoże to, co on nazywa „wojną ideologiczną” i to na zasadach, tak jak on je pojmuje.

### Lekcja nr 3: Czwarty rozdział WKP(b)

Breżniew miał rację, kiedy przy deserze na Kremlu powiedział, iż VGE raczy się mylić i że odprężenie nie może objąć sfery walki ideologicznej. Ani w dokumencie końcowym (cóż za trafna nazwa) z Helsinek ani w żadnym innym dokumencie podpisanym ostatnio przez Rosjan, nic nie upoważnia nas do żywienia złudzeń, iż Moskwa w zamian za cokolwiek skłonna byłaby osłabić tzw. czujność ideologiczną, czyli mówiąc bardziej przystępnie, osłabić dżierzymordstwo na wewnątrz, znieść kurtynę i knebel na granicy, zmniejszyć presję swej propagandy państwowej i partyjnej za granicą.

Wszelka propozycja rozciągnięcia *détente* na tzw. ideologię nie miała żadnej szansy. Próba taka nie mogła się powieść. Kreml nie jest samobójcą.

Zacznijmy od intencji VGE. Domyślam się, że chodziło mu o ulgę na dwóch frontach starcia ideologicznego: międzynarodowym i rosyjskim zarazem oraz wewnętrznym, francuskim. Otóż jeśli chodzi o front międzynarodowy i rosyjski, to nie można go zarazić odprężeniem, bo front taki po prostu nie istnieje. Istnieje natomiast mecz do jednej bramki, gdzie tylko Rosja strzela gole i gdzie byłoby idiotyzmem i lekkomyślnością z jej strony, gdyby choćby na chwilę zgodziła się przestać je strzelać (to będzie temat lekcji czwartej).

Jeżeli chodzi natomiast o front francuski, to znaczy o wpływ Kremla na osłabienie presji francuskiej kompartii na rząd VGE, to ten zabieg też nie mógł się udać. Z dwóch mianowicie powodów. Po pierwsze dlatego, że wcale nie jest pewne, iż p. Marchais w tej akurat kwestii posłuchałby się Kremla. Po drugie dlatego, że Moskwa wcale tego nie chce i że presja KPF na VGE jest bardzo skutecznym elementem dyplomacji ZSSR.

Lekcja trzecia głosi więc (nie przestając tego powtarzać), że trzeba się uczyć dialektyki (czwarty rozdział krótkiego kursu WKP(b) powinien wystarczyć dla polityków zachodnich). Zasada,

że pokojowe współistnienie nie pozostaje w sprzeczności z walką ideologiczną, choć jest to absolutna brednia, jest tak stara jak rewolucja, jeżeli nie starsza, i sprowadza się w istocie rzeczy do zwyczajnej operacji taktycznej. Zachód nie jest w stanie tego pojąć, choć Lenin od początku zakładał pomoc zachodnią „aż ich nie wydusimy”, Stalin — strach wspominać — *lend-lease*’u nie odrzucał, choć głosił „wyrzucenie kapitalizmu za burtę”, Chruszczow owiany „duchem Camp David” zapowiadał „my was pogrzebiemy”, a w końcu sam Breżniew, krupny teoretyk, sformułował prawo, według którego szanse klasy robotniczej w walce z kapitalizmem rosną, a nie maleją jak sądzi VGE, w warunkach odprężenia i pokojowego współistnienia lub *détente*.

Upór Zachodu w przyswojeniu sobie tej prawdy spowodował właśnie Berezynę VGE. Podstawowe nieporozumienie, które Moskwa przy okazji wizyty VGE rozwiąta, polega na odmiennym na Wschodzie i na Zachodzie rozumieniu słowa *détente*. Zachód wyobrażał sobie *détente* jako nirwanę, zwycięstwo apostołskich Hermesów w rodzaju naszego rodaka Samuela Pisara (bliskiego druha VGE, *by the way*), proroka idei „pokój przez handel”, jako powolne przekształcenie Kremla w instytut cnotliwych młodzieńców, błogi stan, w którym idee XIX-wiecznego liberalizmu wraz ze zbożem, technologią i komputerami zainstalują w Moskwie miłość człowieka, przekształca partię bolszewicką w *Amnesty International* a Armię Czerwoną w Armię Zbawienia.

No, przesadzam, ale w każdym razie pogląd Zachodu różni się bardzo od rosyjskiej interpretacji pojęcia *détente*. Dla Kremla odprężenie jest fazą w konflikcie Wschód-Zachód, fazą która potrwa tak długo, jak długo będzie osłabiać Zachód i jak długo będzie bezwzględnie korzystna dla ZSSR. *Détente* nie przeszkodziła Kremlowi w całkowitym zaangażowaniu się w Wietnamie, w dostarczeniu całego kolosalnego sprzętu niezbędnego dla podbicia Południowego Wietnamu przez „partyzantów”, nie przeszkodziła w całkowitym zaangażowaniu się na Bliskim Wschodzie, w przygotowaniu wojny kipurowej, w obecnym podszykowaniu Syrii do samodzielnego (jeżeli chodzi o sprzęt) rozpętywania nowej wojny, do dostarczania broni wszystkim możliwym przeciwnikom Zachodu w Ugandzie, Angoli, Libanie, nie mówiąc już o Portugalii i Kubie, a nawet terrorystom z IRA, rozmaitym Carlosom itp. Że demonizują?! Poczekajcie, a przekonacie się, że *détente* nie przeszkodzi Kremlowi zadziać ani w chwili otwarcia sukcesji w Pekinie, ani przede wszystkim w Jugosławii. Tito jest mądrzejszy i zna Moskwę lepiej od VGE, więc już rozpoczął działania ochronne, zamykając i skazując kilkudziesięciu tzw. „kominformistów” czyli zwyczajnych agentów Moskwy...

Trzeba lojalnie przyznać, że Kreml tej dwoistości nigdy nie ukrywał, że cała jego propaganda, przy okazji wizyty VGE np., pełna była pouczeń na temat równoległości *détente* i tego co Kreml uważa za walkę ideologiczną. Breżniew zrobił wszystko, aby francuski gość nie wpełzł bez przygotowania na śliski teren



materializmu historycznego. Nie szczędził przestróg. Opisane przez nas dokładnie akcje panów Ponomarewa i Zarodowa, bliskich współpracowników Breżniewa, wołających o rewolucyjne i gwałtowne dobitcie kapitalistycznego psa, powinny były wystarczyć, aby uchronić VGE przed wysuwaniem niewczesnych pomysłów. Breżniew posunął się nawet do udzielenia (widocznie nie miał grypy) oficjalnej i uroczystej audiencji Zarodowowi, choć (a może właśnie dlatego) jego artykuł przyjęty był bardzo krytycznie na Zachodzie. Ale wszystkiego było za mało. Niepomny przestróg VGE zaszurał w Moskwie, no i dostał nauczkę.

#### Lekcja nr 4: wojna ideologiczna będzie

Proklamując, słusznie, jak widzieliśmy, wojnę ideologiczną, coraz ostrzejszą w ramach odprężenia, Breżniew ma na myśli jednak wojnę bardzo specjalnego typu. Bardzo jednostronną, mianowicie. Wojna ta jest więc nieuchronna i obiektywna, pod warunkiem tylko, że jej nie ma (!) i że zamiast starcia dwóch co najmniej przeciwników, polega ona na działaniach wojennych tylko jednej — jego mianowicie — strony.

Breżniew domaga się i uzyskuje dostęp do wszystkich odłamów zachodniej opinii i to w każdy dostępny sposób. Prasa sowiecka jest do nabycia w każdym dużym kiosku w Paryżu czy Brukseli. Natomiast w porównaniu z „wachlarzem” gazet w Moskwie nawet kioski w Madrycie czy Santiago wyglądają jak w Nowym Jorku. Ambasady sowieckie i oddziały agencji *Nowosti* wydają biuletyny, przynoszące na cały Zachód najbardziej nieprzytomne czy wręcz skandaliczne płody propagandy rosyjskiej (pamiętamy jeszcze proces i skazanie ambasady ZSSR w Paryżu za prymitywny artykuł antysemitki). Że prasa komunistyczna na Zachodzie upowszechnia z całkowitą swobodą cały swój program ideologiczny, tego przecież czytelnikom *Kultury* uświadamiać nie trzeba. Mówiąc w skrócie, Breżniew zrealizował w 100 procentach zalecenia z Helsinek w kwestii swobodnego krążenia jego własnych idei.

Jeżeli natomiast chodzi o Zachód, to na froncie ideologicznym nic się nie zaostrza, bo tego frontu po prostu nie ma. Idee zachodnie nie cyrkulują swobodnie, bo albo nie są lansowane, albo są skutecznie wyłapywane na granicy. Jak napisał *New York Times* „Moskwa chce mieć swobodę głoszenia kłamstw na temat Zachodu, odmawia jednak Zachodowi prawa mówienia prawdy o ZSSR”. Nie jest to refleksja odkrywczą, ale lepiej późno niż wcale.

To w imię tej zasady Rosjanie nie tylko cenzurują u siebie nawet *Humanité* czy *Unità*, ale starają się, i czasem im się to udaje, rozciągnąć cenzurę na Zachód. W czasie wizyty VGE drugi kanał telewizji francuskiej nadał program na temat ZSSR. Normalna rzecz. Tak, ale, po udzieleniu głosu pewnej pani profesor z Instytutu Gazowego, która nie znała, ale ostro potępiała Sa-

charowa, i pewnej pani profesor z konserwatorium, która nie znała ale ostro potępiała Sołżenicyna, dziennikarzy fracuscy poprosili o zdanie panią Sacharow, która właśnie „bawiła” na Zachodzie, i Andrzeja Siniawskiego, który też „bawi” na Zachodzie.

Niby normalnie, według zasady *audiatur et altera pars*, znanej od dawna, chyba jeszcze przed Helsinkami. Tymczasem Moskwa zagrzemiała: „to jest antysowieckie krążenie idei, to nie jest *détente*, a zimna wojna”. No i co było dalej? Ktoś pomyślałby, iż taki protest został z szyderczym śmiechem po prostu odrzucony. A guzik. Przedstawiciel dyrekcji TV przeprowadził zupełnie skandaliczną samokrytykę, co — i słusznie — nie wstrzymało represji. Moskwa anulowała mianowicie podróż ekipy telewizji francuskiej na reportaż do Gruzji. Rosjanie z Helsinkami na ustach napluli komuś w twarz, ale ten ktoś zauważył, że to krople jesienno-deszczu.

Rosjanie podpisali niedawno z Ameryką największą umowę w historii światowego handlu zbożowego. Po raz trzeci w ciągu ostatnich 12 lat, Amerykanie wyciągają Rosję z katastrofy. W 1964 Breżniew zainkasował ok. 40 milionów ton (załatwił to jeszcze Chruszczow, ale nie zdążył), w 1972 roku Rosjanie zakupili po cichu poniżej ceny rynkowej ponad 20 milionów ton wywołując kolosalny skok cen w USA, teraz właściwie w ogóle nie wiadomo o ile ton chodzi, bo deficyt kroi się ogromny. W każdym razie zanim jeszcze podpisali długofalowy układ o dostawie 7 milionów ton zboża rocznie, Rosjanie już kupili w USA ponad 12 milionów ton i nie mniej chyba we wszystkich absolutnie krajach świata, gdzie tylko było na zbyciu kilka kilo zboża, ryżu, soi, grochu, *bref*, wszystkiego co tylko rośnie i da się spożyć przez człowieka czy krowę.

Piszę o tym stosunkowo dokładnie, aby państwa poinformować o dwóch rzeczach. Po pierwsze o tym, że Zachód w duchu drugiego koszyka z Helsinek, handluje jak się da, ile się da z ZSSR, dzięki czemu pomaga Breżniewowi, Gierkowi i innym sekretarzom pochwalić się sukcesami partii w uratowaniu swych obywateli od klęski głodowej w ramach kolejnej zwycięskiej 5-latki.

Po drugie o tym, iż gwałcąc ducha trzeciego koszyka z Helsinek Breżniew nie pozwolił prasie pisać ani jednego słowa na temat sukcesu drugiego koszyka. W efekcie, Rosjanie dowiadują się regularnie o zbrodniach i rasizmie w USA, o bankructwie Nowego Jorku, o bezrobociu, inflacji, o (z jednego tylko artykułu *Izwiestii*) podsłuchu telefonicznym, teczkach personalnych tajnej policji, prześladowaniu obywateli za ich poglądy polityczne i o morderstwach politycznych w... USA, natomiast, na zasadzie „wojny ideologicznej” nie dowiadują się o tym, iż spożywając w czasie oglądania tak skonstruowanych programów sowieckiej TV, ich *TV-dinner*, zjadają chleb amerykański. A kiedy Wolna Europa nieśmiało o tym mówi, to Moskwa to zagusza, bo takie krążenie informacji zagraża pokojowi świata.

Kiedy, żeby zostać przy małym ekranie, telewizja szwedzka na-

dała niedawno program o Czechosłowacji i przekazała zdanie dwóch byłych działaczy „praskiej wiosny”, władze Husáka zagrzały, że jest to pogwałcenie ducha Helsinek, dywersja i zamach na suwerenność, nie mówiąc już, bo to jasne, a Praga się na tym zna, że jest to sprzeczne z etyką dziennikarską (dosłownie!). Ale kiedy Praga ukarała telewizję szwedzką i nie wpuściła jej do Czechosłowacji dla nakręcenia drugiej części tego programu, to to się nazywa wojną ideologiczną, jest obiektywne, i nieuniknione. Ponieważ jest to wojna, której Zachód nie zna, więc nikt się nie rzucił naprzód, do boju, nie było żadnego protestu, nikt nie mówił o etyce dziennikarskiej. Na szczęście tylko Stokholm to nie Paryż i nikt samokrytyki nie składał.

W czasie niedawnego, dość zabawnego międzynarodowego spotkania dziennikarskiego miałem okazję, bardzo rzadką na ogół, względnie spokojnej i rzeczowej wymiany zdań z kolegą z Moskwy. Zapytał on pozornie logicznie: „A jakim prawem chcecie u nas kontestować naszą własną ideologię?”. Nie odpowiedziałem, bo to byłaby demagogia: „A jakim prawem, wy kontestujecie naszą?”, ale pytanie sowieckiego dziennikarza to właśnie argument, na mocy którego Zachodowi nie wolno „bo to jest ingerencja i naruszanie suwerenności” docierać do Moskwy z informacjami o umowie zbożowej, nie mówiąc już o protestach przeciw archipelagowi Gułag dla Twierdochlebowa, banicji Sołżenicyna czy psychiatrycznej mordowni dla Piuszcza. Natomiast kiedy Rosjanie nawołują do strajków, do rewolucyjnego przejmowania władzy, kanonizują Angelę Davies, organizują rozmaite piątkokolumnowe ruchy pokoju, wysyłają Szelepina, aby nas uczył wolności związkowych i publikują regularnie nasze nekrologi, to to się nazywa wojną ideologiczną, jest obiektywne i nieuchronne.

Kiedy rozmaite organizacje filantropijne, rozmaici stracenicy w rodzaju helikopterowego pilota amerykańskiego, lub rozmaici szmuglerzy, płatni od sztuki, przynoszą wolność ofiarom wschodnio-niemieckiego socjalizmu, to jest to, w ustach Moskwy i Berlina, krwawy akt agresji, nie mówiąc już o podarciu na strzępy dokumentu z Helsinek. Ale kiedy NRD aresztuje całe 20 milionowe społeczeństwo, odcinając je od świata granicą, w którą się składa kilkuset zabitych oraz 900 km naelektryzowanej siatki, 550 km pasów minowych, 150 km automatycznie strzelających gniazd broni automatycznej, 320 wież strażniczych, psy specjalnie tresowane no, i *last but not least*, skromny mur berliński, to to się nazywa obiektywną wojną ideologiczną.

Kiedy tony literatury zalewają Zachód, żeby zohydzić Sacharowa i przekonać wysublimowaną, nieprzekupną lewicę zachodnio-europejską, że laureat Nobla to „agent Pinochet, przyjaciel Hessa i syjonizmu”, to jest to wojna ideologiczna. Ale kiedy pięciu młodych Polaków wysłała do Sacharowa depeszę gratulacyjną, ratując w ten sposób honor warszawskich intelektualistów, to to jest dywersja, zamach na socjalizm i łamanie ducha Helsinek. Kiedy resztką zachodniego sumienia woła konającym już głosem, że Czechosłowacja to kulturalna Biafra i że zesłanie Piuszcza to zwy-

czajne morderstwo, to jest to skandal, dywersja, interwencja w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa, rozpętywanie zimnej wojny. Natomiast kiedy Czechosłowacja i ZSSR wzywają do przejęcia władzy przez komunistów w Portugalii, lub do obalenia reżymów w Chile czy Hiszpanii to jest to wojna ideologiczna. A przecież Hiszpania czy Chile, choć to odrażające dyktatury (nie jedyne, nie jedyne) nie proponują światu swych reżymów jako uniwersalnego środka na rozwiązanie wszystkich problemów epoki, ba, jako nieuchronnego końca obiektywnej wojny ideologicznej, co właśnie jest przedmiotem nieustających przestróg, jakie nam reżymy wschodnie, i to u nas w domu, w ramach swobodnego krążenia idei, powtarzają.

Lekcja numer 4 mówi więc o bezsensowności pomysłów typu VGE co do odprężenia w wojnie ideologicznej. Nie należy proponować rzeczy niemożliwych, a należy szanować fakty i do nich się dostosować.

Należy więc postąpić dokładnie wprost przeciwnie niż to racyło uczynić dziewięciu ministrów spraw zagranicznych EWG. Otóż ci dżentelmeni odważnie postanowili domagać się, aby rządy wschodnie stosowały zasady trzeciego koszyka z Helsinek, ale przestrzegali natychmiast, aby nie stosować wobec tych rządów, żadnych, broń Boże, presji, bo mogą się obrazić i wtedy rezultat będzie wprost przeciwny. Nie wiadomo czy śmiać się czy płakać. I po to jedli tę żabę w Helsinkach...

W tym miejscu dochodzimy do końca wykładu. Z wszystkich czterech lekcji wynika bowiem tylko jeden wniosek.

#### *Jeden wniosek: Powstańmy z kolan*

Zamiast błagać o ideologiczne zmiłowanie, Zachód powinien, wprost przeciwnie, podjąć, i to jak najostrzej, ideologiczną rękawicę. W tym celu należy ogłosić powszechną mobilizację mózgów, a przede wszystkim charakterów. Choć jest jasne, że Rosja, przy największej nawet mobilizacji Zachodu, nie stanie się od jutra pluralistyczną demokracją w stylu Wielkiej Brytanii, że *habeas corpus* nie spłynie od jutra na KGB, to Zachód musi ogłosić, że to co jest zbrodnią w Londynie powinno być karane w Moskwie, a to co jest nienaruszalnym prawem człowieka w Paryżu, obowiązywać powinno w Leningradzie.

Zamiast chodzić z kwiatkami na upojne sam na sam z mumią Lenina, należy wyjść na spotkanie jego następcy, proroka nieuchronnej, bezwzględnej, obiektywnej wojny ideologicznej, ale żądać w tej wojnie równych praw. O resztę bądźmy spokojni.

Kiedy Styka malował Matkę Boską, a czynił to na kolanach, chmurki się rozsunały i głos z nieba zawołał: „Oj, Styka, Styka, ty mnie nie maluj na kolanach, maluj mnie dobrze”. Bardziej jeszcze niż w sztuce, pozycja na kolanach przeszkadza w polityce.

Może to bowiem być pozycja religijna lub erotyczna, ale nie jest to na pewno pozycja walcząca.

BRUKSELCZYK

Pisane 4 listopada 1975

## Korespondencja z Rzymu

Majaczenia na temat Krzyża i Czerwonej Gwiazdy

Szkoda że tak wielki talent powieściopisarski marnuje się w kiepskich pamfletach, jaka szkoda że urazy uniemożliwiają mu obiektywną ocenę rzeczywistości. Te i podobne wrażenia nasuwają się przy lekturze ostatniej książki Józefa Mackiewicza „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”, wydanej na wiosnę bież. roku, a stanowiącej kontynuację publikacji „W cieniu krzyża”, która ukazała się trzy lata temu. Publicystyka Mackiewicza w tej dziedzinie ma od lat charakter „instrumentalny” (chce uczynić z Kościoła narzędzie doraźnej polityki). Trzeźwą analizę zastępuje podejście apriorystyczne i ton inkwizytorski. Mackiewicza nie obchodzi ani los Kościoła Powszechnego ani katolicyzmu polskiego — opętany jest przewodnią myślą: czy i w jakiej mierze spełniają funkcję antykomunistycznego taranu. Nawet tam gdzie ma rację — krytykując np. krótkowzroczność papieża i stosowanie przez Watykan podwójnej miary wobec totalitaryzmów prawicowych i lewicowych — przesadza do tego stopnia, że „wylewa dziecko razem z kąpielą”, wężąc wszędzie obecność macek wszechświatowej komunistycznej agentury. Oskarżając np. Jana XXIII i Pawła VI o rzekomo świadomą ustępliwość wobec światowego ruchu komunistycznego, autor utrzymuje że w latach 60-tych Watykan udzielił poparcia włoskiej koalicji rządowej *centro-sinistra* (centrolew), co miało stanowić element przetargu z Moskwą. Jest to kompletnie sfałszowany obraz rzeczywistości: centrolew był zwalczany przez włoską partię komunistyczną, tym bardziej więc niechętnie widziany w Moskwie, ponieważ chadekom i socjalistom włoskim chodziło o wyizolowanie komunistów. Do tego co prawda nie doszło, wręcz przeciwnie, niepowodzenia koalicji centrolewicowej doprowadziły do wzrostu wpływów partii komunistycznej, ale nie sposób oczywiście obarczać za to odpowiedzialnością Watykan, imputując mu diabelskie „przetargi z Moskwą”, a uniewinniając tym samym prawdziwych winowajców: niedołączonych polityków chadeckich i socjalistycznych.

Weźmy inny przykład, tym razem z terenu Ameryki Łacińskiej, której autor poświęca aż kilka rozdziałów, atakując wybitnych

członków hierarchii, jak bp. Camara, za ich stanowisko „antykapitalistyczne”. Chłozcze również chilijską chadecję, oskarżając ją o pro-marksistowskie tendencje (w okresie kiedy była u władzy, ale również kiedy przeszła do opozycji), a jej przywódcę, b. prezydenta E. Frei'a nazywa chilijskim Kiereńskim. Znów „nieporozumienie”. To właśnie chadecję i Frei'a ugrupowania socjal-komunistyczne należące do *Unidad Popular* oskarżyły o antykomunizm, torpedowanie programu reform Salvadore Allende i sprzyjanie juncie generała Pinocheta. Sympatie Mackiewicza są po stronie faszystowskiej kamaryli — domyślamy się. Wolno mu, ale nie kosztem prawdy. Fantazjowanie prowadzi go do przyrównywania programu reform społeczno-gospodarczych chadecji („rewolucja w wolności”) do... „Zagadnień Istotnych”, sławetnego dzieła Bolesława Piaseckiego. Przywódcę Paxu Mackiewicz winduje do rangi „prekursora kompromisu z komunizmem”, na co nie zasłużył. Ani w PRL ani w Chile o żadnym „kompromisie” nie było mowy.

Mackiewicz ignoruje istnienie katolickiej doktryny społecznej, której wskazania nakazują partiom chrześcijańsko-demokratycznym, jak i w ogóle radykalnym katolickim ruchom społecznym, poszukiwanie trzeciego wyjścia po odrzuceniu zarówno rozwiązań kapitalistycznych (które napędzają zwolenników komunistom) jak i eksperymentów lewicowych, które — jak pokazał casus chilijski — prowadzą wprost do faszystowskich „golpe”. Mackiewicz przechodzi nad tym do porządku dziennego, problematyki społeczno-gospodarczej nie zauważa, wszystko niemiłosiernie upraszcza, jeśli nie wręcz wywraca na opak.

Cytuje obficie rozmaite źródła, składające się z prac autorów różnych nacji i orientacji, czasopisma katolickie, zachodnie i krajowe, a nawet oficjalne źródła sowieckie. Nie ewaluuje jednak tych źródeł — niezależnie od ich wartości służą mu po prostu do podbudowania z góry założonych tez. Wynik tego typu zabiegów bibliograficznych jest taki, że informacja o charakterze plotkarskim, przytoczona z jakiegoś mało znanego lub podejrzanego wartości pisma bywa rozdymana do pierwszorzędnej sensacji. Cytuje np. parokrotnie tygodnik włoski *Panorama*, który stanowi źródło bardzo niepewne i mało wiarygodne przytaczając bezkrytycznie informacje, które tutejsi eksperci klasyfikują jako *fantapolitica*. Nie sposób ponadto sprawdzić cytatów, którymi Mackiewicz przytacza czytelnika; niektóre robią wrażenie spreparowanych lub wyjętych z szerszego kontekstu. Do tej ostatniej kategorii należy np. fragment, w którym znęca się nad kard. Kominkiem za użyty przezeń termin „pomost” pomiędzy Zachodem a Wschodem, a przeciwstawiony innemu pojęciu, a mianowicie „przedmurze chrześcijaństwa”. Odnośny cytat jest tak skonstruowany by skompromitować termin „pomost” (Mackiewicz dodaje: „do komunizmu”, czego Kominek nie powiedział). Takich manipulowanych cytatów jest większa ilość. Rozprawia się z projektem dokumentu synodalnego z roku 1971 o „sprawiedliwości na świecie”, ale milczy na temat uchwalonego na Synodzie z ub. roku

dokumentu „O ochronie praw człowieka”. Takich uników jest więcej.

Stanowisko Mackiewicza jest archaiczne: ma za złe Prymasowi Polski, że odrzuca w stosunku do Polski termin „Kościół Milczenia”. Wyobcowany z rzeczywistości krajowej Mackiewicz chciałby widzieć ją spetryfikowaną w wersji stalinowskiej, pragnie widzieć Kościół zawsze w pierwszej linii aktywnej, antykomunistycznej opozycji i jako ofiarę prześladowań, a członków episkopatu polskiego odzianych w męczeńską włosienicę. Nie obchodzi go ani dobro wiernych, ani rachunek strat i zysków, nie rozumie (prawdopodobnie, owładnięty urazami, nie chce zrozumieć), że interes narodowy polega właśnie na *głośnej* obronie przez Kościół praw ludzkich i obywatelskich oraz religijnej i narodowej racji stanu. Kruszy kopię o prawa legalistycznego ośrodka londyńskiego (nazywa go „rządem”) do posiadania reprezentanta przy Watykanie. Ma więc pretensję do Prymasa Polski, iż od 1959 roku „ignorował” ambasadora Papée i zgodził się na jego dymisję jako *gerente* (*chargé d'affaires*) emigracyjnej placówki dyplomatycznej. Ten sam jednak amb. Papée nie miał o to nigdy pretensji — przeciwnie, wiedziony poczuciem interesów Kościoła w Polsce, zawsze podkreślał, że jego osoba jest obojętna, a jedynym kryterium w osądzaniu tej sprawy może być wyłącznie dobro Kościoła, identyfikujące się ze wzrostem prestiżu i pozycji episkopatu polskiego w samym Watykanie, gdzie różne czynniki objawiały ochotę dogadania się z reżymem bez konsultowania biskupów.

Zastrzeżenia, więcej — sprzeciwi, budzi zwłaszcza cały rozdział trzeci (w części drugiej) pt. „Cena ratowania katolicyzmu”. Przypisuje tam polskim biskupom podjęcie przetargów z władzami państwowymi, polegających nie tylko na ustępstwach „polityczno-ideowych”, lecz również „ustępstwach o wartości moralnej” i posuwając się aż do obraźliwej dla Prymasa Polski analogii z postępowaniem Patriarchy Moskwy i Całej Rusi („pretendowanie do jurysdykcji nad anty-komunistyczną emigracją rosyjską”). W tym ostatnim zarzucie chodzi o wyciągniętą ponownie sprawę przejęcia przez Prymasa Polski, po śmierci bp. Gawliny, opieki duszpasterskiej nad emigracją poprzez swych delegatów, biskupów Rubina i Wesołego. Tym ostatnim wypomina, że złożona przez nich przysięga władzom PRL krępuje ich w solidaryzowaniu się z postawą niepodległościową emigracji, czego przykładem jest rzekome nie odprawianie nabożeństw żałobnych za pomordowanych w Katyniu. Primo: obydwaj wymienieni biskupi — sufragani gnieźnieńscy — przysięgi nie składali. Secundo: przytoczony przez Mackiewicza fakt rzekomej odmowy przez bp. Rubina odprawienia mszy św. za wymordowanych oficerów został sprostowany już w londyńskim *Dzienniku Polskim* przez prezesa SPK we Włoszech, W. Zahorskiego. Bp Rubin, jako były więzień Starobielska i łagrów sowieckich na pewno bardziej uwrażliwiony jest na wojenny dramat Polaków na terenie ZSSR niż Mackiewicz, który w owym okresie ofiarowywał kolaborację niemieckim władzom okupacyjnym. Bp Rubin jest członkiem komitetów honorowych budowy

pomnika ku uczczeniu ofiar Katynia w Kanadzie i Szwecji (16-go bież. miesiąca udaje się do Sztokholmu na osłonięcie pomnika). Mackiewicz ma pretensję, że bp Rubin nie odpowiada na zarzuty jego i pani Toporskiej. Prawdopodobnie nie reaguje, ponieważ uporczywość z jaką Mackiewicz lansuje kłamliwe wersje różnych faktów zwalnia kogokolwiek od prób ich demaskowania.

Najlepiej jednak maluje technikę Mackiewicza sporządzanie oskarżeń, przeciwstawianie Prymasa Polski zmarłym kardynałom-męczennikom: Beranowi z Pragi, Mindszenty'emu z Budapesztu i Stepinacowi z Zagrzebia. Ironizując na temat nieustępliwości kard. Wyszyńskiego, autor stwierdza, że „okazał się on bardziej podatny na sugestie polityczne Watykanu niż prymasi innych krajów komunistycznych”. Na tej samej stronie dodaje, że „obecny stan podległości episkopatów w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii nie odbył się bez uprzedniego sprzeciwu i złamania oporu” tych purpuratów. Chwali ich za to, natomiast Prymasowi Polski wypomina „gotowość do współpracy” z reżymem i „zgodność z dążeniami Stolicy Apostolskiej do normalizacji”. Episkopat polski — jak wiadomo — nie znajduje się dziś „w stanie podległości”, co nie podoba się Mackiewiczowi. Uważa on, że ideałem jest właśnie ta podległość wynikająca z uprzedniej martyrologii. Nie ma w tym sprzeczności — Mackiewicza nic absolutnie nie obchodzi polski interes narodowy czy szerzej mówiąc dobro społeczne zainteresowanych wspólnot katolickich na obszarze wschodnio-europejskim. Ogarnięty fobią antykomunistyczną polemizuje również z niżej podpisanym, twierdząc że „pochwały” pod adresem Prymasa Polski w korespondencjach rzymskich w *Kulturze* są niesłuszne, ponieważ Prymas „gotów jest jedynie uznać państwo polskie (a nie model „socjalistyczny” i kierowniczą rolę partii, jak m.in. napisałem). Zdaniem Mackiewicza kard. Wyszyński gotów jest zatem „znać coś, czego nie ma, co istnieje tylko formalnie, ale nie w rzeczywistości”. Ręce opadają! Mackiewicz ma częściowo rację kiedy przy analizowaniu nastawienia Watykanu do komunizmu wytyka ostatnim dwom papieżom „ugodowość” nieprzynoszącą korzyści i stosowanie podwójnej miary w osądzaniu prześladowań w zależności od tego czy mają miejsce w Hiszpanii i Chile czy też w Związku Sowieckim i Czechosłowacji. Niżej podpisany nie szczędzi krytycznych uwag dyplomacji watykańskiej, zwłaszcza jej *Realpolitik* wobec tzw. drugiego świata. Wystrzega się jednak uproszczonych sądów ponieważ sytuacja jest nader złożona i płynna, a orientacje i układy personalne w Kurii Rzymskiej w tym zakresie podlegają ciągłym fluktuacjom. Mackiewicz feruje natomiast wyroki nieodwołalne, nie uznaje sytuacji mieszanych, w których zło i dobro toczą śmiertelne zmagania; nie uznaje koloru szarego, wszystko u niego musi być białe lub czarne i raz na zawsze zdecydowane. Zawartość książki przypomina zręcznie skonstruowaną mozaikę. Wystarczy jednak przyjrzeć się jej częściom składowym by stwierdzić, że fakturą i kolorem nie pasuje do całości. Cała pozornie efektowna mozaika rozpada się tym samym na drobne kawałki. Książka pozbawiona

jest zatem *credibility*. Pozostaje sporo zgrabnie wyłowionych cytatów i kilkanaście bystrych spostrzeżeń. Ale to stanowczo za mało by uzasadnić potrzebę napisania książki w przeświadczeniu, że „nikt inny nie zechce przerwać milczenia w sprawach, które powinny być wszystkim znane”.

### Czy powrót do zimnej wojny?

Nie jest wykluczone że jesień 1975 roku przyszedli historycy odnotują jako początek zwrotu w powojennej polityce watykańskiej wobec komunizmu. Już od dłuższego czasu, jak sygnalizowałem parokrotnie w tych korespondencjach, mnożyły się oznaki krytycyzmu wobec ugodowego kursu papieskiego, a zwłaszcza wobec sprzeczności i katastrofalnych wyników tzw. *Ostpolitik*. Nie jest w tej chwili istotne jakie okoliczności spowodowały wyraźne otrzeźwienie w Watykanie i przełom, który prasa, nieco upraszczając, nazywa tu „zwrotem na prawo”. Na zwrot ten złożyło się prawdopodobnie szereg czynników: z jednej strony przeświadczenie, że nie można ignorować postępów komunizmu we Włoszech i że należy te postępy zahamować zanim nie okaże się za późno; z drugiej zaś strony niepokój, że fiasko dotychczasowych zabiegów normalizacyjnych na Wschodzie spowoduje redukcję wpływów wśród zainteresowanych społeczeństw, a nawet tendencję do oderwania się od Rzymu. Nie bez znaczenia były też na pewno inne sygnały, które Kurię Rzymską poważnie zaniepokoiły, jak np. oskarżenia padające w czasie wrześnieowego sympozjum biskupów afrykańskich w Grottaferrata pod Rzymem o „kolonializm psychologiczny”, uprawiany przez Kościoły zachodnie. Niebłahą rolę odegrały wyniki sympozjum październikowego przedstawicieli episkopatów europejskich. Biskupów zachodnich „uderzyły różnice” pomiędzy Zachodem a Wschodem. Biskupi zachodni zastanawiali się nad przyczynami postępującej w ich krajach dechrystianizacji — zjawiska nieznanego na Wschodzie. „W jakim stopniu jesteśmy sami temu winni?” — brzmiało pytanie jednego z biskupów francuskich obecnych na tym sympozjum. Różbieżności pomiędzy położeniem katolicyzmu w Zachodniej i Wschodniej Europie ujął on następująco: „w naszych społecznościach bezosobowych, niebohaterskich i technicznych kładziemy nacisk na dostęp do wiary. Biskupi wschodni troszczą się o bezpośrednie świadectwa wiary chrześcijańskiej — nie rozumieją naszych problemów i bardziej jeszcze konfliktów pomiędzy chrześcijanami. Oni chcą widzieć w Papieżu obrońcę wolności, ich własnych swobód, podczas gdy my uważamy go przede wszystkim za obrońcę jedności”.

W płaszczyźnie ideologicznej najważniejszym (choć przeszłym bez należnego echa), otrzeźwiającym wystąpieniem były „rozważania (*riflessioni*) mons. V. Miano, Sekretarza watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących (prefektem tego organu Kurii Rzymskiej jest kard. Koenig), opublikowane na łamach *Osservatore*

*Romano*. Mons. Miano stwierdza m.in.: „Ideologia marksistowska w krajach Europy Wschodniej uniemożliwia dialog do jakiego nawoływał ostatni Sobór Powszechny. Nie ma dialogu tam, gdzie nie ma wolności wyrażania własnych myśli, tam gdzie ateizm i materializm są wprowadzane przy pomocy wszystkich dostępnych środków masowego przekazu oraz uzurpowania sobie prawa do krytyki, często szyderczej, religii i wszelkich form spirytualizmu. Inne światopoglądy i koncepcje człowieka nie posiadają natomiast prawa do upowszechniania swych myśli lub posiadają go w bardzo ograniczonej mierze”. Dygnitarz watykański przywołuje następnie do porządku tych chrześcijan, którzy „przeszli na tamten brzeg”, akceptując bowiem „analizę marksistowską zmierzającą do radykalnej rewizji doktryny chrześcijańskiej, co jest równoznaczne z jej wynaturzeniem”.

W cenionym organie jezuitów *Civiltà Cattolica* coraz częściej pojawiają się w ostatnim czasie artykuły bijące na alarm z powodu ogólnie panującego zamętu pojęć wśród wiernych, zamazywania jasno określonych linii podziału pomiędzy wojującym marksizmem a chrześcijaństwem i przede wszystkim z powodu szerzenia się „niebezpiecznego ducha kapitulacji” (wśród katolików włoskich, ofiar kolektywnego odrętwienia po sukcesach wyborczych komunistów). Prawdziwy grom z jasnego nieba padł jednak dopiero kiedy zabrał głos kardynał Ugo Poletti, wikariusz papieża jako ordynariusza diecezji rzymskiej (Rzymu „świętego miasta”), uważany za *papabile*. Uznał on za nieodzwonne wystąpić aż trzykrotnie w ciągu ubiegłych czterech tygodni przeciwko współpracy komunistów i katolików. Zdaniem wikariusza rzymskiego „Komunizm i Ewangelia są nie do pogodzenia”. Ponieważ prasa lewicowa zarzuciła mu po pierwszym wystąpieniu, że mówi na własny rachunek, próbując wskrziesić klimat krucjaty antykomunistycznej, zaraz potem był przyjęty przez Pawła VI, co prasa odnotowała na pierwszych stronach. Wygłosił następnie jeszcze bardziej jednoznaczna mowę do duchowieństwa diecezjalnego, a potem w radiu watykańskim, wzywając do mobilizacji antykomunistycznej. Tym razem nikt nie miał złudzeń: kard. Poletti mówił z upoważnienia Głowy Kościoła Powszechnego. Poletti stwierdził m.in., że wprawdzie dekret *Gaudium et spes* Soboru Watykańskiego mówi o „mnogości i różnorodności Opcji doczesnych”, jakie należy szanować na płaszczyźnie życia publicznego, oznacza to jednak, że ci którzy „uważają się za chrześcijan” są zobowiązani do odpowiedzialnego działania, tzn. „nie ustępowania na rzecz jakiegokolwiek utożsamiania się i kompromisu z tymi, którzy twierdzą iż szanują człowieka, lecz ignorują Boga. Ewangelia jest bowiem globalna (integralna). Niestety również marksizm jako doktryna i komunizm jako praktyka są globalne”. Największe niebezpieczeństwo grozi dziś — zdaniem kard. Poletti — z powodu konfuzji pojęć i „pokładania zaufania w ideologii, które deklarując, iż pragną wyzwolić człowieka, w rzeczywistości ujarzmiają go i uciskają”.

Nota zamieszczona w *Osservatore Romano* komentując ten

tekst stwierdza: „czy się chce czy nie chce, akces do komunizmu stanowi wybór wiary implikujący, jak wszelkie wybory tego rodzaju, faktyczne odstępstwo. Chrześcijanie powinni to wiedzieć — mają do tego prawo”.

Równocześnie z wystąpieniami kard. Poletti pojawiły się liczne głosy członków hierarchii i teologów, przestrzegających przed dawaniem wiary komunistycznym kamuflażom (fingowanie przez włoską partię komunistyczną socjal-demokratycznych przeobrażeń i rzekomej, rosnącej autonomii od Moskwy).

Patriarcha Wenecji, kard. Luciani zaproponował nawet, by konferencja episkopalna uchwaliła rezolucję potwierdzającą „zakaz należenia katolików i działaczy naszych stowarzyszeń do partii marksistowskich, lub chociażby popierania partii komunistycznej”.

Czy stanowisko Kościoła wobec komunizmu uległo zmianie? Nie, z punktu widzenia formalnego od ekskomuniki, czyli od roku 1949, stanowisko to jest niezmiennie. Skoro jednak uznano dziś za konieczne przypomnieć to stanowisko i to w formie tak zdecydowanej, oznacza to, że „dialog” z marksistami i watykańskie „otwarcie na Wschód” spowodowały „zbyt liczne dwuznaczności, zniekształcenia oraz spekulacje” (wokół tzw. „kompromisu historycznego”, lansowanego przez włoskich komunistów). Postanowiono zatem położyć kres zarówno „dwuznacznościom” jak i „spekulacjom” komunistycznym. Kiedy piszę te słowa, właśnie radio przynosi wiadomość, że Paweł VI poparł publicznie głośne wystąpienie, które prasa nazwała tu „torpedą” wypuszczoną przez jego zastępcę (*il siluro del delfino*). Papież, przemawiając 9 listopada do tysięcznych tłumów, zebranych przed bazyliką Św. Jana na Lateranie, przypomniał niedawne wystąpienie swego wikariusza, który „ślusnie ostatnio was ostrzegł przeciwko niedopuszczalnym formułom w życiu publicznym”. Aluzja do „kompromisu historycznego” była wyraźna — tłumy przerwały w tym miejscu słowa papieża, witając je demonstracyjnie oklaskami.

Czy to wszystko znaczy powrót do „zimnej wojny” i czy w tym nagłym otrzeźwieniu nie ma przejawów synchronizacji z obserwowanym ostatnio usztywnieniem polityki amerykańskiej wobec ZSSR? Odpowiedź brzmi twierdząco w tym sensie oczywiście w jakim termin „zimna wojna” oznacza antytezę polityki *appeasementu* czyli zaspakajania roszczeń sowieckich bez stosownych kontr-koncesji i ugodowości wobec komunizmu w skali światowej. Jednym słowem jeśli oznacza przeciwieństwo mistyfikacji odprężenia i frazeologii pokojowej, uprawianej dotąd przez Watykan. Paweł VI *nota-bene* w piśmie do szefów państw na całym świecie z dn. 30 października nazywa aktualny kruchy pokój „jedynie rozejmem, implikującym już przyszłe konflikty, opartym na hipokryzji i symulacji”. Ostrzega ponadto przed czterema niebezpieczeństwami: „egoistycznymi nacjonalizmami, rosnącymi bez miary zbrojeniami, ideologiami potężnie i okrutnie zorganizowanymi, ożywionymi nienawiścią i gotowymi do łamania przeciwnika oraz

różnymi zapalnymi ogniskami konfliktów zbrojnych”. „Prawdziwy pokój” — mówił Paweł VI — „nie może polegać na lęku, kapitulacji wobec nowych kolonializmów i imperializmów oraz uciekaniu się do rewolucji”. Ta zawołowana krytyka polityki i rzeczywistości sowieckiej stanowi na pewno duży krok naprzód, co należy odnotować, choć wolelibyśmy by odpowiadały jaśniejsze sformułowania. Szkoda również, że Paweł VI nie skorzystał z tej sposobności by choćby aluzyjnie (w czym jest mistrzem) wspomnieć o laureacie pokojowej nagrody Nobla, Andrieju Sacharowie, nieustraszonemu przeciwko obrońcy również prześladowanych katolików i wiernych innych wyznań na terenie ZSSR. Milczenie na ten temat nie może być niczym usprawiedliwione. W dn. 3 października przedstawiciele kilku największych prasowych agencji międzynarodowych (fakt nie mający precedensu) zwrócili się do Pawła VI z zapytaniem czy „zabierając słuszenie głos w obronie życia ludzkiego — tak jak to uczynił w sprawie skazanych w Hiszpanii — przedsięwziął lub zamierza podjąć jakiś protest oficjalny i publiczny” w sprawie dwóch duchownych grecko-katolickich, o czym wspominałem w poprzedniej korespondencji, powieszonych na Ukrainie (Michał Łuckyj z Drohobycza i drugi o nieznanym nazwisku). Odpowiedzi dotąd brak.

Dominik MORAWSKI

Pisane 9 listopada 1975

**KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU**  
123, bld Saint-Germain, 75006 - Paris.  
Tel.: 326-04-42

zaprasza na swój tradycyjny  
**KIERMASZ GWIAZDKOWY**  
(6 - 31 grudzień)

obejmujący:

Wydawnictwa upominkowe polskie i francuskie. Książki okazyjne z antykwariatu. Znaczkę pocztowe i albumy. Płyty świąteczne, w szczególności — kolędy. Karty oryginalne z życzeniami na Święta i Nowy Rok. Reprodukcje akwareli z dawnej Warszawy (sprzedaż na rzecz Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu).

W inauguracji Kiermaszu, która odbędzie się 6 grudnia (godz. 17.20), wezmą udział i będą dedykować książki pp. MARIA CZAPSKA („Gwiazda Dawida”), JÓZEF CZAPSKI („Czapski — la main et l'espace”, razem z autorką tej pracy p. MURIEL WERNER-GAGNEBIN), TADEUSZ WYRWA („W cieniu legendy mjra Hubala”) oraz WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI, który przedstawi książkę Boya („Marysienka — la plus aimée des reines”), wydaną po francusku w setną rocznicę urodzin autora.

INDYWIDUALNE ZAPROSZENIA NA KIERMASZ  
NIE BĘDĄ ROZSYŁANE

rozczarowanie, w Moskwie wszystko było przygotowane. Walka z poprzednimi laureatami nagrody Nobla wiele nauczyła — istnieje już scenariusz „antynoblowskich kampanii”.

Scenariusz wygląda następująco. Informacja o kolejnym wystąpieniu reakcji przychodzi z zagranicy. Sowieckie pisma przedrukują z jakiegobądź „postępowego” lub jawnie komunistycznego pisma oburzoną notatkę, potępiającą kolejnego laureata. Za nagrodzenie Sacharowa oburzyła się pierwsza *Humanité* i tę notatkę zaraz przedrukowano. Ponieważ stylem nie różniła się od tego, co pisze się normalnie w Moskwie, więc nie było zapewne kłopotu z przekładem.

Za informacją następuje „ideologiczne” uzasadnienie kampanii. Sens jej jest zawsze ten sam: nagrodę dano nie za to, za co dano, a zupełnie za coś innego. Pasternakowi dano nie za powieść „Doktor Żiwago” (za nią przecież nie można było dać nagrody, ponieważ Związek Pisarzy Sowieckich zdecydował, że Pasternak jest złym prozaikiem), a za szkalowanie rewolucji. Sołżenicynowi dano nie za jego powieści (na jego temat była też powzięta odpowiednia decyzja), a za poglądy antysowieckie. Andriej Sacharow — pisze *Litieraturnaja Gazieta* (15. 10. br.) — otrzymał nagrodę nie za badania naukowe (autor artykułu udaje, że nie wie iż pokojowej nagrody Nobla nie daje się za badania naukowe), a za wieloletnią antysowiecką propagandę, bluźnierczo nazwaną przez „sędziów” noblowskich „walką o pokój”.

Krótko mówiąc: przyznanie nagrody Nobla było „gestem politycznym”, co w języku sowieckim oznacza nieprzyjazny gest wobec ZSSR.

Jak uczyć marksiści: teoria bez praktyki jest niczym. Od „ideologicznego uzasadnienia” przechodzi się więc do praktyki. Początkowo płyną potępiające listy do redakcji pism od oburzonych obywateli sowieckich. Na nagrodzenie A. Sacharowa oburzyło się np. 72-ch sowieckich uczonych, kwiat świata naukowego, koledzy laureata z Akademii Nauk. Kolejne stadium, to protestacyjne wiece w fabrykach i w kołchozach. Protest i oburzenie wyrażają „prości ludzie sowieccy”, budowniczości komunizmu.

Wreszcie finał, rozwiązanie. Pasternak odmawia przyjęcia nagrody. Sołżenicyn zostaje wydalony z kraju. Andriej Sacharow...

Do tej pory scenariusz „antynoblowskiej kampanii” był rozegrany jak z nut. Jak dotąd nie podjęto jednak na szczycie sowieckim decyzji co do rozwiązania. Jest już wiadome, że nie zezwolono Sacharowowi pojechać do Oslo celem otrzymania nagrody, uzasadniając decyzję tym, że jest on „w posiadaniu tajemnic państwowych”. Można przypuszczać, że przywódcy sowieccy rzeczywiście tak myślą, chociaż Sacharow od 1968 roku nie zajmuje się już pracą naukową w dziedzinie zbrojeń. W ten sposób rozwiązanie „typu sołżenicynowego” odpada. Co pozostaje?

Helena Sacharowa, żona laureata, przebywająca na kuracji we Włoszech, po raz pierwszy powiedziała otwarcie, że boi się o życie męża.

A przecież precedens istnieje. Równo 39 lat temu prasę światową

## Sąsiedzi

## Akt rewolucyjny

Rewolucjoniści wszystkich krajów powinni należycie ocenić wielki walor deklaracji, ogłoszonej przez grupę intelektualistów rosyjskich (na łamach *Kultury* i *Kontynentu*) w rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej.

W tym tragicznym miesiącu, 36 lat temu, dwa reżymy totalitarne, hitlerowski i stalinowski, popełniły jedną z najhaniebniejszych zbrodni naszej epoki: ostatni zbójcecki rozbiór państwa polskiego. W deklaracji, bez owijania w bawełnę, odpowiedzialność rosyjska jest uznana i proklamowana, wraz z tym wszystkim co nastąpiło później: od mordu katyńskiego do zdrady Powstania Warszawskiego.

W deklaracji, która jest emanacją grupy intelektualistów skupionych wokół *Kontynentu*, słyszymy echo ducha Zimmerwaldu, nie całkowicie zdławionego przez socjalpatriotyzm sowiecki.

Ignazio SILONE

## W sowieckiej prasie

Przyznanie A. Sacharowowi pokojowej nagrody Nobla nie zaskoczyło sowieckich przywódców. Co prawda liczyli, że otrzyma ją prezydent Finlandii, Kekkonen, w nagrodę za gościnność okazaną w Helsinkach wielbicielom *détente*. Komisja parlamentu norweskiego zdecydowała jednak inaczej. Tym niemniej, bez względu na

wą obiegła fotografia niewysokiego, chudego człowieka w więziennym ubraniu, stojącego na baczność przed ogromnym esesowcem. Człowiek w więziennym ubraniu był laureatem pokojowej nagrody Nobla 1936 — to niemiecki dziennikarz Karl von Ossietzky. Osadzony w łagrze za przyjęcie nagrody — został zwolniony z powodu poruszenia jakie to wywołało za granicą, ale zwolniony w takim stanie, że natychmiast umarł. Wiele podobnych wypadków zna i sowiecka historia. Niewygodni ludzie znikali, jak np. Frunze w 1925 roku pod nożem chirurga, lub jak Michoels w 1948 roku — pod kołami ciężarówki.

Ostatnio zaczynają docierać ze Związku Sowieckiego dziwne wiadomości. Pisarz, Władimir Wojnowicz, autor „Przypadków Iwana Czonkina”, który został w maju 1975 zaproszony na przyjacielską rozmowę do moskiewskiego KGB, długo potem chorował. Lekarz stwierdził otrucie. 10. 11. br. korespondenci zagraniczni w Moskwie mogli zapoznać się z listem gruzińskiego pisarza E. Hamsahurdija, w którym pisze, że jego dom w Tyflisie jest okadzany jakimiś trującymi gazami. I tu są również precedensy. Jagoda, szef NKWD w latach trzydziestych, bardzo lubił studiować oddziaływanie trucizn na ludzi.

Sacharowowi niewątpliwie grozi niebezpieczeństwo. Hitler odpowiedział na przyznanie nagrody von Ossietzkiemu prosto i zdecydowanie: wydał dekret zakazujący Niemcom przyjmowania nagród Nobla. Sowieccy przywódcy nie chcą pójść na tak proste rozwiązanie: gotowi są akceptować nagrody Nobla, jeśli będą przyznawane według ich listy. Dlatego też — z ich punktu widzenia — najlepiej jest by potępiani kandydaci zawczasu wiedzieli z jakim niebezpieczeństwem związane jest otrzymanie tej nagrody. Dlatego właśnie Sacharow jest zagrożony.

Kampania anty-Sacharow, rozgrywana według zatwierdzonego i powtarzającego się scenariusza, ma jednak specyfikę, która ją odróżnia od kampanii antysołżenicynowskiej czy antypasternakowskiej. Jest mniej intensywna. Przedrukowuje się wzmianki z pism komunistycznych np. z kolumbijskiej *Voz proletaria*, ale tego jest stosunkowo niewiele. Ideologiczne „uzasadniania” zamieszcza się, ale zajmują one mało miejsca. Listy przychodzą, ale to nie jest lawina. Nawet 72 podpisy akademików nie mają zbyt wielkiego ciężaru gatunkowego jeśli wziąć pod uwagę, że Akademia liczy 245-ciu rzeczywistych członków i 448 członków korespondentów (wśród podpisujących są i jedni i drudzy).

Powstaje wrażenie, że przywódcy sowieccy są przekonani, iż dziś nie ma potrzeby organizowania takiej diabelskiej sarabandy, jaką zorganizował Chruszczow w 1958 roku w związku z nagrodzeniem Pasternaka, gdyż obywatele kraju zwycięskiego socjalizmu są wystarczająco przygotowani, by w odpowiedni sposób reagować na jeden tylko sygnał: nagroda Nobla została przyznana nie temu, kto na to zasługuje!

Rosyjski fizjolog, Iwan Pawłow, który rozpracował teorię odruchów warunkowych, pokazał na zwierzętach jak działa pierwszy układ sygnałowy: na powtarzający się dźwiękowy lub świetlny

sygnał, dawany w czasie jedzenia, pies po pewnym czasie zaczyna reagować wydzielaniem śliny, nawet wówczas gdy jedzenia nie ma. W końcu lat 40-tych stalinowscy fizjologowie rozpracowali „naukę o drugim układzie sygnałów (mowa)”. Stwierdzili, że słowo, powtarzane wystarczająco często, może spowodować u człowieka reakcję pożądaną dla esperymentatora. W 1950 roku Stalin pisze swoje genialne prace o językoznawstwie, wskazując drogę którą następnie pójdą sowieccy propagandyści: rozpracowanie słów-sygnałów, wywołujących pożądaną reakcję. „Nagroda Nobla” zajmuje w arsenale takich słów ważne miejsce. Wypowiedziane słowo — naciśnięty guzik — i występuje odpowiednia reakcja. Być może, że nie zawsze odbywa się to tak dokładnie, jak pomyślano, ale nie można zaprzeczyć, że sukcesy propagandy sowieckiej są duże.

Tylko radością z otrzymania nowego słowa-sygnału można wyjaśnić zachwyty z jakim prasa sowiecka przywitała decyzję ONZ określającą 72-ma głosami syjonizm jako rasizm. Sowiecka propaganda ma powód do zadowolenia. To właśnie w Związku Sowieckim postawiono po raz pierwszy znak równania pomiędzy syjonizmem i rasizmem. Niewątpliwie w Polsce w latach 1967-68 było to również bardzo modne, ale tym niemniej pierwszeństwo należy się starszemu bratu. Ale mało tego, rasizm — do rezolucji ONZ — był jednym z niewielu jednoznacznych słów w repertuarze propagandy sowieckiej. Nikt nie miał wątpliwości co to słowo znaczy. Obok takiego jednoznacznego określenia wieloznaczność słów: wolność (formalna i realna), demokracja (burżuazyjna i socjalistyczna), humanizm (pseudo- i proletariacki) stawały się dwuznaczne. Obecnie i rasizm znalazł się w ich szeregu.

Ideologiczne zwycięstwo Związku Sowieckiego na skalę światową, uzyskane dzięki pomocy takich humanistów i demokratów jak Idi Amin Dada i król Arabii Saudyjskiej, ma również i praktyczne znaczenie. Obecnie nie trzeba już będzie szukać pretekstu do aresztowania Żydów, pragnących wyjechać do Izraela. § 74 Kodeksu Karnego ZSSR przewiduje pozbawienie wolności do lat 3-ech za „propagandę czy agitację mającą na celu wywołanie antagonizmów rasowych lub narodowościowych”. Ale przede wszystkim słowo „syjonizm” można dziś wykorzystywać do wywołania zespołu niezbednych refleksów. Jeszcze wczoraj — do chwili uchwalenia rezolucji ONZ — trzeba było ubierać antysemityzm w pozory teorii marksistowskiej. Dziś jest to już zbędne.

Od dość dawna sowieccy lektorzy w odpowiednio dobranych audytoriach oświadczały, że syjoniści uważają za swój główny cel uzyskanie władzy nad światem w roku 2000-ym i że na mapach „wielkiego Izraela”, rzekomo wydanych oficjalnie w Izraelu, jego granice przebiegają na południe od Kijowa. Lektorzy przestrzegali, że walka ze światowym syjonizmem będzie o wiele cięższa i krwawsza niż walka z hitlerowskimi Niemcami. W *Nowym Żurnale* (Nr 118) M. Agurski opublikował dwa samizdatowe artykuły antysemickie tj. antysyjonistyczne. W jednym z nich proponuje



się wydawanie specjalnego pisma, które powinno wychodzić pod hasłem: „Śmierć syjonistycznym najeźdźcom”.

Dziś z tymi wszystkimi hasłami, z tymi wszystkimi słowami-sygnałami, można wystąpić przed najbardziej szerokim audytorium. Można mówić otwarcie o strasznym wrogu zagrażającym ZSSR — o syjonizmie. Mówić otwarcie — jak to się robi w antysemickich samizdatowych artykułach — że Sacharow i Sołżenicyn są agentami syjonizmu, pomagającymi Izraelowi zrobić z Rosji swoją kolonię. I nie trzeba się więcej obawiać oskarżenia o antysemityzm — 72 państwa uchwały, że syjoniści to rasiści. Propaganda sowiecka święci swoje zwycięstwo: w każdej chwili będzie można — tymczasem na terenie obozu socjalistycznego — nacisnąć na sygnał i rozpocząć walkę z „rasizmem”, prowadząc ją w potrzebnych rozmiarach: prześladowania, areszty — lub jeśli to będzie potrzebne — „śmierć syjonistycznym najeźdźcom”.

Ideolodzy sowieccy dobrze wiedzą, że uzyskanie niezbędnej reakcji na dany sygnał-słowo nie zawsze się udaje. Zdarzają się niepowodzenia, załamania. Ważne jest więc utrzymywanie ludności w odpowiednich warunkach. Niewątpliwie stan permanentnego pijaństwa jest jednym z tych warunków. Tylko zgodą państwa na rozpijanie ludności można tłumaczyć rozmiary alkoholizmu w ZSSR, aczkolwiek indywidualne wypadki pijaństwa stwarzają problemy, z którymi walczy się zwykłymi sowieckimi metodami, zwiększając odpowiedzialność karną. W tym samym numerze *Litertaturnoj Gaziety*, gdzie „osądza się” Sacharowa (który nawiasem mówiąc wspomina w swojej ostatniej książce o rozpijaniu przez państwo ludności) przytacza się oficjalne, lecz niemniej wstrząsające liczby. Zostały one podane na plenum Sądu Najwyższego ZSSR, poświęconym „walce z alkoholizmem i narkomanią”.

W 1974 roku pociągnięto do odpowiedzialności karnej 600 tysięcy kierowców za prowadzenie pojazdu „w stanie nietrzeźwym”. Każda sprawa, jako zasada, kończyła się skazaniem na łagier. Na plenum podano wyniki badań przeprowadzonych w jednym rejonie Republiki Litewskiej. W 1963 r. na jednego mieszkańca przypadało przeciętnie 8 litrów wódki rocznie, w 1973-im — 28,5 litra. Przeciętnie każdy mieszkaniec tego rejonu (dobrze wiadomo, że Litwa jest jedną z przodujących kulturalnie republik ZSSR) wydawał na wódkę 230 rubli rocznie, a na książki — 2 ruble. Widocznie biorąc pod uwagę fakt, że znaczny wzrost cen wódki może zmniejszyć jej konsumpcję, państwo oficjalnie pozwoliło na produkcję lokalnego alkoholu. Występujący na plenum kierownik zarządu ministerstwa Ochrony Zdrowia ZSSR stwierdził przy tej okazji: „Tanie napoje alkoholowe produkcji lokalnej technicznie nie odpowiadają nawet najbardziej niskim standartom. Napoje te, które w przeciwnieństwie do samogonu produkują się legalnie i sprzedaje w sklepach, szybciej niż wódka prowadzą do degradacji moralnej i wywołują różnego rodzaju zjawiska psychiczne”.

Wódka w porównaniu z tymi „legalnymi napojami” wydaje się balsamem. One — „prowadzą szybciej...”. Przedstawiciel Ochrony Zdrowia dodał, zaczynając „prowadzić” znacznie wcześniej.

„Alkoholizm odmłodził” — tak określił on to nowe zjawisko. Według jego statystyki: „używa napojów alkoholowych 75 % chłopców — uczniów 8-mej klasy (tj. w wieku 15 lat), 80 % uczniów klasy 9-tej, 95 % uczniów 10-tej klasy. Razem ze świadectwem dojrzałości będzie można niedługo wydawać wszystkim abiturientom świadectwa dojrzałych pijaków, w większości przypadków z trzyletnim stażem”\*.

„Alkoholizm odmłodził” i w związku z tym odmłodziła armia więzionych. W listopadzie bież. roku przeciekiły na Zachód pamiętnikarskie notatki Anatolija Marczenko, skazanego w marcu 1975 roku na 4 lata zsyłki, 39-letniego autora „Moich pokazaniji”, które dotyczyły okropieństw łagrów Chruszczowa. Obecna jazda w aresztanckich wagonach z Moskwy do Czuny (w pobliżu sławnej budowy komunizmu Bratskiej GES pozwoliła Marczenko przebywać w większych więzieniach przejściowych, położonych na najbardziej głośniejszych gułagowskich dróg — Moskwa-Władywostok. W Nowosybirsku — opowiada Marczenko — w celi nr 11, o powierzchni 120 m. kw. znajdowało się 163-ch więźniów. „W czasie dnia — mówi doświadczony zek — można było jeszcze żyć, ale nocą!”. „Nie wiem ile w więzieniu swierdłowskim jest takich cel, jak nr 11 — pisze Marczenko — ale więźniowie zapewniali mnie, że więzienie może pomieścić 25 do 30-tu tysięcy ludzi. Możliwe. Nie ma oficjalnej statystyki. To jest tajemnica państwowa. Mogę powiedzieć tylko to, co sam widziałem: więzienia, przez które przechodziłem, były przepiękne, szczególnie młodymi”.



Propaganda, oparta na wykorzystaniu „nauki o drugim systemie bodźców” dla uzyskania potrzebnych reakcji ze strony obywateli, dysponuje jeszcze jednym środkiem, prócz wyżej wspomnianych. Zawsze można usunąć ze słownika słowo, które się stało niepotrzebne, lub które wywołuje niepożądane odruchy. Bardzo niedawno ze wschodnioniemieckiego słownika zostały usunięte, jako nieaktualne, słowa w rodzaju: „wybory”, „wybieralność”. Z sowieckich słowników i encyklopedii systematycznie usuwa się

\* W porównaniu z zycziwym i liberalnym ustosunkowaniem się do alkoholizmu, specjalnie surowo przedstawiają się zarządzenia wydane w stosunku do narkomanów i handlarzy narkotykami. Nie dawno uchwalono ustawę o „Wzmocnieniu walki z narkomanią”, która przewiduje 15 lat łagru za handel narkotykami. Plenum Sądu Najwyższego poświęciło temu zagadnieniu specjalną uwagę. „Jakby nikła — w porównaniu ze wstrząsającymi liczbami statystyk zachodnich — była ilość narkomanów zarejestrowanych przez nasze organy zdrowia, to z tym zjawiskiem prowadzimy zdecydowaną walkę”. Zwraca uwagę, że sowiecki dziennikarz mówi o ilości narkomanów „zarejestrowanych przez organy ochrony zdrowia”. Ale ilość niezarejestrowanych rośnie dzisiaj również bardzo szybko. Władze sowieckie rzeczywiście prowadzą z narkomanią bezwzględną walkę: państwo sowieckie ostro broni swego monopolu — tak jak i wszystkich innych monopolu — zatrutowania ludności trucizną według własnego wyboru. Nie mówię już o tym, że zatrucie ludności wódką przynosi państwu-monopolistom ogromne dochody.

niewygodnych dla władz pisarzy i działaczy politycznych. Praktyka ta jest szeroko stosowana i w Polsce. Ale jak zawsze Chińczycy — uczniowie — pobili Związek Sowiecki — nauczyciela. Okazuje się, że w Chińskiej Republice Ludowej przestano używać hieroglify „suliń”, który oznacza Związek Sowiecki. Wykreślono z języka — nie tylko ze słownika — cały Związek Sowiecki. Pozostawiono — jak dotąd — hieroglif „suliń”, który oznacza sowieckich rewizjonistów.

Łatwo zrozumieć z jaką furją zaatakował autor artykułu „Hieroglify w służbie antysowietyzmu” (*Litieraturnaja Gazieta*, 29. 10. bież. roku) już nie tylko Mao Tse-tunga, ale i same hieroglify i cały system chińskiego piśmiennictwa, które stało się w rękach maoistów narzędziem, przy pomocy którego zawęży się krąg idei i pojęć, a do świadomości wbija się tylko maoistowskie słownictwo, tj. wyłącznie ten rodzaj myślenia, który jest maoistom wygodny.

Autor artykułu dobrze wie jak działa mechanizm „wpajania słownictwa”, kształtujący wygodną dla władz świadomość. Oburza się tylko dlatego, że słownictwo to jest maoistowskie.

A przecież mogło być inaczej. W końcu lat 20-tych w Moskwie, w Instytucie Naukowo-Badawczym do spraw chińskich, opracowywano alfabet chiński na podstawie alfabetu łacińskiego. Jak wiadomo takie alfabety zostały opracowane dla wszystkich środkowoazjatyckich narodów sowieckich. Ale z chwilą gdy przeszły one z alfabetu arabskiego na łaciński natychmiast zastąpiono go alfabetem rosyjskim. Widocznie taki sam projekt istniał i dla języka chińskiego.

Łatwo więc sobie wyobrazić jakie byłyby możliwości kształtowania „odpowiedniego myślenia”, gdyby 800 milionów Chińczyków budząc się rano natychmiast chwytalo za *Prawdę* w chińskim języku, pisanym rosyjskimi literami...

Sądząc po artykule w *Litieraturnoj Gaziecie* sowieccy przywódcy jeszcze mają nadzieję... A tymczasem można się cieszyć powodzeniem kampanii przeciw Sacharowowi i zdobyciem nowej formuły bogatej w możliwości: syjonizm = rasizm.

Adam KRUCZEK

## Memoriał Vaclava Havela

Znany czeski pisarz i dramaturg średniego pokolenia Vaclav Havel wystosował wiosną 1975 roku obszerny list do stojącego na czele państwa Gustawa Husáka. Pisanie listów do naczelnych

władz państwa stało się w ostatnim czasie dość częstym zjawiskiem w Czechosłowacji i jest stosowane szczególnie przez działaczy znajdujących się w opozycji do narzuconego reżymu. Nie należy przypuszczać, by autorzy listów kierowali się przeświadczeniem iż w ten sposób skruszą serca Husáka i jego pomocników. Memoriały te są raczej swoistą, kłopotliwą dla władz, formą odwoływania się do krajowej i zagranicznej opinii publicznej, gdyż jako zasada listy po niedługim czasie trafiają na łamy prasy światowej.

W memoriałach dominują na ogół skargi na postępowanie władz a więc krytyka systemu, operująca konkretnymi przykładami trafnie wycelowanymi w aktualne bolączki. Taki np. charakter noszą nie pozbawione dowcipu memoriały, składane co pewien czas przez Aleksandra Dubczeka.

Memoriał Havela nosi odmienny charakter. Przedmiotem zainteresowania w nim nie są nie tyle bolączki systemu ile sam system, jego prawidłowości. Havel usiłuje dociec ukrytej mechaniki zjawisk społecznych. Używając zwrotu o *ukrytych mechanizmach* dość często rozumie się zjawiska ukrywane przed społeczeństwem lecz wyraziste, lub przynajmniej dostrzegalne, dla uczestników gry politycznej. Tak więc rozumieją ten termin liczni kremlinologowie uniwersyteccy i publicyści: zmieniające się układy personalne, wloty i upadki poszczególnych pretendentów do czołowych stanowisk, wpływ zjawisk należących do sfery psychologii indywidualnej na decyzje polityczne i gospodarcze itd. Pozostawiając na uboczu ciągle dyskusyjne zagadnienie, na ile cechy jednostkowe określają charakter i losy zbiorowości, należy zastrzec, że Havel nie przywiązuje większej wagi do tej problematyki, która niemal bez reszty wypełnia rozważania kremlinologów. Mechanizmy społeczne są ukryte nie tylko przed ludźmi, będącymi obiektami działań, nie tylko przed postronnymi obserwatorami, ale i przed tymi, którzy podejmują suwerenne, zdawałoby się, decyzje, rozstrzygające o losach społeczeństw. Dla zrozumienia bowiem skomplikowanych zależności trudno dostrzegalnych przyczyn i jeszcze bardziej nieuchwytnych, przyszłych skutków potrzebna jest głęboka znajomość zjawisk społecznych. Nie posiadli tej wiedzy ci, których główną troską jest zachowanie władzy w swym ręku, i to za wszelką cenę (płaconą przez społeczeństwo), a których głównym orężem jest tłumienie wszelkich oznak spontanicznego, organicznego życia społecznego.

Brak zrozumienia prawidłowości rozwojowych, poświęcanie interesów społecznych dla własnych egoistycznych celów przejawia się głównie w prowadzonej przez władze Czechosłowacji akcji, określanej enigmatycznie jako *konsolidacja stosunków*.

Havel uważa, że na tym polu władze osiągnęły jakieś sukcesy: w przedsiębiorstwach i urzędach panuje dyscyplina, stopa życia rośnie, ludzie budują sobie domy, kupują samochody, płodzą dzieci. Nawet więcej: biorą postusznie udział w wyborach, głosując na kogo trzeba, biorą udział w zebraniach i manifestacjach

itd. Nie sposób również dostrzec niezgody z poczynaniami władz. Jest to jednak powierzchwnia zjawisk: „...wbrew wszelkim przyjemnym faktom społeczeństwo nasze nie tylko nie jest wewnętrznie skonsolidowane, ale przeciwnie, pograża się w coraz głębszym kryzysie, pod pewnym względem niebezpieczniejszym niż wszystkie dotychczasowe, znane nam z historii współczesnej”.

To, co władze nazywają *konsolidacją* osiągnięto odwołując się do tzw. instynktów niskich, przede wszystkim do uczucia strachu. Stan stałego zagrożenia, co prawda innego niż w okresie stalinowskim, ale też totalnego, powoduje, że „...życie traci część swej naturalności i staje się jakąś trwałą mimikrą”.

Nie na samym jednak strachu żeruje władza. „... Rzadko kiedy w ostatnich czasach system społeczny stwarzał tak otwarte, tak niepohamowane możliwości dla ludzi gotowych dołączyć do czegokolwiek, co daje im korzyści, ludzi bez zasad i kośćca, którzy z pragnienia władzy i w dążeniu do osobistej pomyślności gotowi są uczynić wszystko”. Stanowiska opanowane są przez karierowiczów, oportunistów i ludzi z ciemną przeszłością, albo „... przez zwykłych kolaborantów, to jest tych, którzy posiadają tę szczególną zdolność przekonywania samych siebie, i to w każdej sytuacji, że swą brudną działalnością czemuś zapobiegają, w ostatecznym wypadku temu, by ktoś jeszcze gorszy nie zajął ich miejsca”.

Ludzi wierzących w to co władza mówi jest teraz mniej niż kiedykolwiek. Władze zresztą zadawałają się formalnym akcesem ideologicznym i równie formalnym kajaniem się. „Jeśli jednak główną zasadą społecznej przydatności jest zewnętrzna adaptacja — pyta Havel — to jakie ludzkie cechy to mobilizuje i jakich ludzi wysuwa na czoło?”.

Odpowiedź Havela brzmi: Poza strachem i karierowiczostwem władze opierają się na *zobojętnieniu*, naturalnym w sytuacji w jakiej znalazła się Czechosłowacja. „Obojętność jest, jakby to nie było paradoksalne, ważnym, aktywnym czynnikiem społecznym...”. W rezultacie, „im głębsza jest rezygnacja z możliwości ogólnej poprawy stosunków i w ogóle z wyższych wartości i celów, a więc z możliwości działania skierowanego *na zewnątrz*, tym bardziej energia kieruje się w stronę, w której napotyka najmniejsze przeszkody, czyli 'do wewnątrz'. Ludzie myślą o wiele więcej o sobie, o swym domu, o swej rodzinie, tam znajdują spokój, tam mogą zapomnieć o głupocie tego świata, tam mogą swobodnie wyładować swój impuls twórczy”. Władza z zadowoleniem widzi ten przepływ energii w 'sferę prywatną' i go popiera. Czy tylko z powodu korzyści gospodarczych? Nie, twierdzi Havel. Władzom chodzi o coś istotniejszego: „Przybicie wszelkiej uwagi do podłogi czysto konsumpcyjnych interesów ma pozbawić człowieka zdolności odczuwania pogłębiającego się ucisku duchowego, politycznego i moralnego, zredukowanie człowieka do zunifikowanego nosiciela ideałów społeczeństwa wcześniejekonsumpcyjnego, ma przekształcić go w posłuszną materię kompleksowej manipulacji. Niebezpieczeństwo, że zatęskni do którejś z niezli-

czonych i trudnych do przewidzenia możliwości które posiada jako człowiek, niebezpieczeństwo to ma być bądź zduszone w zarodku, bądź stłumione poprzez uwięzienie w ciasnym horyzoncie konsumenta w ... warunkach centralnie sterowanego rynku”.

Tu godzi się przypomnieć, że *czechosłowacka wiosna* 1968 roku była przygotowana w znacznej mierze poprzez szeroką kampanię antydrobnomieszczańską, podskórnie prowadzoną latami przez czechosłowacki świat intelektualny, który inaczej niż jego polski odpowiednik bynajmniej nie był skłonny idealizować ani horyzontów myślowych ani etyki rodzimego drobnomieszczaństwa. Zwłaszcza czescy intelektualiści walczyli latami przeciwko psychice „małego czeskiego człowieka”. Havel tu wyraźnie nawiązuje do swych poprzedników.

Wróćmy jednak do rozważań Havela. Władze dążą do realizacji własnych celów. Jakie jednak są społeczne efekty i społeczne koszty ich polityki? Należy przypuszczać, że efekty te są niezamierzone, choć nieuchronne. Przyczyny i skutki leżą w innych płaszczyznach.

„Nie trzeba mieć wiele wyobraźni, by zrozumieć, że taka sytuacja nie może prowadzić do czegokolwiek innego niż do stopniowej korozji wszelkich norm moralnych, rozkładu wszelkich zasad przyzwoitości oraz daleko posuniętego załamania zaufania do wartości takich atrybutów jak prawda, pryncypialność, szczerowość, bezinteresowność, godność, honor. Do niczego innego, jak obniżanie się egzystencji do poziomu biologicznej vegetacji, czyli do 'głębokiej' demoralizacji, wypływającej z utraty nadziei i kryzysu poczucia sensu życia”.

Najgorsze w tym kryzysie jest jednak to, że się on pogłębia; największe obawy budzą przewidywania, co przyniesie upływ czasu. Szczególnie niepokoi stan zdewastowania kultury. Stosunek władz do kultury jest tym uzasadniony, że: „Tam, gdzie totalne panowanie nad społeczeństwem tłumi jego wewnętrzny, zróżnicowany rozwój, tam — jako zasada — w pierwszym rzędzie tłumiona jest kultura, nie tylko 'automatycznie', jako coś co swą ontologiczną istotą jest antypodą 'ducha' manipulacji społecznej, ale również 'programowo', z powodu usprawiedliwionej obawy, że przy pomocy narzędzia samoświadomości jakim jest kultura, społeczeństwo zrozumie miarę swego ucisku”. Tak musi postępować wszelka władza, uznająca „jedyną prawdę”.

Ciekawe, że na obecnym etapie powstaje bardzo mało utworów, beletryzujących oficjalną ideologię; ponadto są one pod względem jakości zdecydowanie złe. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że takich utworów nie chcą pisać autentyczni pisarze, ale również dlatego, że władza nie zgłasza na nie zapotrzebowania. W rzeczywistości każdy wybitny utwór, nawet zgodny z indoktrynowaną ideologią, byłby utworem wywrotowym, właśnie ze względu na swą jakość. Władze popierają zatem twórczość trywialną a w konsekwencji *zakaz kultury*.

Czy znane są obecne, doraźne skutki tego stanu rzeczy? I jaką

głębką jutrzejszą impotencję duchową i moralną narodu spowoduje dzisiejsze trzebienie jego kultury?

Havel obawia się, że ponure skutki społeczne o wiele lat przeżyją rodzaje je interesy polityczne.

Takie są doraźne, można rzec, polityczne konstatacje Havela. Dalszy ciąg memoriału poświęcony jest problemom nie tylko praktycznym ale i teoretycznym, płynącym ze struktury władzy. Dla zrozumienia ich Havel wprowadza pojęcie *entropii*. *Entropia* jest to zjawisko degradacji energii, uzasadnione w drugim prawie termodynamiki. W systemie zamkniętym następuje przechodzenie energii z form wyższych do niższych przy jednoczesnym wyrównaniu temperatury. Wyższym stopniem entropii jest śmierć cieplna. Termin *entropia* poprzez teorię informacji wszedł w ostatnich czasach do obiegu w wielu dziedzinach nauki.

„Jeśli podstawowym prawem kosmosu jest postępująca entropia, to podstawowym prawem życia jest, na odwrót, rozwój struktury i walka przeciwko entropii — życie przeciwstawia się wszelkiemu uniformizmowi i jedności. Perspektywą życia nie jest 'ujednolicenie' lecz zróżnicowanie, niepokój transcendentni, przygoda nowości, walka przeciwko *status quo*; istotą rozwoju życiowego jest stale aktualizująca się tajemniczość”.

„U podłoża takiej władzy, której cele są zredukowane do ochrony własnej niezmienności poprzez gwałtem wymuszoną jedność stałej akceptacji, leży zasadnicza nieufność wobec każdej różnorodności, odmienności i transcendencji, zasadniczy opór przeciwko wszystkiemu, co nieznanne, nieuchwytnie i aktualnie tajemnicze, zasadnicza orientacja na uniformizm, jednakowość i zastój, głębokie przywiązanie do *status quo*. Duch mechaniczności góruje tu nad duchem witalności. Porządek do którego dąży nie jest programowym poszukiwaniem stale wyższych form społecznej organizacji, odpowiadającej rozwojowi struktury, lecz na odwrót, spadaniem do owego 'stanu największego prawdopodobieństwa', będącego szczytem entropii”.

U podstaw totalitarnej władzy leży zasada śmierci. Nie jest to tylko literacka przenośnia. Przeciż dla takiej władzy „każdy wyraz życia, charakterystyczne działanie, osobisty pogląd, indywidualna myśl, nieprzewidziane pragnienie czy pomysł są zawsze tylko sygnałem 'nieporządku', 'chaosu', 'anarchii'”.

Ale system jest zabójczy dla samego siebie, albowiem może istnieć tylko poprzez potęgowanie entropii: „Dążąc do unieruchomienia świata reżym unieruchamia sam siebie i obniża możliwość konfrontacji z czymkolwiek nowym i przeciwstawienia się egzystencjalnemu rozwojowi życia. Reżym 'entropiczny' jest dzięki swej istocie skazany na to, by w ostatniej instancji stać się ofiarą swej własnej uśmiercającej zasady, ofiarą najbardziej bezbroną w wyniku braku jakiegokolwiek wewnętrznej intencji zmuszającej reżym do przeciwstawienia się sobie samemu”. Zabijając życie władza zabija samą siebie i, w konsekwencji, zdolność zabijania życia.

Szczególnie ważne znaczenie teoretyczne mają uwagi autora o historii społeczeństw poddanych reżymom entropicznym. Osobiście obserwowałem na przestrzeni wielu lat kłopoty historyków zajmujących się historią „Polski Ludowej”. Ponieważ poważni badacze niezbyt chętnie kwapili się do podejmowania tematów, z góry zakładających kłeskę, przeto jest to w PRL domena młodych naukowców o niewielkim doświadczeniu i niezbyt szerokich horyzontach teoretycznych. Badacze ci stale utyskują na trudności związane ze szczególnymi warunkami działalności a więc na niedostępność materiałów, strzeżonych przez wysoko postawionych cerberów, oraz na trudności cenzuralne, napotymane nawet przy banalnych okazjach.

Havel dowodzi, że trudności badania historii społeczeństw entropicznych są o wiele głębsze. W społeczeństwie autentycznie żyjącym stale coś się dzieje. Im bogatszą strukturę ma społeczeństwo, tym bogatszy jego czas, tym lepsza w nim świadomość miary czasu, miary historii.

Jeśli jednak elementy kontynuacji i przyczynowości w dziejach są tak ontologicznie związane z niepowtarzalnością i przypadkiem, to — zapytuje Havel — czy historia, niewyczerpane źródło „chaosu”, niepokoju i nieporządku może istnieć w świecie, nad którym panuje reżym „entropiczny”?

„Odpowiedź jest jasna: nie może w nim istnieć. Zresztą, nie istnieje, przynajmniej na zewnątrz”. Czas społecznemu ulega zatrzymaniu, dzieje nikną z horyzontu, zastąpione działaniem planistów. Ten stan rzeczy ma wyraźne odbicie w sferze psychologicznej: Powoli lecz konsekwentnie tracimy poczucie czasu, zapominamy, co było wcześniej a co później, nabieramy przeświadczenia, że właściwie to wszystko jedno. „Wszystko spływa w jeden poszarżany kołowrotek i mówimy, że 'nic się nie dzieje'”.

„Kryzys społecznego poczucia czasu cofa jak gdyby społeczeństwo z powrotem do okresu prehistorycznego, gdy na przestrzeni tysiącleci świadomość... nie wychodziła poza granice stereotypu kosmiczno-meteorologicznego i... rytuałów religijnych”.

Pustkę wypełniają obecnie dzieje rzekome, płynące od Dnia Prasy do Dnia Wojska i odwrotnie. To jest nawet skądinąd wygodne — ironizuje autor — takie dzieje można nawet naprzód przewidywać, wystarczy tylko zerknąć do kalendarza.

Życia jednak nie sposób zabić, bo to pozbawiłoby reżym podstawy istnienia. Podobnie nie sposób zupełnie zabić dziejów. „Pod ciężką powłoką bezbłędności i rzekomego dziania się płynie strumyczek, powoli i niewidocznie podmywający tę powłokę. Ten proces może trwać długo, ale pewnego dnia musi się urzeczywistnić: powłoka już nie będzie w stanie przeciwstawiać się i zacznie pękać. To jest właśnie ta chwila, w której ponownie zaczyna się *dziać* coś widzialnego, coś rzeczywiście nowego i niepowtarzalnego, coś co nie było zaplanowane w oficjalnym kalendarzu 'dziania się', coś co nie daje nam wrażenia, że wszystko

jedno kiedy to się dzieje i co się dzieje. Coś doprawdy historycznego, w tym znaczeniu że DZIEJE ponownie żądają udzielenia im głosu”.

W tym kontekście należy również analizować rozmaite przesilenia w obrębie elity władzy, przewroty pałacowe, pucze, intrygi, konflikty osobiste — zawsze za ich kulisami możemy dostrzec konflikt między władzą a życiem, konflikt którego władza nie jest w stanie rozstrzygnąć na swoją korzyść, choć jest wystarczająco silna, by przeciwstawić się potrzebom życia.

Ponieważ struktura władzy nie jest przystosowana do konfrontacji z życiem, przeto przesilenia noszą w sobie zawsze elementy nieobliczalnego ryzyka i dla władzy i dla społeczeństwa.

Havel — jak widzimy — jest optymistą. Nie obawia się, że „...wraz z przyjściem obecnego kierownictwa zakończyło się życie w Czechosłowacji”, natomiast lęka się „...bezmyślnie okrutnych i długotrwałych skutków, jakie cała ta dzisiejsza przemoc będzie miała dla naszych narodów”, boi się „...ceny, którą wszyscy będziemy musieli zapłacić za drastyczne sfumienie historii, za okrutne i zbędne wpędzenie życia w podziemia...”.

Impulsem autora jest aktualna sytuacja normalizowanej Czechosłowacji i z niej czerpane są wszelkie przykłady. Tylko niekiedy autor akcentuje ogólne aspekty reżymu „entropicznego” lub totalitarnego. Mimo celowego zacieśnienia pola do Czechosłowacji, nie trzeba zbyt wiele wyobraźni by znaleźć ścisłe analogie z innymi państwami bloku sowieckiego w tej liczbie i z Polską. Generalnie biorąc, tezy zawarte w *memoriale* Havela dają się zastosować do każdego systemu totalitarnego.

Dlatego też należy przypuszczać, że tezy te wzbudzą rezonans wśród historyków współczesności. Uważam, że założenia metodologiczne, wyłuszczone w *memoriale*, mają szczególne znaczenie dla zrozumienia najnowszych dziejów Polski. Ostatnio czytałem szereg prac krajowych z zakresu powojennych dziejów polskich. Uderzyła mnie w nich bezradność autorów wobec zjawiska braku *dziania się*. Nie zamierzam upraszczać według znanego wzorca i odmawiać autorom czytanych prac ani uczciwości ani skrupulatności. Przeciwnie, widać było zarówno chęć ujawnienia spraw trzymany pod korcem jak i łagodny opór przeciwko indoktrynowanym schematom propagandowym. Ale żaden z autorów nie potrafił uporać się z głównym problemem, a mianowicie z obrazem społeczeństwa polskiego. Znaczący to, że historyk ograniczając się do sumowania dostępnych (a nawet trudnodostępnych) źródeł, historyk piszący historię partykularną, odrzucający głębszą refleksję metodologiczną, skazany jest na porażkę, nawet jeśli w ostatecznym rachunku przyczynek jego uznany będzie jako cenny. Zrozumienie dziejów społeczeństwa znajdującego się pod władzą totalitarną wymaga nie tylko szczególnych metod odczytywania źródeł ale i swoistej koncepcji metodologicznej.

Z cytowanych fragmentów wynika, że Havel stoi zdecydowa-

nie po stronie historii pojętej fenomenologicznie, dzianie się jest dla niego zawsze pełne zjawisk niepowtarzalnych, nawet nieprzewidywalnych, zaskakujących. Nawet przyczynowość stoi pod znakiem zapytania, jeśli można jej dowiedzieć tylko późniejszym rozumowaniem.

Jeśli jednak wniknąć głębiej, to w zanarchizowanym dzianiu się tkwią pewne zasadnicze prawidłowości i ich zrozumienie jest głównym przedmiotem dociekań autora *memoriału*. W ramach zbliżonych systemów polityczno-społecznych działają zbliżone prawa. Z tego punktu widzenia tezy Havela można określić jako model historii społecznej w warunkach totalitarnych. Mniejsza o to, że autor nie nadał zewnętrznych form temu modelowi — formalizacja w tym wypadku nie byłaby intelektualnie trudnym zabiegiem.

Jak wiadomo, w ostatnim czasie w świecie zachodnim, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, metoda modelowa badania zjawisk społecznych znalazła szerokie zastosowanie, szczególnie wśród socjologów i politologów. W Polsce próbował się na tym polu Witold Kula\*. W pozytywnym sensie sprowadza się ta metoda do uchwycenia podstawowych wewnętrznych atrybutów badanego obiektu.

Wśród wielu prób analizy modelowej podejmowanych w USA nie brak też licznych usiłowań uchwycenia podstawowych prawidłowości systemu sowieckiego. Jak dotychczas, próby te nie zostały uwieńczone powodzeniem. Budowane modele nie wytrzymały konfrontacji z rzeczywistością. Pomijając inne niedostatki, szczególne w każdym wypadku, u źródeł niepowodzeń dotychczasowych prób leży jedna wspólna przyczyna, mianowicie to, że badacze brali za punkt wyjścia cechy powierzchowne, czasem nawet cechy urojone (co cechuje badaczy o komunistycznych zapętleniach).

Model biorący za punkt wyjścia atrybut powierzchowny szybko ujawnia swoje niedostosowanie do rzeczywistości. Powierzchnowe cechy (elementy modelu) przestają występować, a wraz z nimi upada cała konstrukcja. Model wychodzący z powierzchownych przesłanek jest w najlepszym wypadku statyczny.

Zasadniczym walorem modelu zaproponowanego przez Havela jest znajomość systemu od wewnątrz. Jego model ma nie tylko wewnętrzny ład logiczny (chciałoby się nawet powiedzieć: estetyczny) ale wytrzymuje również próbę przekształceń badanego obiektu, jest dynamiczny, włączając w to pojęcie nawet przewidywaną destrukcję modelu.

Należy przypuszczać, że koncepcja Havela jest podsumowaniem i nadaniem kształtu dyskusjom, toczącym się wśród czeskich opozycyjnych intelektualistów. Tego zdania przynajmniej są władze bezpieczeństwa, które niemal natychmiast po otrzymaniu memoriału przeprowadziły wielogodzinną rewizję u najwybitniej-

\* W. Kula, *Teoria ekonomiczna ustroju feudalnego*. Próba modelu. Warszawa, 1962. Wyd. francuskie. Paryż, 1970.

szego czeskiego filozofa, Karela Kosika, któremu przy okazji skonfiskowano całe jego archiwum badawcze, tysiące stron notatek i manuskryptów. Jak dotychczas była to jedyna reakcja na ostrzeżenia ze strony Havela.

Józef LEWANDOWSKI

## Kronika ukraińska

Bież. numer biuletynu Towarzystwa Przyjaciół Filozofii Chrześcijańskiej, ukazujący się w Rzymie pod redakcją ojca Feliksa Bednarskiego OP, profesora „Angelicum”, zawiera *facsimile* listów kardynałów Slipyja i Wojtyły. Obaj kardynałowie gorąco popierają inicjatywę ojca Bednarskiego dotyczącą współpracy pomiędzy teologami polskimi i ukraińskimi (grecko-katolickimi). Mamy więc do czynienia z jak najbardziej autorytatywnym aktem bilateralnym o dużej wadze religijnej, moralnej i narodowej. Nie jest wykluczone, że w czasie jednego z najbliższych pobytów w Wiecznym Mieście kard. Wojtyła wygłosi odczyt na Katolickim Uniwersytecie Ukraińskim w Rzymie na zaproszenie kard. Slipyja, jako kanclerza tej uczelni.

Jak się dowiaduję, jeden z uczestników wielkiej pielgrzymki ukraińskiej z okazji Roku Świętego (por. moją korespondencję w nrze wrzesniowym), bp Praszko z Australii, wezwany został do „karnego raportu” przez prezydium Kongregacji dla Kościołów Wschodnich. Praszko był głównym prelegentem na akademii jaka odbyła się podczas lipcowej pielgrzymki w papieskiej auli audiencjonalnej. Akademia ta, połączona z koncertem zespołów ukraińskich, upłynęła pod znakiem uroczystego potwierdzenia godności patriarchalnej kardynała Slipyja, nadanej mu przez biskupów, księży i wiernych z ukraińskiej diaspory. Bp Praszko bronił przed forum watykańskim zajętego stanowiska w sprawie patriarchatu (którego Papież odmawia Ukraincom) niemożnością występowania przeciw własnemu sumieniu. Uznano to stanowisko za umotywowane, podobnie jak uznano również że z punktu widzenia liturgicznego postulat patriarchatu nie budzi zastrzeżeń. Kongregacja wypowiada się natomiast ponownie przeciw jurysdykcji patriarchalnej kardynała Slipyja jako Głowy Kościoła Ukraińskiego (według niej może istnieć tylko terytorialna jurysdykcja, tzn. w stosunku do obszaru Ukrainy, a ta nie jest sprawowana na skutek siły wyższej). Praszko replikował że może istnieć również jurysdykcja personalna, powołując się na dekret soborowy o Kościołach Wschodnich, obowiązujący dla Ukraińców obrządku grecko-katolickiego od 7 kwietnia 1965 roku, tj. od chwili wprowadzenia w życie postanowień tego dekretu na obszarze USA i Kanady. Kard. Slipyj miał bowiem prawo nadać temu dekretowi wykonawczą moc wiążącą dla ukraińskiej diaspory, podpisując oficjalny przekład w języku ukraińskim. Praszko, podobnie jak i pozostali biskupi, przypominają *nota-bene*, że Pius XII uznał w Kościołach Wschodnich nie tylko jurysdykcję terytorialną, ale również i personalną.

Jak wygląda dziś opozycja przeciw patriarchatowi wśród Ukraińców? Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że nikt z członków hierarchii ukraińskiej nie angażuje się otwarcie przeciw patriarchatowi. Istnieje natomiast pewna rozbieżność opinii co do metody ustanowienia go. Nieliczni biskupi (np. Marusyn, wizytator apostolski w Europie, oraz bazylianie, Chymyj z Vancouveru w

Kanadzie i Horniak w Anglii, pochodzący z Jugosławii) uważają że należy działać ostrożnie i bez wywierania nacisków na watykańską Kongregację dla Kościołów Wschodnich. Opozycja więc składa się z kilku watykańskich lojalistów, skłonnych do nadmiernej ugodowości. Ci właśnie nowo upieczeni nominaci watykańscy (nominacje — przypominam — są nie uzgadniane z kard. Slipyjem) wprowadzają elementy rozłamowe do zwartego frontu ukraińskiego, uznającego Slipyja jako Patriarchę. Dywersji watykańskiej przeciwstawiają się skutecznie poszczególne skupiska ukraińskie w diasporze i naczelna ich organizacja: Światowa Federacja Stowarzyszeń „Za Patriarchat”; neutralizuje je również częściowo postawa solidarności jaką postulat ukraińskim okazują patriarchowie i przedstawiciele innych Kościołów Wschodnich (zwłaszcza maronicki), czemu dają wyraz w pracach watykańskiej komisji dla opracowania wschodniego kodeksu kanonicznego, w której dominują *nota-bene* „a-cinnicy” co, łagodnie określając, stanowi grube nieporozumienie.

D. MORAWSKI

### OD REDAKCJI:

Popieramy dążenia naszych braci-Ukraińców do formalnego zatwierdzenia przez Stolicę Apostolską statusu patriarchalnego ich Kościoła obrządku grecko-katolickiego (unickiego). Ukraińcy żyjący w diasporze, biskupi, duchowni i wierni, uznają kardynała Josyfa Slipyja jako Patriarchę i powołany przez Synod episkopalny jako najwyższy organ autonomicznej organizacji kościelnej. Zastrzeżenia watykańskie o charakterze historycznym i kanonicznym nie mają istotnego znaczenia. Inne patriarchaty wschodnie zostały również zatwierdzone przez Stolicę Apostolską *post factum*. Decydować powinny względy moralne i duszpasterskie. Chodzi o ocalenie tego obrządku starosłowiańskiego, jego tradycji i autonomii jurysdykcyjnej, nie tylko terytorialnej, lecz i personalnej. Patriarchat należy się katolikom ukraińskim, którzy ponieśli niezmiernie ofiary — łącznie z męczeńską śmiercią tysięcy wyznawców — za swą wierność Unii i Stolicy Apostolskiej. Odrzucenie tego postulatu oznaczałoby faktycznie pogodzenie się z likwidacją ukraińskiego Kościoła unickiego i przymusowym jego włączeniem do prawosławnej Cerkwi rosyjskiej. Jesteśmy przeświadczeni, że nadejdzie dzień, w którym kunktatorstwo, oparte na zwodniczych rachubach politycznych ustąpi na rzecz wymogów sprawiedliwości: Patriarchat ukraiński zostanie uznany również przez Stolicę Apostolską.

REDAKCJA

## Kronika litewska

W końcu ubiegłego roku chwalono się w prasie wileńskiej troskliwością o ochronę przyrody, i opisywano, że ogromny obszar — od Ignalina w kierunku na Jeziorosy — jest przejmowany na rezerwat — park narodowy. Ładne tam okolice, jeziora, piaseczki. Strata dla produkcji rolnej byłaby niewielka. Pomysł godny pochwały. I oto po jakimś czasie odbyła się tamże uroczystość, ale położenia kamienia węgielnego pod nowe miasto, które powstanie wokół — siłowni nuklearnej. Na uroczystość przybyli gen. sekretarz litew-

skiej kompartii J. Griskevičius, oraz z Moskwy, Kirejew — z komitetu dla spraw energii nuklearnej. Miasto atomowe ma być budowane w litewskim stylu, ale z wielopiętrowymi kamienicami itd. Na całym świecie obrońcy przyrody są w konflikcie z założycielami siłowni atomowych a tam przygotowują im teren.

(Siłownia ma powstać koło jeziora Visaginas w dawnym powiecie Święciańskim).

W okresie zatwierdzania nienaruszalności granic na konferencji w Helsinkach, odwiedziło Litwę szereg wycieczek zagranicznych. Przybyła grupa dyplomatów akredytowanych w Moskwie, m.in. Szwed i Arab z Jordanii. Grupa postępowych katolików z Włoch, pod przewodnictwem prał. Rosano z Watykanu, przeprowadziła szereg rozmów z księżmi litewskimi, dobranymi tak, by świadczyli, że panuje tam wolność religii. Niezależnie od tego odwiedził Litwę kardynał niemiecki Bengsch, w którego jurysdykcji jest wschodnia stręfa Berlina. Kardynał był spotykany uroczystie przez biskupów, duchowieństwo i liczne tłumy, w Wilnie, Kownie i Poniewieżu.

Dwaj docenci, kierownicy wycieczek studentów wileńskich, które pod pretekstem zwiedzania zabytkowych kościołów, wysłuchały w nich kazań, dostali surowe nagany od rektora uniwersytetu wileńskiego.

Z okazji stulecia urodzin Czurlonisa odbyły się akademie i wystawy jego prac w Kownie i Wilnie, po czym wystawę przewieziono do Moskwy. Związek Sowiecki wydał znaczek pocztowy z podobizną Czurlonisa, a jego pomnik postawiono w Druskiennikach.

Pomimo prześladowań „Kronika Kościoła Katolickiego Litwy” ukazuje się nadal. Nr 18 stwierdza, że obrońcą uciśnionych na Wschodzie jest Sołżenicyn a nie rządy — sygnatariusze uchwał w Helsinkach. Pomimo uchwalenia swobody komunikacji pełny tekst końcowych uchwał, jak też deklaracji praw człowieka, nie był Litwinom udostępniony, ani nawet przetłumaczony na litewski.

Skład rządu litewskiej republiki uległ nieznacznym zmianom i obecnie przedstawia się następująco: Przewodniczący rady ministrów — Maniūšis, pierwszy zastępca — Kairys, zastępcy: Diržinskaite-Pliušėna, Drobnyš (również komisja planowania), Rusenka (Rosjanin) i Vazalinskas, minister szkół wyższych i technicznych — Zabulis, przemysłu drzewnego i meblarskiego — Kurys, spraw zagranicznych — Diržinskaite-Pliušėna, finansów — Sikorskis, budownictwa wiejskiego — Bagdonas, kultury — Šepetys, lekkiego przemysłu — Ramanauskas, przemysłu spożywczego Dulskas, melioracji i gospodarki wodnej — Velička, przetworów mięsnych i nabiału — Buklys, lasów — Matulionis, handlu — Mickunas, łączności — Onaitis, materiałów budowlanych — Jasiunas, budownictwa — Sakaļauskas, zdrowia — Kleiza, oświaty Rimkus, sprawiedliwości — Randakevičius, spraw wewnętrznych — Mikalauskas, rolnictwa — Grigaliūnas, transportu i szos — Martinaitis, obsługi — Plechavičius, gospodarki komunalnej — Serys, opieki społecznej — Pacevičiene, przemysłu miejscowego — Simonėna (Rosjanin). Po za tym jest 10 komitetów. Na czele komitetu bezpieczeństwa jest J. Petkevičius. Zwraca uwagę brak ministerstw ciężkiego przemysłu zarządzanego bezpośrednio z Moskwy.

E. ŻAGIELL

**Kraj**

## Międzynarodowa konferencja etniczna w Krakowie

Konferencja na temat „Stan i potrzeby badań nad zbiorowcami polonijnymi”, która odbyła się w Krakowie w dniach 30 sierpnia - 5 września 1975 roku została przygotowana przez Komitet Badania Polonii Zagranicznej PAN-u, Tow. „Polonia” i Polonijny Ośrodek Naukowo-Dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przewodniczącym Komitetu PAN-u jest od kwietnia 1973 roku naukowiec prof. Gerard Labuda z Poznania, który dotąd zajmował się problematyką niemiecką, a nie polonijną.

Konferencję krakowską poprzedziły dwie przygotowawcze imprezy: kolokwium na temat dziejów Polonii w XIX i XX wieku, odbyte w ramach XI zjazdu historyków polskich w Toruniu w dniach 9-13 września 1974 roku oraz konferencja teoretyczna na temat metodologii badań nad Polonią zagraniczną w dniach 24-26 kwietnia 1975 roku w Poznaniu.

Na kolokwium w ramach zjazdu historyków wygłoszono następujące referaty o problemach polonijnych: M. Drozdowski: „Ewolucja pojęcia 'Polonia' w XIX-XX wieku”; W. Wrześniński: „Polityka państwa polskiego wobec Polaków za granicą w latach 1918-1939”; A. Brożek: „Problemy badawcze dziejów Polonii północno-amerykańskiej w drugiej połowie XIX wieku”; B. Grzełowski: „Wkład polskiej emigracji do cywilizacji amerykańskiej” M. Sliwicz: „Polonia w Ameryce Roosevelta”; M. Tarkowski: „Sytuacja robotnika polskiego i pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w okresie międzywojennym”; K. Groniowski: „Główne etapy rozwoju Polonii południowo-amerykańskiej”; K. Murzynowska: „Polska emigracja zarobkowa w Niemczech w latach 1870-1918”; H. Janowska: „Polonia francuska między pierwszą a drugą wojną światową”; E. Boniecka: „Polonia brytyjska”; M. Fudali: „Rozwój badań etnicznych w USA”;

szewski: „Zagadnienie polsko-francuskiej konwencji emigracyjnej z 3. IX. 1939 roku”; Z. Stankiewicz: „Przyczyny emigracji ekonomicznej z Polski pod zaborami”; A. Pilch: „Trendy migracji zarobkowej ludności Galicji na przestrzeni XIX i XX wieku”; K. Wajda: „Wymiana siły roboczej między ziemiami polskimi a Niemcami w drugiej połowie XIX i początkach XX wieku”; J. Tomaszewski: „Czynniki wpływające na migracje zewnętrzne ludności w Polsce 1918-1939”; T. Łepkowski: „Emigrant i członek 'Polonii' — Wokół pojęć i kategorii”.

Na konferencji poznańskiej referaty wygłosili: J. Topolski: „Problemy emigracji w badaniach procesu historycznego”; K. Kwaśniewski: „Mniejszości narodowe a świadomość narodu”; W. Makarczyk: „Więź Polonii z krajem jako przedmiot badań naukowych”; G. Babiński: „Problemy warsztatowe socjologicznych badań empirycznych wśród Polonii amerykańskiej”; H. Kubiak: „Świadomość narodowa Polonii amerykańskiej”; Łucja Łukasiewicz: „Problematyka socjologiczna zrzeszeń polonijnych”; S. Przywarski: „Problematyka więzi Polonii z krajem w badaniach Zakładu Badań nad Polonią Zagraniczną PAN w Poznaniu”; ponadto w dniu 26 kwietnia odbyły się w tym zakładzie seminaria z udziałem pp.: Babińskiego, Kubiaka i Makarczyka.

W Krakowie, w gronie referentów, znajdowali się z wyżej wymienionych pp.: Babiński, Drozdowski, Janowska, Murzynowska, Pilch, Fudali, Wrzesiński i Kubiak, który był głównym organizatorem. Nie jesteśmy w stanie ustalić czy były to referaty identyczne, szczególnie gdy chodzi o zestawienie poznańskich z krakowskimi.

Z referatów zagranicznych w Krakowie niewątpliwie najpoważniejszym był pod każdym względem Jerzy Zubrzycki, profesor Australian National University w Canberra, autor klasycznej pracy *Polish Immigrants in Britain*.

Prof. Ruth Johnston z Australii, badająca problematykę polonijną, autorka m.in. *Factors in the Assimilation of Selected Groups of Polish Post-War Immigration in Western Australia, Immigrant Assimilation; A Study of the Polish People in Western Australia; The Assimilation Myth — A Study of Second Generation Polish Immigrants in Australia* — nie zgłosiła — niestety — żadnego referatu.

Jeśli idzie o wybitnych badaczy i specjalistów amerykańskich, zajmujących się problemami etnicznymi, a w szczególności grupę polską, nie przybyli: Helena Znaniecka-Lopata, Danuta Mostwin, Theresita Polzin, R. Kolm, E. Obidinski, J. Wytrwal, Ch. Jurczyk, ks. L. Chrobot.

Interesujące referaty Amerykanów dotyczyły technicznej strony badawczej; wygłosili je, a mianowicie: F. Siemankowski: „Rola nowych technik badawczych nauk społecznych w badaniach nad polską emigracją”; B. Deresiewicz: „Zabezpieczenie i gromadzenie źródeł do historii ruchów emigracyjnych”; Imre Boba i Józef Velikonja: „Statystyka USA dotycząca polskich imigrantów”; Tadeusz Gromada wygłosił raczej pogadankę aniżeli referat o Górah

lach w USA, ich powiązaniach z Podhalem, więzach solidarności itp.

Występ Włodzimierza Drzewienieckiego był wielkim nieporozumieniem. Program podawał, że wygłosi on referat pt. „Polonia w Ameryce Północnej” a zaprezentował propagandowe przemówienie wiecowe — atak na organizacje polonijne, Kongres Amerykański i kler katolicki. Przeprowadzając w gruncie rzeczy osobisty obrachunek z Polonią w Buffalo, sięgał aż do Kanady, kreśląc np. fałszywy obraz sytuacji Polonii w Toronto. Ostro na ten występ zareagował prof. Zubrzycki a później inni.

Eugene Kusielewicz odczytał swój referat po polsku. Oceniał on bardzo krytycznie obecny układ Polonii Amerykańskiej, zaznaczając iż operowanie milionowymi liczbami Polaków w USA jest absolutnie fałszywe. Polonia znajduje się w okresie wielkich i głębokich przemian. Zdaniem jego należy oczekiwać iż prawdziwie aktywna i realna Polonia, która pielęgnować będzie więzy z Polską skurczy się do 300-400.000 a pozostali wsiąkną całkowicie w główny strumień amerykański.

Edward Puacz zapowiadał, podobnie jak Kusielewicz wchłonięcie przez otoczenie, bezcelowość i zanik obecnego typu życia organizacyjnego, uważał natomiast, że przez wejście w polityczne i kulturalne życie amerykańskie grupa polska może zapewnić sobie należne miejsce.

Zaden z tych referatów nie był obiektywną i naukową próbą oceny rzeczywistości Polonii Amerykańskiej, jej analizy organizacyjnej, nie był też historycznym obrazem.

Prof. Zubrzycki, zaproszony do wygłoszenia powitalnego przemówienia, powiedział: „Proszono mnie o przemówienie powitalne w imieniu uczestników Konferencji. Przyjąłem to zaproszenie jako uczony zajmujący się od 25 lat badaniem ruchów migracyjnych w skali światowej, których ośrodkiem jest słynne Research School of Social Sciences w Australian National University Canberra. Toteż przemawiam dzisiaj jako przedstawiciel tej właśnie instytucji, a nie przedstawiciel licznych rzesz emigrantów polskich na świecie. Nie jestem bowiem organizacyjnie związany z żadnym z ośrodków dyspozycyjnych Polonii.

Rozpaczam od osobistych wspomnień jakie łączą mnie z miejscem dzisiejszej uroczystości. W latach trzydziestych, jako uczeń gimnazjum im. Sobieskiego w Krakowie, wiele razy byłem świadkiem promocji doktorskich oraz słuchaczem wykładów profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, które odbywały się w tej czcigodnej auli. A niedaleko stąd, po drugiej stronie ulicy Podwale, stałem w grupie świeżo imatrykulowanych studentów U.J. kiedy to 5 listopada 1939 roku właśnie tu, w Collegium Novum, byłem świadkiem haniebnego aresztowania profesorów U.J. przez Niemców i wywiezienia ich do obozu koncentracyjnego. Otwierając konferencję pragnę sprecyzować moje własne propozycje poznać i cele tego spotkania.

1. Musi ono przyczynić się do scalenia działalności różnych ośrodków badawczych, takich jak instytucje stworzone na U.J.,



Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz w Poznaniu jak też i innych miejscach w kraju i na obczyźnie.

2. Zadaniem naszym musi być próba stworzenia obiektywnych narzędzi umożliwiających poznanie prawdy o Polonii a nie mitu i fikcji, jakie, niestety, zbyt często wytwarzamy zarówno tu w kraju, jak i na obczyźnie. Ten mit o potędze Polonii jest podstawą fałszywej oceny jej potencjału biologicznego, politycznego i gospodarczego.

3. Konieczność objęcia badaniami Polonii nie tylko w krajach zamorskich oraz Zachodniej Europy ale również w *krajach ościennych*.

4. Zrozumienie procesów przystosowania, które mogą wytwarzać u poszczególnych jednostek wśród Polonii (o czym niedawno pisała Danuta Mostwin w londyńskich *Wiadomościach*) TRZECIĄ WARTOŚĆ, tj. formę pośrednią pomiędzy identyfikacją z krajem osiedlenia a krajem pochodzenia".

W konferencji uczestniczyli dwaj księża: Czesław Kamiński, prawnik, przeor zgromadzenia T-wa Chrystusowego i Jan Piton, dawny misjonarz z Brazylii. Ten ostatni występował po cywilnemu i wygłosił referat pt. „Przemiany w Polonii Ameryki Łacińskiej”. Ks. Kamiński głosu nie zabierał.

Referenci krajowi byli bardzo ostrożni jeśli idzie o aspekty polityczne, zwłaszcza ci, którzy referowali problematykę grupy polskiej na kontynencie Ameryki Północnej. Zresztą jeśli idzie o Kanadę, to sytuację Polonii przedstawili w referatach i dyskusji przedstawiciele tego kraju: pp. Teodor Domaradzki, Benedykt Heydenkorn, Izabella Jost, Rudolf Kogler i Stanisław Zybąła.

Przemówienie Tadeusza Cieślaka z PAN-u było nie tylko propagandowe i polityczne, ale przede wszystkim tak prostackie, że nawet jego koledzy z PAN-u skwitowali je ze wstydem.

Inni mówcy grali na nucie sentymentalno-uczuciowej, zapomniawszy widać jaki był temat konferencji. W tej grupie najbardziej popisała się p. Józefa Radzymińska. Była to deklamacja o jej tęsknocie do kraju, która nakazała jej powrócić z Argentyny do Polski, oraz reklama jej wierszy i książek, które się już ukazały, względnie mają się ukazać.

Dlaczego na konferencję nie przybyli przedstawiciele skupisk polskich z państw ościennych, zaprzyjaźnionych z PRL?

Pytanie to stawialiśmy wielu obecnym, ale nikt nie dał na nie odpowiedzi. Zarówno w referacie prof. Pilcha „Główne prawidłowości emigracji z ziem polskich” jak i prof. Licińskiej „Geograficzne rozmieszczenie Polonii” brakło danych o Polakach przebywających w krajach bloku sowieckiego. Jeden z mówców zauważył, że jeśli idzie o Rosję, to jest to sprawa specjalna, gdyż idzie tu o ludność na dawnych ziemiach polskich — co oczywiście jest nieściste, podczas gdy inni wręcz oświadczyli (ale nie publicznie na konferencji), że nie dysponują żadnymi danymi i nie mają możliwości zbadania stanu Polonii, wobec czego opierają się wyłącznie na oficjalnych danych statystycznych.

Trzy referaty wygłoszono na tematy francuskie: Jan Gruszyń-

ski (Polska) pt. „Integracja emigracji polskiej we Francji ze społeczeństwem francuskim”, Monika Ciechanowicz-Zaleska (Francja) pt. „Problem dwujęzyczności u dzieci pochodzenia polskiego we Francji” i Michel Joel (Francja) pt. „Druga wojna światowa i ewolucje wspólnoty polskiej na północy Francji”.

Rola czynników oficjalnych w czasie konferencji ograniczyła się do grzecznościowych powitań. Nie oznacza to oczywiście, że nie miały one wpływu zarówno na zorganizowanie tej konferencji, jak i na ustalenie jej programu.

Z uzyskanych informacji zdaje się bezspornie wynikać, że program naukowo-badawczy problemów polonijnych jest tylko fragmentem wielkiego programu, w którym dominują zagadnienia gospodarcze, polityczne i technologiczne.

Benedykt HEYDENKORN

## Kronika gospodarcza

### RÓŻNE

*Gdańsk, 11. X. 75*

Statek Welsh Herald zabrał ładunek 17 tys. ton węgla dla stalowni angielskiej w Teesside. Jest to pierwsza dostawa w ramach polsko-angielskiej umowy zawartej na 14 lat. Umowa nie została oficjalnie ogłoszona, nie znane są więc ani ceny ani ilości węgla dostarczanego przez Polskę. Wiadomo, że Anglia zapłaciła z góry zaliczkę w wysokości 50 milionów dolarów.

*Waszyngton, 13. X. 75*

Powrócił tu z oficjalnej wizyty w PRL i na Węgrzech amerykański minister handlu Roger Morton. Oświadczył on, że PLL Lot zainicjowały negocjacje z amerykańskimi firmami Boeing i McDonnell-Douglas w sprawie kupna 50 samolotów średniego i długiego zasięgu. Do rozmów zaproszone zostały również firmy angielskie i francuskie. Transakcja wyrażałaby się sumą ok. miliarda dolarów. Do tej pory Lot, jak wszystkie linie bloku sowieckiego operował tylko samolotami sowieckimi. Według min. Mortona obroty w handlu polsko-amerykańskim osiągną sumę miliarda dolarów w roku 1976 i powinny ulec podwojeniu do roku 1980. Ok. 30 % polskiego eksportu do Stanów Zjedn. będzie owocem umów koprodukcyjnych. Strona polska wyraziła żądanie udzielenia przez Stany Zjedn. Węgrom klauzuli największego uprzywilejowania. Min. Morton jest za udzieleniem tej klauzuli i sądzi, że rośnie dla niej poparcie w amerykańskim Kongresie. Handel węgiersko-amerykański jest jeszcze w powijakach: jego obroty zamykają się kwotą ok. 150 mln. dolarów.

*Berlin, 14. X. 75*

Firma Krupp w Essen otrzymała z PRL zamówienie wartości 11 milionów dol. na dostawę wyposażenia dla fabryki drutu miedzianego w Lubinie. W wykonaniu zamówienia współpracuje firma szwedzka ASEA (elektrotechni-

ka) i belgijska Hoboken-Overpelt SA. Ta ostatnia prowadzić będzie szkolenie w użytkowaniu wyposażenia. Produkcja ruszy w 1977 roku i wynosić będzie 100.000 ton drutu rocznie. Część produkcji pójdzie na rynek zachodniemiecki. Lubin posiada największe złoża miedzi w Europie. Przy okazji Krupp informuje, że znacznie większa umowa z PRL, dotycząca budowy fabryki metanolu jest już bliska podpisania. Wartość tego obiektu wynosi 115 mln. dolarów.

*London, 26. X. 75*

Angielskie ministerstwo handlu wszczęło badania oskarżeń o *dumping* towarów sowieckich. Przedmiotem badania są 15-tonowe ciężarówki-wywrotki, damskie płaszcze przeciwdeszczowe i sacharyna. Główne zainteresowanie koncentruje się na wywrotkach. Zdołały one opanować ok. 10 % tutejszego rynku i sprzedaż ich wykazuje w dalszym ciągu tendencję wzrostową. Angielski przemysł motoryzacyjny wyraża nadzieję, że badanie rzuci światło na sposób wyceniania samochodów importowanych z sowieckiej części Europy. Do tej pory sowiecka ŁADA, polski FIAT 125P i czeskosłowacka SKODA zdołały zdobyć zaledwie niecałe 2 % rynku, ale samochody te pojawiły się w większych ilościach dopiero w ostatnich miesiącach i sprzedaż ich wykazuje niebezpieczną — z punktu widzenia producentów angielskich — dynamikę.

*Budapeszt, 3. XI. 75*

Węgry wprowadziły prawo o ograniczeniu maksymalnych zarobków — wszystkie premie itd. nie mogą przekraczać 50 % podstawowej płacy. Prawo uderza w zdolnych dyrektorów przedsiębiorstw. Wchodzi ono w życie 1. 1. 1976.

*Warszawa, 11. XI. 75*

W wywiadzie udzielonym korespondentowi londyńskiego *Financial Times* polski minister finansów Henryk Kisiel oświadczył, że Polska skończyła już fazę wielkich inwestycji. Ogólny poziom inwestycji w nadchodzącej 5-latce wzrośnie o 40 % (co oznacza wzrost roczny w wysokości 6,6 %). Polska koncentrować się będzie na wykończeniu zaczętych obiektów i lepszym wykorzystaniu surowców. W handlu zagranicznym nacisk będzie na sprzedaż, nie na kupno — eksport ma wzrosnąć 40 % więcej, niż import. W chwili obecnej obsługa długów pochłania 20 % wartości eksportu. W dziedzinie cen stosowana będzie elastyczna polityka „kontrolowanej inflacji” — jest to przyznanie niemożności dalszego utrzymywania stałych cen. Według Kisielego podstawowym celem gospodarki jest podniesienie stopy życiowej.

## WYŻYWIENIE I ROLNICTWO

(por. artykuł „Za chlebem”, *Kultura*, październik 1975)

*Moskwa, 20. X. 75*

Po blisko dwumiesięcznych, intensywnych negocjacjach Sowiety i Stany Zjednoczone podpisały pięcioletnią umowę zbożową. W ramach umowy Sowiety będą corocznie kupowały 6 milionów ton amerykańskiego zboża — pszenicy i kukurydzy w równych ilościach. Ponadto w latach, w których zbiory amerykańskie przekroczą 225 milionów ton, Sowiety będą mogły dokupić dalsze 2 miliony ton rocznie, w żadnym jednak wypadku nie będą mogły kupić mniej, niż 6 milionów ton. Umowa wchodzi w życie 1. 10. 76 i wygasa 30. 9. 81. Do chwili wejścia w życie umowy Sowiety mogą zakupić 7 milionów ton z bieżących zbiorów niezależnie od 10 milionów ton już zakupionych. Embargo na sprzedaż amerykańskiego zboża Sowietom zostaje zniesione, ale ewentualne zakupy w okresie do 1. 10. 76 powyżej 7 mln. ton wymagają specjalnego zezwolenia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Oczekuje się, że umowa położy kres pirackiej działalności Sowietów na światowych

rynku zboża i przyczyni się do wyeliminowania gwałtownych fluktuacji w cenach pszenicy i innych produktów rolnych. W związku z umową rząd Stanów Zjedn. uznał za możliwe znieść specjalne subsydia płacone rolnikom za *nieobsiadanie* części posiadanej roli. ■ Oba rządy ogłosiły jednocześnie, że są bliskie zawarcia umowy o dostawie sowieckiej ropy naftowej do Stanów Zjedn. Umowa ta ma również opiewać na 5 lat i gwarantować dostawę ropy dla Stanów Zjedn. w ilościach 200.000 baryłek dziennie (jest to ok. 4 % amerykańskiego importu ropy). Początkowo rząd amerykański traktował obie umowy jako całość, natomiast Sowiety uważały takie *unctum* za politycznie ambarasujące. Rzekomym powodem odłożenia podpisania umowy naftowej jest nieuzgodnienie ceny ropy.

*Waszyngton, 27. X. 75*

Ministerstwo Rolnictwa Stanów Zjedn. obniżyło szacunek tegorocznych zbiorów zbóż w ZSSR do 160 milionów ton (plan sowiecki przewidywał 215 mln. ton). Są to najniższe zbiory w ZSSR od początku lat sześćdziesiątych. Klęska głodu zażegnana jest ogromnymi zakupami zbóż zagranicą. Ocenia się, że w bieżącym roku Sowiety zakupiły 23 miliony ton zbóż. W jednym tylko tygodniu, który upłynął od zawarcia amerykańsko-sowieckiego układu zbożowego, Sowiety zakupiły w Stanach Zjedn. 1,2 mln. ton zbóż (z siedmiu milionów dozwolonych układem). ■ *Waszyngton, 6. XI. 75.* W ciągu dwóch tygodni od podpisania układu zbożowego ze Stanami Zjedn., Sowiety zakupiły w Stanach 2,7 mln. ton zbóż. Do września przyszłego roku mogą jeszcze kupić 4,3 mln. ton.

*Paryż, 8. XI. 75*

Prasa francuska doniosła, że Sowiety zażądały od Polski i Czechosłowacji wstrzymania na jeden miesiąc eksportu ziemniaków do krajów poza blokiem sowieckim. Jest to w związku ze światowym kryzysem ziemniaczanym, który szczególnie uderzył Związek Sowiecki. Kryzys wynika z powodu wyjątkowo suchej pogody w ciągu ostatnich dwóch lat. Zw. Sowietki jest największym producentem ziemniaków na świecie z produkcją przekraczającą 100 milionów ton rocznie; Polska zajmuje drugie miejsce z ok. 50 milionami ton. Cała Europa Zachodnia produkuje ok. 40 milionów ton. Polska eksportuje normalnie do pół miliona ton, głównie do Związku Sowieckiego.

*Rzym, 11. XI. 75*

Dr A. Boerma, zastępcy szef Organizacji Rolnictwa i Wyżywienia (FAO) oskarżył Związek Sowiecki, że przez odmowę współpracy z Organizacją wykazuje on brak odpowiedzialności międzynarodowej. Tego rodzaju wystąpienie jest bez precedensu w historii organizacji międzynarodowych. Natomiast prywatnie, wewnątrz FAO, od dawna ubolewa się, że kraj o największej powierzchni ziemi uprawnej nie tylko nie daje wkładu do akcji zwalczania głodu, ale przez wykupowanie żywności na rynkach światowych jeszcze utrudnia tę akcję. Podłożem wystąpienia dr. Boermy było ogłoszenie ilości osób głodujących na świecie: obecnie jest ich 500 milionów, za 10 lat liczba ta wzrośnie do 750 milionów.

## UMOWY MIĘDZYPANSTWOWE

*Praga, 18. X. 75*

PRL i Czechosłowacja podpisały „protokół o koordynacji planów gospodarczych” na lata 1976-80. Umowa przewiduje niemal dwukrotny wzrost obrotów handlowych między krajami w porównaniu z ubiegłym pięcioletciem. Ogólna wysokość obrotów w ramach umowy wyniesie ok. 5,9 mld. rubli.

Moskwa, 19. X. 75

ZSSR i Bułgaria podpisały umowę handlową na lata 1976-80. Obroty handlowe między obu krajami mają wzrosnąć do 26 milionów dolarów. Przy tej okazji sowiecki premier Bajbakow pochwalił Bułgarów za ich udział w rozwijaniu sowieckiego potencjału przemysłowego: w chwili obecnej pracuje w ZSSR 12.000 Bułgarów, głównie w przemyśle drzewnym. W przyszłości Bułgaria znacznie inwestować również w sowieckim przemyśle naftowym i gazowym.

Rzym, 27. X. 75

Bawił tu na czele 12-osobowej delegacji sowieckiej minister Handlu Zagranicznego N. Patolicew. Uzyskał on długoterminowe kredyty w wysokości 900 milionów dolarów na zakup towarów włoskich. Niezależnie od tego rozmawiał on z przedstawicielami firm operujących w ZSSR, a mianowicie: Fiat, ENI, Finmeccanica, Montedison, stalownie Finsider. Spodziewane są dalsze inwestycje w Sowietach przez te firmy. Szczególnie uporczywie powtarzana jest pogłoska, że Fiat zbuduje w Sowietach jeszcze jedną fabrykę samochodów i zakład montażu maszyn budowlanych. Wizyta Patolicewa jest tylko pierwszą rundą rozmów handlowych sowiecko-włoskich. Dalsze umowy, kontrakty i kredyty nastąpią w czasie wizyty prezydenta Leone w ZSSR w listopadzie. Handel włosko-sowiecki rozwija się „żywiłowo” — jego obroty w 1974 roku osiągnęły poziom 750 mln. dolarów, a więc dwukrotnie wyższy, niż w 1973 roku. ■ Rzym, 28. X. 75. Polsko-włoska umowa handlowa na lata 1976-80 podpisana została w trakcie wizyty polskiego ministra handlu zagranicznego J. Olszewskiego. Umowa przewiduje rozwój handlu i współpracy przemysłowej, technicznej i naukowej między obu krajami. Polska otrzymała 50 mln. dolarów kredytu na zakup towarów włoskich, m.in. dwóch statków towarowych, i na rozbudowę polskiego górnictwa. Polska zobowiązała się dostarczać węgiel i koks.

Warszawa, 28. X. 75

Wicepremierzy F. Kain (PRL) i Iwan Archipow (ZSSR) podpisali umowę o polsko-sowieckiej współpracy technicznej i ekonomicznej w rozbudowie polskiego przemysłu stalowego. Sowieckie dostawy („na bardzo dogodnych warunkach”) maszyn i sprzętu umożliwią zakończenie drugiej fazy budowy Huty Katowice do roku 1980. Huta będzie produkować 9 mln. ton stali rocznie.

Moskwa, 29. X. 75

Trzynaście węgiersko-sowieckich umów handlowych podpisano tu w czasie pobytu węgierskiego wicepremiera G. Szekera. Z komunikatu wydanego z tej okazji wynika, że Węgry nie otrzymają w tym roku 6,5 mln ton sowieckiej ropy, co gwarantowała poprzednia umowa, a tylko 6 mln. ton. Węgierski GUS ujawnił, że wzrost cen surowców z krajów RWPG (głównie Sowietów) spowodował straty dla przemysłu węgierskiego, idące w miliardy foryntów (1 miliard foryntów = 20 milionów dolarów).

Wiedeń, 3. XI. 75

Austriacka Izba Handlowa ogłosiła dane o austriackiej współpracy przemysłowej z krajami bloku sowieckiego. Umów o przemysłowej współpracy Austria zawarła: z Węgrami 80, z Polską 12, z Bułgarią 8, z Rumunią 5, z Czechosłowacją 4, z NRD 1. Ta ostatnia odnosi się do współpracy w Mauretani. Przemysłowych umów z Sowietami nie ma, są tylko techniczne i naukowe. Tylko 5 % austriackiego handlu z blokiem sowieckim jest wynikiem tych umów.

B. B.

## Sprawy i troski

### Kongres Naukowców Polskich w Montrealu

CZWARTY KONGRES NAUKOWCÓW  
POLSKIEGO POCHODZENIA

Kiedy jeszcze niezatarte są wrażenia blasków i cieni Kongresu w Montrealu (16-18 maja 1975) dobrze jest porozwagać o tym jak zaprojektować ten *przyszły Czwarty Kongres*, aby był nowym owiany duchem, aby lepiej spełniał swe zadania (jakie?), aby bardziej łączył (kogo?), pokazywał (co?), zaspakajał potrzeby (czyje i jakie?), aby był wkładem (czego w co?), aby był trwałym dorobkiem (czym?), aby wspominało się go przez długie lata, i aby żałowali ci, którzy w nim nie uczestniczyli...

#### Technika wygłaszania referatów

Zaproponujemy cztery zasady ogólne dotyczące techniki referowania na kongresach.

Na dziesiątkach kongresów, zjazdów i wykładów byliśmy wszyscy, a były one mniej lub bardziej specjalistyczne, tak przyrodnicze jak i humanistyczne. Wszyscy znamy więc wykroczenia przeciw zasadom dobrego referowania. Na Trzecim Kongresie w Montrealu, jak i na poprzednich Kongresach Polskich Naukowców, wykroczenia te były powszechne.

*Wykroczenie Nr 1 to czytanie referatu (wykładu).* Ten, kto czyta swoje referaty powinien zdawać sobie z tego sprawę, że traci na komunikatywności, że traci znaczną część słuchaczy. Albowiem język pisany jest po to, aby go czytelnik czytał; zaś język mówiony jest po to, aby go słuchacz słuchał. I między tymi językami jest olbrzymia różnica. Wyjątek stanowią recytacje; ale aby recytować trzeba być recytatorem, jak np. Henryk

Ładosz lub Dora Kalinówna. Nie łudzmy się, nikt z profesorów ani nie jest ani nie musi być recytatorem.

Badania, w których brałem udział, wykazały, że średniej klasy referatu słucha, kiedy jest czytany, ok. 10 % słuchaczy, kiedy zaś jest swobodnie wygłaszany — ok. 90 %. Dla referatów słabszych, a takich było niestety sporo w Montrealu, powyższe liczby spadają odpowiednio do 1 % i do 30 %.

W przypadku polskich kongresów w Ameryce wykroczenie czytania urastało do rangi przestępstwa, dokonywanego nad własnym dorobkiem naukowym i nad słuchaczami, kiedy do faktu czytania dołączała się kiepska wymowa angielska. Przykładami dwóch referatów zniszczonych przez czytanie kiepską angielszczyzną mogą być ciekawe merytorycznie referaty z Montrealu: „*Introspection in Education*” (Pierre Radwański) oraz „*Łukasiewicz and the Problem of Two Logics*” (Martin Reidy). Natomiast przykładem przeciwnym — referatu dobrego, świetnie mówionego po polsku może być referat „*Radiofonia jako narzędzie akcji politycznej*” (Jan Nowak).

*Wykroczeniem Nr 2 jest nieużywanie powszechnie dostępnych narzędzi informacji* jakimi są: tablica z kredą, wykresy, przezroczka i film. W zasadzie do każdego referatu należy przygotować diagramy, przezroczka, lub inne wizualne środki przekazu. To bardzo utrudnia tak myślenie o czym innym jak i zasypianie.

*Wykroczeniem Nr 3 jest podawanie zbyt wielu szczegółów* (liczb, dat, nazwisk, wzorów) i gubienie w tych szczegółach spraw ogólnych, ważnych oraz wniosków. Sprawy szczegółowe należy pozostawić do czytania. Szczegół, w referatach kongresowych, ma wartość jedynie jako ilustracja sprawy ogólnej.

Przykładem przeładowania referatu szczegółami może być wykład na ciekawy temat: „*May Automata Theory be Applied to Problems of Real Life*” (Stanisław Klasa).

*Wykroczenie Nr 4* dotyczy nie formy lecz treści: to, co referuje się na kongresach (zwłaszcza wielobranżowych, a o takie nam głównie chodzi) powinno dotyczyć spraw *możliwie ogólnych w ramach danego kongresu*. Co innego będzie sprawą ogólną na zjeździe fizyków, a co innego na zjeździe fizyków zajmujących się zjawiskami fotoelektrycznymi w półprzewodnikach. A co jest sprawą dostatecznie ogólną w przypadku kongresu naukowców polskiego pochodzenia, których nie łączy żadna, nawet najogólniejsza dziedzina nauki czy humanistyki? Aby odpowiedzieć na to podstawowe pytanie należy zastanowić się nad tym co nas — inteligencję polskiego pochodzenia — łączy. To jest sprawą centralną. Jakie z tego wynikają konsekwencje co do charakteru kongresów? O tym za chwilę. Wpierw jednak zatrzymajmy się przy sprawie publikacji.

### *Sprawa publikacji kongresowych*

Dwa problemy organizacyjne o zasadniczym znaczeniu nie zostały rozwiązane w Montrealu, a drugi z nich przez żaden z trzech Kongresów.

*Pierwszy to rozestanie streszczeń referatów do potencjalnych uczestników na parę tygodni przed Kongresem*; tak aby ludzie wiedzieli kto i o czym będzie mówić, i aby mogli pomyśleć o ewentualnej dyskusji. Sprawa to elementarna, ale w pięć miesięcy po Kongresie i w osiem miesięcy po ostatecznym terminie przysyłania streszczeń (po co?) (praca wybitnego naukowca nadesłana w lutym nie została przyjęta jako spóźniona) nikt nie otrzymał tychże streszczeń i już nie otrzyma; mimo, że nawet po Kongresie warto je mieć.

*Drugi problem dotyczy publikacji pokongresowej pełnych tekstów referatów wraz z dyskusją*. Sprawa to również elementarna a jednak nie rozwiązana przez żaden z dotychczasowych Kongresów Naukowców Polskiego Pochodzenia w Ameryce.

Po pierwszym Kongresie dopiero w cztery lata (!) doszło do publikacji zaledwie 27 % materiałów i to bez dyskusji (a bywały ciekawe), 38 referatów opublikowano pod arcyszumnym tytułem: „*Studies in Polish Civilization*” a wygłoszono ich 141. Czyżby aż 73 % referatów było tak słabych, że nie warto ich, choćby w skróconej formie, opublikować?

Po Drugim Kongresie *dużo mówiło się o publikacji*. Na każdym Walnym Zebraniu Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, który organizował Kongresy, były gorące dyskusje na ten temat. *Dotychczas, po prawie pięciu latach, publikacji nie ma i już chyba nie będzie*.

Trzeci Kongres w Montrealu sprawę publikacji załatwił *najprościej... w ogóle nie mówiło się o tej sprawie i nie mówi*.

Tak więc pod tym względem Trzeci Kongres jest nie tylko najgorszy z trzech (dwa poprzednie opublikowały chociaż streszczenia), ale jest najgorszy z możliwych.

W takiej sytuacji, kto z poważnych ludzi będzie *poważnie traktował następny Kongres?! Czyżby cel towarzyski Kongresu był najważniejszym i jedynym celem?* Bo jeśli Kongresy mają, między innymi, pokazywać naukową działalność Polaków za granicą i polskiej grupy etnicznej, to bez publikacji owo pokazywanie jest minimalne w czasie Kongresu, natomiast żadne w parę lat po nim.

### *Cele i zadania polskich Kongresów*

Z licznych dyskusji po Kongresie w Montrealu wynikło, że mamy trzy główne cele Kongresów.

1. Pokazanie dorobku naukowego Polaków w Ameryce. To brzmi jak *nieporozumienie*. Ludzie czynni naukowo publikują swoje prace w fachowych czasopismach, piszą książki, referują prace na specjalistycznych zjazdach, konstruują, patentują i wykonują projekty techniczne czy architektoniczne; artyści zaś malują, urządzają wystawy, koncertują itp. Jak to wszystko pokazać na Kongresie? Referowanie *jakiejś przypadkowej części tych prac nie ma żadnego sensu*; po co? i komu? Ten jeden specjalista, który znajdzie się na sali i tak o tym wie.

Jeśli pragniemy sami zobaczyć i światu pokazać naszą aktywność naukową, techniczną, humanistyczną i artystyczną, to jest wiele na to sposobów, ale nie kongres tego typu jak trzy dotychczasowe. Można, np. zebrać odpowiednie dane w oparciu o Institute for Scientific Information; obliczyć liczbę publikacji, indeks cytatów i wiele innych danych dotyczących polskich autorów. Taki właśnie projekt przygotowała *Sekcja Nauk Przyrodniczych i Techniki* przy Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce. Po wykonaniu takiego projektu wyniki należałoby przedstawić na Czwartym Kongresie.

Referowanie części specjalistycznych prac na Kongresie nie tylko nie ma sensu, ale stwarza dodatkową wadę Kongresów, trzeciego zaś w szczególności. W tym bowiem celu dzieli się obrady na liczne sekcje. Na pierwszym Kongresie było tych sekcji 15 a w Montrealu aż 19; przy czym obrady w 9-ciu sekcjach odbywały się w tym samym czasie; uniemożliwiało to wysłuchanie interesujących referatów o ile przydzielono je do różnych sekcji. Podział na sekcje pozostawił też dużo do życzenia. Np. fizykę oddzielono od chemii i w ogóle od nauk przyrodniczych (*natural sciences*) i połączono z matematyką; o sekcji wychowania i nauczania (*education*) w ogóle zapomniano i referaty z tej dziedziny wepchnięto do psychologii; ale utworzono oddzielne sekcje dla referatów poświęconych sprawom „*Ethnicity and Poles Abroad*” oraz „*Polish Institutes and Libraries Abroad*”; oto tylko przykłady *nonsensów*.

Na oplakane skutki takiego podziału na sekcje nie trzeba było długo czekać. Zaraz w pierwszym dniu Kongresu w Montrealu, w sekcji Nauk Politycznych odbywało się sympozjum: „Polska w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku”. Ten ciekawy temat przedstawiali mieli, między innymi, profesorowie: Zbigniew Brzeziński, Aleksander Gella, Leszek Kołakowski i Andrzej Stypułkowski. W tym samym czasie pracować miało 8 innych sekcji z 43 referatami. Skutek tego był taki, że na niektórych sekcjach, np. psychologii, obecne były tylko trzy osoby — przewodniczący, referujący, następny referent (zdarzało się, że poprzedni referent jeszcze nie uciekł), i dwie panie, które po pięciu minutach wychodziły (ponoć z prasy). Natomiast obradom sekcji Nauk Politycznych przysłuchiwało się ok. 360 osób.

Wniosek ogólny: *podział Kongresu na specjalistyczne sekcje nie ma sensu*.

2. *Wymiana poglądów na interesujące nas sprawy*. Nas tzn. elitę inteligencji polskiej (znaczna większość uczestników) i o pochodzeniu polskim, głównie w Ameryce (USA i Kanada) a też i spoza Ameryki. Jakie więc mamy wspólne zainteresowania? Z licznych rozmów przeprowadzonych przez autora z wieloma ludźmi wynika, że interesują nas:

1. To, co się ważnego dzieje, lub *może* dziać w Polsce. 2. To, co się ważnego dzieje lub *powinno* dziać wśród polonijnych środowisk na świecie. 3. To, co się ważnego dzieje w cywilizacji światowej, głównie w ekonomice i polityce. 4. Wydarzenia w nauce i technice. 5. Wydarzenia w sztuce. Przy tym w dwóch ostatnich przypadkach ciekawi nas uwypuklenie twórczości Polaków.

A zatem *takie ogólne typy referatów powinien objąć Czwarty Kongres*. Do bardziej szczegółowego programu powrócimy

3. *I ostatni ogólny cel Kongresów* — niektórzy twierdzą, że najważniejszy — *towarzyski*; a więc spotkanie znajomych z odległych okolic, poznanie nowych ludzi o podobnych zainteresowaniach i podobnym podłożu ogólnej kultury i historii życia.

Ten cel *został osiągnięty* tak w Montrealu jak i przez poprzednie Kongresy. W Montrealu, każdego dnia po wykładach wszyscy mogli spotkać się w wielkiej sali uniwersyteckiej przy winie i zimnym bufecie (bez dodatkowych opłat). Trochę może brakowało lepszej metody rozpoznawania czym się kto zajmuje i interesuje.

Po tym krótkim przedstawieniu celów Kongresów, możemy przystąpić do wniosków dotyczących Czwartego Kongresu.

#### Ogólny program Czwartego Kongresu

Zacznijmy od sprawy, która łączy się ze wszystkimi trzema celami Kongresu: od *drukowanej informacji* poprzedzającej Kongres.

1. *Na długo przed terminem Czwartego Kongresu* należy rozesłać do tzw. twórczej (publikującej i projektującej) inteligencji polskiej i o polskim pochodzeniu *odpowiednie ankiety*, w których prosi się — o przysłanie opisu swoich prac i zainteresowań: spisu ważniejszych (lub ostatnich, lub wszystkich) publikacji, projektów i patentów, tematu nad którym ostatnio się pracuje itp. Tak zebrany materiał, odpowiednio poklasyfikowany według dziedzin, powinien zostać opublikowany i rozesłany do wszystkich zainteresowanych. Cena ok. \$ 5 powinna pokryć koszty przygotowania i druku.

Taka publikacja, której zarys jedynie został przedstawiony, spełniłaby cel *pokazania wkładu Polaków do nauki, techniki i sztuki*. Dałaby ona zarazem możliwość dowiedzenia się kto co zrobił, nad czym pracuje, i czym się interesuje; a zatem dostar-

czyłaby materiału do *nawiązania kontaktów* tak na Kongresie jak i poza nim. Cel towarzyski Kongresu zostałby zintensyfikowany. Bo przecież na ok. 400 uczestników Kongresu w Montrealu w nielicznych jedynie przypadkach wiadomo było, kto czym się interesuje. Chodzi o to, aby na Czwarty Kongres jechało się z planem zobaczenia się z możliwie dużą liczbą interesujących ludzi.

## 2. Referaty kongresowe powinny być tylko plenarne.

2.1. Pięć grup tematycznych wymienionych powyżej należy podzielić na podgrupy i zamówić odpowiednie referaty u odpowiednich specjalistów. Zakładając, że Kongres będzie trwał, tak jak poprzednie, trzy dni, można przyjąć ok. 18 referatów i dyskusji.

### Oto przykładowy podział tematyczny:

- Sytuacja wewnętrzna Polski: polityczna — 1 ref., ekonomiczna — 1 ref. lub też: problem młodzieży — 1 ref., problem nauki — 1 ref.
- Sprawy Polonii: wyniki badań etnicznych — 1 ref., lub też: problemy adaptacyjne nowych imigrantów — 1 ref.
- Polityczna sytuacja świata — 1 ref.
- Ekonomiczna sytuacja świata, np. problemy energii i surowców — 1 ref.
- Ze świata techniki: np. problemy automatyzacji i komputerów — 1 ref.
- Wybrane zagadnienia o ogólnym znaczeniu: z nauk fizycznych (fizyka, astronomia, chemia) — 1 ref.
  - z nauk o Ziemi (geologia, hydrologia, nauka o atmosferze) — 1 ref.
  - z nauk biologicznych — 1 ref.
  - z medycyny — 1 ref.
- Sztuka — 1 ref.
- Literatura — 1 ref.
- Socjologia — 1 ref.
- Psychologia — 1 ref.
- Historia i archeologia — 2 ref.
- Zagadnienia nauczania i wychowania — 2 ref.

We wszystkich tych wielkich dziedzinach kulturalnej działalności człowieka można znaleźć polskich specjalistów. Konkretny temat referatu zależy od tego kto podejmie się jego opracowania.

2.2. W toku dyskusji z wieloma ludźmi wyłonił się inny jeszcze projekt plenarnych obrad Kongresu. Przeznaczając ok. 4 referaty sprawom polskim i polonijnym, resztę referatów poświęcić *wielkim problemom współczesnego świata*. Kongres przybierze wówczas ciekawy i nowatorski charakter o znaczeniu międzynarodowym, pozostając nadal polskim.

Podam przykładowo siedem wielkich problemów, wśród których autorzy referatów wybiorą konkretne zagadnienia, które stoją bliżej ich zainteresowań.

A. *Przeludnienie świata*. Problemy głodu, produkcji i dystrybucji żywności. Planowanie rodziny. — 2 ref.

B. *Niszczenie biosfery Ziemi*. Problemy międzynarodowej kontroli nad zanieczyszczaniem oceanów, powietrza, i żywności. — 2 ref.

C. *Źródła energii i surowców* oraz ich rozmieszczenie na Ziemi. Nakładanie się problemów naukowo-technicznych z politycznymi. — 2 ref.

D. *Problemy wojny i wydatków zbrojeniowych*. Zbrojne konflikty lokalne. Niebezpieczeństwo broni nuklearnej i biochemicznej. Rola ONZ lub innych lepszych form „Rządu Światowego” w rozwiązywaniu współczesnych problemów międzynarodowych. — 2 ref.

E. *Monetarny system światowy*. Problemy inflacji, depresji ekonomicznej oraz perspektywy na przyszłość. — 2 ref.

F. *Sytuacja jednostki ludzkiej we współczesnym świecie*. Problemy zmieniającej się struktury społecznej. Problemy wolności i kontroli. — 2 ref.

G. *Etyczne problemy współczesnego życia*. Jeden referat może być poświęcony stanowisku etyk religijnych a drugi etyk świeckich (humanistycznych) wobec nowych problemów moralnych stworzonych przez naukę i technikę.

Na każdą z tych siedmiu grup wielkich problemów naszej cywilizacji poświęćmy dwa referaty naświetlające je z *różnych stron*. Jeden mógłby zająć się przedstawieniem aktualnego stanu rzeczy, a drugi idej i próbom rozwiązania tych problemów.

2.3. *Objęcie przez Kongres tylko referatów plenarnych uprości* wiele spraw organizacyjnych i obniży koszty. Wystarczy bowiem jedna duża sala wykładowa zaopatrzona w nowoczesne środki informacji.

## 3. Publikacja materiałów Kongresu.

Streszczenia wszystkich referatów powinny być rozesłane potencjalnym uczestnikom na parę tygodni przed terminem Kongresu z propozycją przygotowania dyskusji i pytań.

Już przed Czwartym Kongresem powinno być wiadomo, że wszystkie referaty wraz z dyskusją i komentarzami będą wydane *zaraz po Kongresie*. Każdy poważny autor — a o takich tylko nam chodzi — ma prawo wymagać, aby jego praca była publikowana.

Publikacja pokongresowa powinna być obszerniejsza niż suma wygłoszonych referatów; będzie bowiem zawierała więcej szczegółów, liczb, dat, tabel itp., którymi z natury rzeczy nie powinien być przeładowany wygłaszany referat. Wiele faktycznego materiału, lub nawet mniejsze artykuły uzupełniające, które nie były wygłoszone, mogą znaleźć miejsce w publikacji.

Jeszcze jedno ważne, wydaje się, zadanie może spełnić publi-

kacja pokongresowa. Jak wiadomo świat zachodni nie jest odpowiednio informowany o najnowszej historii i sytuacji w jakiej żyją narody zagarnięte przez komunistyczny imperializm rosyjski. Wiedza uczestników Kongresu jest w tej materii o wiele większa niż np. inteligenta amerykańskiego; dlatego też co innego będzie ciekawe i zrozumiałe dla ludzi na Kongresie, a co innego warto by umieścić *dotatkowo* — przy okazji Kongresu Intelktualistów Polskich — w publikacji, która przecież wyjdzie, o ile będzie dobrze przygotowana, poza ramy środowiska polskiego.

### Zakończenie

Pierwszy głos krytyczny dotyczył strony ekonomicznej: tak pomyślany Kongres i takie wydawnictwa wymagają środków finansowych, którymi polska inteligencja ani w Ameryce ani na świecie nie dysponuje.

Po pierwsze, *dobrze przygotowany kongres nie musi być droższy od źle przygotowanego*. Zależy to bowiem głównie od tego jak się go przygotowuje, a nie od tego za co, o ile środki finansowe nie spadają poniżej pewnej granicy, a granica ta nie była przekroczone przez poprzednie kongresy, więc i tym razem można je będzie znaleźć.

*Publikacje natomiast są drogie jeśli publikuje się je po wielu latach a i to niepełny materiał ale za to w drogiej okładce*. (Jak to miało miejsce po Pierwszym Kongresie).

Na wszystkie trzy proponowane publikacje większą część funduszy można uzyskać *przed ich drukiem*; po prostu z odpowiednio rozpropagowanej *subskrypcji*. Jeśli oferuje się dobrą publikację, w krótkim czasie po ciekawym kongresie, to można ją dobrze sprzedać. Zwłaszcza, że dwie z nich (poza streszczeniami referatów) przedstawiać będą wartość *niezależną* od Kongresu.

Reszta, a więc przede wszystkim powodzenie, zależy od *starannie dobranego Komitetu Czwartego Kongresu Intelktualistów Polskiego Pochodzenia*.

Janusz W. OSTROWSKI

## Co zostanie z polskiego Londynu?

Mówi wprawdzie Siostra Teresa w *Dzienniku Polskim*, że „mamy dalej wspaniałych ludzi, którzy ani trochę nie odeszli”, ale obiektywnie przyznać trzeba, że ludzie zaczynają odchodzić

gromadnie. „My tu na tej smutnej wyspie przeżywamy koniec naszego świata” pisze w *Biuletynie* Niezależnej Grupy Społecznej (w Radzie Narodowej) radna Teresa Lechnicka. Tytuł jej artykułu: „Koniec Świata Szwoleżerów”. Literatura polska jest szczególnie obfita w podchodzące tytuły, od *Rozdziobią nas kruki, wrony do Zasypie wszystko, zawieje*. Można zresztą wykorzystać i literaturę obcą: *Przemięło z wiatrem, Czy emigracja przetrwa do roku 1980?* To zabawy dla intelektualistów. Lud zadawała się wymyślaniami zaprawionych wisielczym humorem porzekadek: nadszedł dla nas termin wynoszenia... emigracja nasza to same odlotki — odlatują tam skąd się nie wraca...

Największą imprezą emigracji polskiej w Anglii w roku 1975 był zjazd w Dzień Zaduszny na cmentarzu lotników (później poszerzonym na osoby zasłużone) w Newark. Parę tysięcy ludzi z całej Wyspy, setki aut, dostojnicy, goście z zagranicy... Uroczystość szczególnie nadawałaby się do oficjalnego położenia płyty z napisem:

### EMIGRACJA POLSKI 1945-1975.

Druka z powyższych dat jest umowna i jej użycie wynika łącznie z pewnego stylu historiograficznego. Tak np. Anglicy przeciwni są traktowaniu długotrwałych procesów tak jakby to były jednostki ludzkie i nadawania im ścisłych ram czasowych. Rok 476 nie jest w ich pojęciu żadnym rokiem specjalnym i rzadko które podręczniki historii w Anglii wymieniają go. Polacy natomiast, aczkolwiek nie negują stopniowości procesów długofalowych, lubią jednak „dla porządku” dawać im określone ramy czasowe. Dlatego małe w istocie wydarzenie — abdykacja nie dysponującego żadną władzą cesarza — traktowane jest jako symbol zamknięcia wielkiego okresu i dlatego rok 476 figuruje w polskich podręcznikach jako rok upadku cesarstwa rzymskiego. I jak błędne byłoby mniemanie, że cesarstwo rzymskie trwało i trwało, aż w 476 roku upadło, tak błędnym byłoby traktowanie roku 1975 za coś więcej, niż daty umownie zamykającej proces, którego ślady odnaleźć będzie można jeszcze wiele lat później.

Emigracja jako ruch ludności poprzez granice państw jest zjawiskiem nieustającym i w tym ogólnym sensie istnieje i będzie istniała emigracja polska. Obecny akt zejścia odnosi się do jednej określonej fali tej emigracji, fali, która lubiła określać się jako „polityczna” i która urodziła się w dniu 5 lipca 1945, dniu wycofania uznania polskiemu rządowi w Londynie.

Dramatyczne w swej szybkości wymieranie tej grupy jest wynikiem przede wszystkim jej własnego, zazdrośnie przestrzeganego odizolowania się nie tylko od innych grup emigracyjnych, ale nawet od nowych pokoleń, dorastających wewnątrz grupy. Jako usprawiedliwienie izolacji służyła „polityczność”, święty Graal, specjalne namaszczenie poprzez „mandat” bądź to partii „historycznych”, bądź instytucjonalny. Dla jednych doktryna o politycznym (w specjalnym sensie) pojmowaniu emigracji stała się

parawanem, za którym mogli toczyć rozgrywki o podział poważnych sum pozostających po rządzie polskim w Londynie i równie poważnych sum przydzielanych przez rząd obce, inni w dobrej wierze przyjęli ją jako ideologię-religię panującą. Z czasem wytworzyła się sprzeczność między dogmatyką a praktyką tej religii. Otóż jeden z głównych dogmatów wymaga, aby emigrant polityczny nie jeździł do kraju. W praktyce dogmat ten ignorowany jest przez ogromną większość emigrantów „politycznych”. Natomiast wierni są mu — z konieczności — emigranci nowi, zwłaszcza fala 1968 roku. Są to w tej chwili jedyni prawowierni emigranci polityczni, mimo to jednak — dla powodów przedstawionych powyżej — do takowych zaliczani nie są.

Dogmat o niejeździe do kraju doprowadził do schizmy w sprawie wychowania młodych pokoleń. Pozycja ortodoksyjna prowadzi do utraty języka i innych atrybutów polskości przez młodzież, choć w wielu wypadkach nie oznacza to utraty świadomości narodowej. W najlepszym razie produkuje więc ona polską treść w angielskiej formie. Wyrazem tego niech będą dwie wypowiedzi przedstawiciela młodego pokolenia. Pierwsza: „Młode pokolenie — a mam na myśli tych, którzy darzą większą sympatią kraj swoich ojców, niż kraj zamieszkania...”; druga: „Dla młodego pokolenia łatwiejsze są kontakty z Anglikami, gdyż nie ma wtedy problemów językowych”.

Przeciwnicy tej koncepcji, których nazwać by można reformistami, nie wierzą, aby duch polski mógł długo utrzymać się w ludziach, którzy nie mówią po polsku i nie znają Polski. Według nich młody Polak powinien przede wszystkim poznać swój kraj i język. Narażają się oni z kolei na zarzut, że w ten sposób wychować można ludzi polskich w formie, ale sowieckich w duchu. Meritum sporu nie należy do tematu tego artykułu. Należy tu jedynie odnotować, że spór uszczuplił szeregi emigracji politycznej, bo reformiści — są oni zresztą głównie za oceanem — przestali się z nią identyfikować.

Dziś, gdy nadszedł „termin wynoszenia”, widać, że zamykanie się w hermetycznie wydzielonej grupie równało się samozniszczeniu, że bez bazy społecznej nie może istnieć nadbudowa polityczna. Świadomość tego faktu zaczyna przenikać — grubo poniewczasie — do czynników politycznych. W wywiadzie dla izraelskiego pisma *Nowiny-Kurier* prezydent Ostrowski oświadczył, że możliwości działania w Anglii kurczą się i wobec tego rząd zastanawia się nad przeniesieniem siedziby władz państwowych do innego kraju. W rachubę wchodzić może chyba tylko kontynent północno-amerykański, a więc kraje, gdzie emigracja polityczna jest niewielka, ale emigracja polska — liczna.

Stąd też nowa inicjatywa — Kongres Polonii 1975, na który polski Londyn wysłał siedmiu delegatów. Większość z nich należy do emigracyjnego rządu, rady narodowej, partii politycznych, ale do kongresu zgłoszeni są tylko jako przedstawiciele organizacji społecznych. Udział delegacji londyńskiej w kongresie waszyngtońskim jest niezbitym dowodem przyznania, że koncepcja „emi-

gracji politycznej”, kierowanej z dumnego Albionu przez równie dumny rząd emigracyjny przeżyła się. Ten drobny wypadek jest symbolem, w skali emigracyjnej równym abdykacji ostatniego cesarza rzymskiego.

Co zostanie po naszej emigracji politycznej? Posłuchajmy najpierw, co na ten temat ma do powiedzenia Siostra Teresa z *Dziennika*: „Každy wie o wspaniałych osiągnięciach POSK'u... rozbudował się Instytut i Muzeum im. Gen. Sikorskiego... należy wymienić wspaniałe kościoły i budynki parafialne w całej Wielkiej Brytanii, nieraz budowane rękami parafian... a niezwykła historia Teatru Polskiego na obczyźnie, która... trwa do dziś dnia... Pozostawimy po sobie osiągnięcia znacznie większe od Wielkiej Emigracji. Pobiła nas jedynie większym skłóceniem i intrygami”.

Porównanie z Wielką Emigracją, ulubiony konik wielu megalomanów wśród współczesnej emigracji, jest fatalnie chybione. Tamta emigracja była wielką nie przez ilość posiadanych domów czy kościołów, lecz przez twórczość w dziedzinie duchowej, a więc w dziedzinie, w której współczesna emigracja w Anglii jest dość uboga.

Historia teatru była, ale teatru nie było. Z początku byli aktorzy, byli ludzie, którzy walczyli o stworzenie teatru na emigracji, co jednak im się nie udało. Dopiero teraz, gdy znika emigracja, buduje się teatr w POSK'u. Będzie mógł on jednak działać jako teatr polski chyba tylko przy współdziałaniu zespołów z Polski, bo emigracji nie stać już na wytworzenie i utrzymanie zawodowej obsady aktorskiej.

„Wspaniałe kościoły” powstały na marginesie emigracji politycznej, dla celów nie tylko jej obcych, ale wręcz sprzecznych z jej celami. W coraz większym stopniu prowadzone są one przez księży świeżo przybyłych z Polski, którzy formalnie nie są nawet emigrantami, a — mówiąc z angielska — „ekspatriatami”. Dla ścisłości trzeba dodać, że Polacy kościołów tych na ogół nie budowali, tylko przejęli po cenach wprost wyprzedawczych od różnych zbankrutowanych sekt. Czy kościoły te pozostaną długo w rękach polskich jest rzeczą wątpliwą. Anglia dawno już przeszła fazę wybujałych uczuć religijnych, obecnie jest faza odpływu — co roku likwiduje się ok. 300 kościołów. Odpływ ten wkrótce dotknie i kościoły polskie.

Ogólnie biorąc, większość emigracyjnego dorobku zniknie wraz z odchodzącym pokoleniem. Jako spuścizna dla przyszłych pokoleń i przyszłych fal emigracji, dla historii wreszcie, pozostać może i powinien POSK i Instytut Generała Sikorskiego. Wartość historyczna Instytutu, który jest właściwie muzeum emigracji, nie podlega dyskusji. Ale jak wszystko, co powstało z emigracji politycznej, nie ma on podstaw bytu i utrzymuje się z ofiar i doraźnych zbiorów. Ponieważ Instytut mieści się we własnym domu, więc przy niemal bezpłatnej pracy jego członków utrzymanie nie wymagało dotychczas wielkich środków. Nie znaczy to jednak, że tak będzie zawsze. Podatek miejski od domów, opłaty za światło



i opał, koszty konserwacji i reperacji rosną gwałtownie i wkrótce mogą przekroczyć możliwości płatnicze Instytutu. Dla zapobieżenia takim właśnie sytuacjom kryzysowym powstał POSK, instytucja stworzona przez ludzi i fundusze emigracji politycznej, ale wolna od jej grzechu pierworodnego — tymczasowości. POSK zamierzony jest na przetrwanie teoretycznie *ad infinitum* dzięki wbudowanemu w jego strukturę organizacyjną mechanizmowi samofinansującemu. Koncepcja POSK'u zakłada zbudowanie gmachu monumentalnego, którego część pomieściłaby muzeum, bibliotekę i teatr, a druga część zostałaby wynajęta handlowo tak, aby zyski z tej części dały utrzymanie części pierwszej. Dodatkowo pewną ilość pomieszczeń przeznaczono dla polskich instytucji, klubów i sklepów na zasadach mniejszej lub większej odpłatności. To ogromne zamierzenie wymagało ogromnych środków, znacznie większych niż te, które były w posiadaniu jego inicjatorów. Wydawało się, że tak jak zabezpieczenie obiektów muzealnych jest celem bezspornym, tak i konieczność przekazania na ten cel majątku publicznego zostanie powszechnie uznana. Stało się inaczej. POSK od samego zarania stał się przedmiotem ataków tych, którzy ostania się polskości poza Polską nie przewidzieli lub przewidzieć nie chcieli, a samemu ostaniu się byli przeciwni. Emigracja polityczna nie chciała osiedlenia się, zapuszczania korzeni w obcej glebie. Jej celem była akcja niepodległościowa i wyłącznie na tę akcję skłonna była wydawać posiadane zasoby. Stąd jej pryncypialna wrogość do instytucji z gruntu apolitycznej i obliczonej na działalność lokalną, „polonijną”. „Jeśli organizacja emigracyjna ma być przeznaczona tylko dla grup i celów lokalnych, to mnie taka organizacja nie interesuje, wolałbym już przenieść się do Polski” — oświadczył działacz obozu „Zjednoczenia” w rozmowie na temat kongresu waszyngtońskiego.

Drugim ogniskiem niechęci do POSK'u są dawne fundusze państwowe. Ich powiernicy przyzwyczaili się do *de facto* przejęcia na osobistą własność, a co najmniej pod osobistą nieograniczoną kontrolę, tych funduszy i nie w smak im, gdy inny fundusz o analogicznym pochodzeniu demonstracyjnie wyłamuje się z ogólnej praktyki i zaczyna działać jawnie, demokratycznie i dla celów społecznych.

Rezultatem tych postaw jest fakt, że „są ludzie, którzy chcą aby POSK upadł, życzą sobie tego, krzyżem w kościele leżą żeby upadł” (Przewodniczący POSK'u na walnym zebraniu, październik 1975).

W tym wszystkim trudno jest wytłumaczyć co najmniej obojętne stanowisko Instytutu Gen. Sikorskiego do POSK'u. Możliwe, że poszczególne osoby działają pod wpływem jednego czy drugiego z wymienionych powyżej motywów. Bardziej jednak prawdopodobny jest jednak tzw. brak wspólnego języka, czyli konflikt personalny. W każdym razie brak porozumienia między POSK'iem a Instytutem Sikorskiego okazał się bardzo kosztowny, pozbawił bowiem stronę polską angielskiego subsydium rządowego, któ-

re jej się słusznie należało i które dałoby przynajmniej minimum utrzymania dla muzeum i dla biblioteki (por. list E. Raczyńskiego, *Kultura*, listopad 1975). Sytuacja obecna jest taka, że Anglicy nie płacą nic poza trzema tysiącami funtów rocznie od Uniwersytetu Londyńskiego dla Biblioteki Polskiej, która poza tym jest na utrzymaniu POSK'u.

Polaków do nieofiarności nie trzeba zachęcać. Jednak monumentalna wizja POSK'u potrafiła przełamać wiele oporów i nieufności i zapalić wiele umysłów od dawna niespotykanym entuzjazmem. W chwili obecnej udział społeczny w ogólnym koszcie projektu sięga pół miliona funtów. Jak na emigrację jest to suma zawrotna, większa niż wszystkie inne dotychczasowe zbiórki razem wzięte. Nie znaczy to, że ten wysiłek finansowy jest wystarczający do wykonania zamierzenia. Ogólny koszt POSK'u wyniesie blisko dwa miliony funtów, z czego mniej więcej połowę pokryje długoterminowy kredyt, który spłacany będzie z dochodów handlowej części obiektu. Udział społeczny powinien więc wzrosnąć o drugie pół miliona funtów. Sumę tę należy zebrać w ciągu najbliższych dwóch lat, kiedy wykończeniu ulegnie tzw. wschodnia — dwukrotnie większa od użytkowanej już zachodniej — strona budynku i ratyfikowana zostanie umowa bankowa. Nie ma żadnej gwarancji, że to dodatkowe pół miliona zostanie zebrane. Jeśli nie, to nastąpi owo „bankructwo” POSK'u, o które tak modlą się jego przeciwnicy. Polegać ono będzie na tym, że na cele nie-polskie trzeba będzie oddać części budynku, pierwotnie przeznaczone dla użytkownika polskiego: niektóre pomieszczenia biurowe, może teatr (którym już interesuje się lokalny zarząd miejski), może część pomieszczeń bibliotecznych. Stowarzyszenie Kombatantów ma swoją część budynku zabezpieczoną hipotecznie natomiast biblioteka dzieli los POSK'u i jej przyszłość nie jest jasna. Gdyby wierzyciele (banki) domagali się drastycznych cięć w społecznej (polskiej) części budynku, to nie wiadomo do jakiego stopnia udałoby się uratować bibliotekę. Już w tej chwili POSK ma trudności z utrzymaniem tego obiektu i pobiera od biblioteki (tzn. od Funduszu Biblioteczny) pewne sumy jako część kosztów lokalu. Nie wiadomo jak ukształtują się koszty lokalowe w nowym gmachu POSK'u. Incydent z Fundacją Lanckorońskich ma to samo tło. Depozyt tej fundacji, znajdujący się obecnie w Bibliotece Polskiej, ma charakter jak najbardziej predystynujący go do zajmowania miejsca w społecznej (biblioteczno-muzealnej) części POSK'u i POSK, jako instytucja stworzona do opieki nad spadkiem po emigracji powinien to miejsce udostępnić. I niewątpliwie gdyby POSK był ustawiony tak jak planowano, tzn. bez milionowych obciążeń, to tak by się stało. Ale ponieważ polskie fundusze nie dopisały, więc na razie miejsce w POSK'u musi pracować na spłatę długów. Dlatego POSK postawił Fundacji Lanckorońskich cenę — *primo* jednorazową, za zrobienie miejsca, *secundo* roczną, za jego utrzymanie. W tej sytuacji Fundacja zastanawia się nad kupnem jeszcze jednego domu na polskie cele muzealne, gdzie mogłaby przenieść swój depozyt z Biblioteki

Polskiej. W ten sposób koło zostało zamknięte. POSK nie może wywiązać się z zaciągniętych przez siebie zobowiązań w stosunku do placówek kulturalnych, a to dlatego, że placówki te — nie mówiąc już o innych funduszach — nie wsparły go w dziele budowy gmachu. Z kolei placówki te czują się urażone i odwracają się od POSK'u. Sytuacja typowa dla społeczeństw schyłkowych.

Z kłopotów wybawiłoby POSK uzyskanie pół miliona funtów w ciągu dwóch lat. Zimno licząc nie jest to bardzo prawdopodobne. Ale nie jest też niemożliwe. Koniunktura pod pewnymi względami nie jest najgorsza. Ludzie umierają tłumnie, a najlżejsza płytką na cmentarzu kosztuje 60 funtów i to tylko na 10 lat. Tymczasem za jedne 250 funtów każdy może sobie kupić wiecznotrwałą cegielkę z własnym nazwiskiem w pomniku polskości w Londynie i jeszcze być dobroczyńcą narodu. W ciągu najbliższych dwóch lat umrze ponad 4.000 Polaków brytyjskich. Gdyby choć połowa z nich zamówiła sobie płytkę nie na cmentarzu, tylko w POSK'u, kryzys byłby zażegnany.

Źródła publiczne też jeszcze nie wyschły. Tak np. Stowarzyszenie Lotników postanowiło zlikwidować swój majątek i powołało specjalną komisję do rozpatrzenia najważniejszego sposobu przekazania tego majątku, który oceniany jest na ćwierć miliona funtów. Można spodziewać się, że część tego spadku przypadnie POSK'owi. Jest jeszcze wiele kończących się organizacji, które dysponują sporym majątkiem. Niewątpliwie niektóre z nich pójdą śladem Stowarzyszenia Lotników.

Wielka Emigracja działała głównie w dziedzinie ducha, ale zostawiła po sobie ślad materialny w postaci Biblioteki Polskiej w Paryżu, który to ślad przetrwał do dzisiaj. Nasza Emigracja Polityczna miała ogromne środki materialne i koncentrowała się na operowaniu nimi. Nie jest jednak pewne, czy pozostanie po niej jakiś trwały ślad materialny.

*Pisane w Londynie w listopadzie 1975 w związku z dyskusją w Klubie Kultury w dniu 31 października na temat: „Co zostanie z polskiego Londynu?” Na zebranie przybyły 32 osoby, w tym jak zwykle kilku krajowców. W dyskusji zabierali głos: W. Chmurowa, W. Choroszewski, K. Cywińska, Z. Jagodziński, B. Laskowski, K. Mochliński, W. Pawlak, R. Piłsudski, T. Prokopowicz, K. Przedmojski, K. Rowiński, K. Stepan, T. Wąsik, T. Zakrzewski i niżej podpisany,*

Bohdan BRODZIŃSKI

## Kronika kulturalna

### Rozważania o literaturze zwanej "emigracyjną"

#### 1. „Tamta” i „nasza” Emigracja

Literaturę polską na Obczyźnie określa się potocznie mianem „emigracyjnej”, co odruchowo narzuca porównania z trzydziestolecie międzypowstaniowym i ówczesną eksplozją poezji romantycznej. Urodzajowi „wieszczów” przeciwstawia się obecny brak wielkich nazwisk, nijakość (?) a nawet niski poziom piśmiennictwa „emigracyjnego”.

Ci dawni trzej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, są oficjalnie nadal „żywi”, choć jakby nierównomiernie traktowani. Z lekkim naruszeniem chronologii dorzuca się do nich Norwida. W niedawnym okresie złej passy Krasińskiego wyczuwało się tendencje zmiany na stanowisku trzeciego wieszczca — byłby nim, oczywiście, Norwid a miałyby prawo i Wyspiański. Delfina uratowała jednak Siżysia, przechowując w trumnach szkatulek tysiące listów a „Nie-Boska” okazała się więcej niż dostatecznym uzasadnieniem „wieszczostwa”. „Nasza” Emigracja nie wydała wielkości tego pokroju, nastroczających możliwości snucia analogii. Albo ich jeszcze nie ujawniła.

Sądy o Wielkiej Emigracji mają za sobą stulecie badań a głównie ich zrąb uformował się w okresie popowstaniowym. Za życia „wieszczów”, tj. w latach odpowiadających (w naszym wypadku) okresowi 1939-1975, bynajmniej się tak nie układały. Uświadomić sobie warto na przykład, iż żaden z członków wielkiej trójcy nie nosił munduru i formalnie rzecz ujmując nie mógłby należeć do S.P.K. ani pobierać przysługujących ówczesnym weteranom zasiłków francuskich czy angielskich. Gdyby, oczywiście, ich potrzebowali. Mickiewicz zwlekał w Rzymie z wyruszeniem do Kraju a do ogarniętego powstaniem zaboru rosyjskiego w ogóle nie dotarł. Słowacki zahaczył o sprawy wojenne jako kurier do Anglii.

Krasińskiego lepiej nie wspominać w tym kontekście: jego paszport i itineraria były według dzisiejszej nomenklatury „reżymowe”. Norwid wygląda najlepiej, gdyż świadomie „wybrał wolność”. Wejściu *de facto* do ówczesnej społeczności emigracyjnej nie towarzyszyło wejście *de iure*. O powszechnym czy szerokim aplauzie decydowała twórczość i jej tematyka a nie „emigracyjność” z dowodów osobistych. Inaczej odczuwali to sami zainteresowani. Motyw: „Od męki uciekłem” zrodził niejedno arcydzieło poetyckie.

Literatura Wielkiej Emigracji zapaliła się nagłym płomieniem od pożarów nocy listopadowej w „Hymnie” i „Pieśni Legionu Litewskiego” Słowackiego. Wiersze te powstały jeszcze w Kraju, ale po upadku powstania zamknęły autorowi drogę powrotu. Nawiasem warto przypomnieć, że Słowacki przywiązywał do „Hymnu” wielką wagę. Łudził się, że na polski „wolności śpiew”

„Wstrząsną się Moskwy wieże

.....  
Zimne granity Newy:

I tam są ludzie — i tam mają duszę”.

Wyraźnie da się także określić schyłek literatury Wielkiej Emigracji. Stało się to w latach 1850-tych, gdy przedwcześnie wymarli główni jej twórcy. Naprzód zmarł w roku 1849, na gruźlicę, Słowacki, przeżywszy 40 lat. Mickiewicz, porażony cholerą, liczył w chwili zgonu 57 lat. Krasiński miał lat 47, gdy doległy go skombinowane schorzenia wszystkich części ciała. Żaden nie dożył nie tylko tzw. sędziwego wieku ale nawet starości w dzisiejszym rozumieniu tego terminu. Nie pozostawili następców i nieliczną tylko garstkę kontynuatorów (np. Goszczyńskiego). Do grona ówczesnych „pielgrzymów”, „wyrzniętów”, „tułaczy” dołączyli nieliczni (Norwid, Lenartowicz, T. T. Jeź). Brak więc analogii do sytuacji obecnej, w której tzw. „wykruszaniu się starszego pokolenia” nie towarzyszy uwiad literatury. Skrzypi stara kolasa, ale jedzie i co więcej co raz wskakują do niej nowi pasażerowie, zwawsi, a może i bardziej utalentowani od zasiedziałych. Jakość literatury „emigracyjnej” nie tylko nie obniża się, ale raczej ulega poprawie, co powinno dawać do myślenia.

W pochopnych zestawieniach „wielkiej” i „małej” literatury emigracyjnej nie bierze się (w Kraju i poza Krajem) pod uwagę zasadniczych faktów dotyczących recepcji twórczości wielkich romantyków. Mickiewicz, w ciągu ostatniego dwudziestolecia swego burzliwego żywota, dzielił sławę autora „Pana Tadeusza” z mieszaną recepcją wystąpień politycznych, gdy „słowo” zamieniał w „czyn”. Żaloszny pogrzeb Słowackiego jest równie wymownym świadectwem braku uznania współczesnych jak trumna Norwida w zbiorowej mogile weteranów listopadowych. Krasiński ukrywał się pod maską „poety bezimiennego”; domyślano się co najwyżej, kto się pod nią ukrywa i dlaczego to robi. W wycuciu współczesnych nazwiska ich nie układały się w ową trójcę wieszczów. To

pojęcie znacznie późniejsze, galicyjsko-gimnazjalne a nie paryskie. Na nim jednak, jak na osi, trzyma się reputacja literatury okresu Wielkiej Emigracji, jako modelu literatury „emigracyjnej”. Filarami wielkości byli dla współczesnych raczej wspaniali starcy: Niemcewicz, Kniaziewicz, Czartoryski — a z młodszych Mochacki czy Lelewel.

Wysnuć stąd można wniosek, że w historii literatury, hierarchie wyłaniają się powoli a recepcja współczesnych (lub jej brak) nie jest miarodajnym kryterium. Trudno dziś przewidzieć jak za sto lat wyglądać będą w podręcznikach szkolnych nagłówki rozdziałów omawiających czasy obecne. I tu znów warto cofnąć się o stulecie. W najnowszych opracowaniach krajowych występuje np. coraz wyraźniej tło wystąpień „trzech wieszczów” i mnożą się odkrycia zapomnianych lub niedocenionych (np. Stefana Garczyńskiego). W „Zbiorze poetów polskich XIX wieku” Pawła Hertzta to „podszybie” wielkiej literatury budzi niezdrowe ciągoty rewizjonistyczne. Rozrastają się w oczach badania nad literaturą krajową między powstaniami, choć nie do zakwestionowania jest fakt, iż w traktowanej łącznie literaturze polskiej tego okresu prymat przypada twórczości emigracyjnej.

Publicystyczne próby zestawiania „tamtej” i „naszej” literatury emigracyjnej są zdecydowanie przedwcześnie. W obecnym układzie sił ani nad Krajem ani nad Emigracją nie wznoszą się pomnikowe sylwety „wieszczów” a od śmierci Zygmunta Nowakowskiego nikt do tego tytułu nawet żartem nie pretenduje. Można natomiast mówić o analogiach sytuacji politycznej stojących u narodzin obu literatur. Jako punkt wyjścia powtarza się katastrofa wojenna, w wyniku której znalazły się poza Krajem stosunkowo liczne i reprezentatywne grupy pisarzy już uformowanych i uznanych oraz pokaźna liczba debiutantów, pisarzy *in spe* — w naszych czasach nie raz w wieku przedszkolnym (np. Busza), lub oderwanych od elementarzy (Czaykowski, Czerniawski, Janina Kowalska).

Jak dziś, tak i w XIX wieku, piszący byli rozsiani po Europie i tak egzotycznych „krajach osiedlenia” jak Chile (z własnego wyboru) lub Syberia (na życzenie Imperatora Wszech Rosji, króla polskiego, Wielkiego Księcia Litewskiego etc., etc.). I tu warto przypomnieć, że *best-seller*ami tamtej Emigracji, o światowym zasięgu przekładów, były nie utwory trzech wieszczów, ale „Wspomnienia z podróży (sic!) do Syberii i pobytu (sic!) w Berezowie i Saratowie” Ewy Felińskiej (1853) i „Pamiętniki z pobytu (sic!) na Syberii” Rufina Piotrowskiego (1860-61), których egzemplarz w przekładzie francuskim znalazłam ostatnio w antykwariacie lizbońskim. Są to wyraźne odpowiedniki „Innego świata” Herlinga czy „Z domu niewoli” Beaty Obertyńskiej. Świadczą, że pojęcie literatury „emigracyjnej” nie było ujęte w geograficzne ramy Zachodu a o przynależności i recepcji utworu decydowała postawa autorów wyrażająca się denuncjacją przemocy. Były to według dzisiejszej nomenklatury *topical books*, „literatura faktu”.

I wtedy jak obecnie odczuwano potrzebę potępienia „tyranów”,

gloryfikacji ofiar — a także różnych przejawów nostalgii i poczucia zagubienia w obcym świecie. W wieku XIX ujawniano jej otwarcie. Dziś obowiązuje maska, szyfr, rezerwa (tak widzę „Miało bez imienia” Miłosza a nawet niektóre fragmenty „Dziennika” Gombrowicza).

Formułowanie recept lepszej przyszłości i kształtu Rzeczypospolitej nie jest już dziś domeną literatury zwanej „piękną”. Przeniosło się do publicystyki z obustronną korzyścią. I tu nawias: w Kraju inaczej — tam bardziej niż kiedykolwiek przedtem literatura zabiera głos w zasadniczych problemach państwa i narodu — a czyni to albo pod naciskiem urzędowych dyrektyw — albo z wewnętrznego musu. Gdyby nie dopływy nielegalnej literatury krajowej (Staliński!) na palcach jednej ręki można by wliczyć powieści i poematy polityczne powstałe poza granicami Kraju. Po wymarciu starszej generacji (Wierzyński, Hemar) tematyka polityczna zdaje się jednak dochodzić do głosu w wykonaniu „nowych” emigrantów, mogących pisać obecnie otwarcie, nie uciekając się do zawilności podtekstów (Tyrmad).

W przeciwieństwie do literatury Wielkiej Emigracji niemal obce są piśmiennictwu naszych czasów ciągotki profetyczne tak charakterystyczne nie tylko dla literatury romantycznej ale i jej pogrobowych entuzjastów z Arturem Górskim i Janem Gwałbertem Pawlikowskim na czele. Nasza epoka odznacza się niewątpliwie większym sceptycyzmem w stosunku do światowej roli Polski i nie widzi w niej „Chrystusa narodów”.

Można natomiast zestawiać legendę Ordoona, Emilii Plater czy Klauzyny Potockiej z Hubalem, Korczakiem czy młodymi poetami warszawskiego okupacyjnego podziemia.

Mówi się także o analogiach i różnicach filozoficznej podbudowy literatury i rodzimej filozofii romantyzmu. Czy istotnie A.D. 1975 jesteśmy za mało „ufilozoficznieni”? Przeczy temu lektura kolejnych nowych fal poezji emigracyjnej i dzienników intelektualnych pisanych w różnych porach dnia i nocy. A cóż mówić o posiłkach z Kraju, skoro przewodzi im sam Leszek Kołakowski? Mistyczne wynurzenia Miłosza otwierają także nowe możliwości snucia analogii w zakresie wpływów atmosfery wileńskiej, dostarczając ponadto materiałów do dalszych rozdziałów tematu tak pozornie uśpionego jak recepcja myśli Swedenborga w Polsce.

W odniesieniu do XIX wieku można mówić o okresie zamkniętym datami powstań. „Nasza” literatura, łącznie z okresem wojennym, będącym jej długą uwerturą, jest 36-letnim rozdziałem niezakończonym i stale przedłużającym się okresu. Nie zdradza symptomów schyłkowych. Raczej: odnawia się i odmienia. Da się w niej wyodrębnić kilka wyraźnych faz i w tym kryje się jej siła. Parafrazując Słowackiego powiedzieć można, że jest nieskończoną powieścią, której tłem jest ciemny świat i której przyszłość jest otwarta. Cechuje ją nieznaną XIX-temu stuleciu płynność składu osobowego, zależna nie tylko od wieku pisarzy i ich wymierania, ale od osobistych decyzji politycznych i, jak ostatnio widzieliśmy,

nacisków władz PRL'u. Inny jest rozrzut czytelników, łatwiejsze kontakty z dalekimi stronami świata, inna struktura i rozmieszczenie placówek wydawniczych o zadziwiającej trwałości.

„Nasza” literatura jest w wyższym stopniu od jej poprzedniczki XIX-wiecznej literaturą *otwartą*, dokarmianą odświeżającym, choć tragicznym, dopływem twórców zbuntowanych lub ich dzieł przemyconych na Zachód. I to nie tylko polskich. Przed niedawnym czasem startowali pod polskim patronatem „kulturalnym” dysydenci sowieccy, obsługujący swą twórczością żywo reagujących na ich utwory czytelników polskich.

Jeśli nie dla ogółu emigrantów, to dla Kraju literatura „naszej” Emigracji jest *literaturą nadziei*. Czy zresztą mogłaby istnieć bez podświadomej wiary, że nie trwa w pustce, że ma żywo reagujących czytelników i dalszy ciąg?

Jedno warto podkreślić i jak najsilniej zaakcentować: Autorami zakazów debitu i kolportażu, mocodawcami cenzorów i celników byli w XIX wieku zaborcy, a więc cudzoziemcy. Dziś są nimi, ku wiecznej hańbie, władze PRL'u. Ludzie Wielkiej Emigracji otoczeni byli w Kraju powszechną sympatią ogółu społeczeństwa. Stosunek negatywny czy nawet krytyczny należał do rzadkości i kwalifikował się jako rusofilstwo. Znajomość literatury emigracyjnej jest dziś w wyższym stopniu ograniczona zakazami, sprowadzona do niesystematycznej lektury nielegalnie uzyskanych druków, tekstów wyłapanych z trzasków przy słuchaniu audycji radiowych i pośpiesznej lektury „na zapas” w czasie wypadów za granicę. Zabrakło mickiewiczowskich Żydów szmuglujących tomiki wierszy w belach materiałów i workach obroku a rozmiary czarnego rynku książkowego są równie podatne wyolbrzymianiu jak pomniejszaniu jego znaczenia. Ergo: współczesna literatura emigracyjna znana jest w Kraju w kalekim i ułamkowym kształcie, od przypadku do przypadku i do księgi złudzeń pielgrzymstwa polskiego zapisać należy nadzieję, iż ten żalony stan rzeczy ulegnie zmianie na skutek uchwał uroczyste proklamowanych w Helsinkach.

Reasumując, zaryzykować można hipotezę, że porównania nie wypadają na niekorzyść naszych czasów, pamiętając i o tym, że poza funkcjami artystycznymi piśmiennictwo emigracyjne służyło i służyć nadal powinno nie tylko „Londynowi” i Krajowi, ale i trudnej do ogarnięcia i ujęcia w cyfry masie Polaków w diasporze. Stąd pozornie obciążający i zaciemniający obraz produkcji wydawniczej poza Krajem wysoki procent wydawnictw użytkowych i lektury popularnej obsługującej XX-wiecznych „lataników”.

Najwięcej elementów dawnej „emigracyjności” kryje się w literaturze okresu wojennego (1939-1945) określanej mianem literatury Polski walczącej. Do chwili cofnięcia uznania Rządowi RP w Anglii w czerwcu 1945 byliśmy sprzymierzeńcami, wygnańcami — ale nie „emigrantami”.

Ale już w Paryżu w zimie 1940 za potrzebę najpilniejszą uznano sprawę wydania „Książki pielgrzymstwa polskiego” Mickiewicza!

*Pielgrzymstwo* domagało się podkreślenia i z tego także względu, że np. Mickiewicz nie uważał się za *emigranta*. Warto przytoczyć cytata z bezimiennie wydanej w Paryżu w roku 1833 broszury pt. „Uwagi o użyciu najkorzystniejszym czasu w emigracji”, której autorem okazał się Miroslaw Henryk Nakwaski. Pod wpływem Mickiewicza opracował on projekt ustaw Zakonu *Wychodźców Polskich*, tak motywując wybór tego określenia: „Wyraz *wychodziec* lubo dotąd nieupowszechniony zdaje się być najwłaściwszym dla nas. *Emigrant* — wyraz cudzoziemski. *Tułaczem* jest ten, co wypędzony tuła się, nadto do wyrazu tego jest przywiązane znaczenie nieszlachetne. *Pielgrzym* wskazuje więcej religijne jak polityczne cele. A my wyszliśmy z Kraju dobrowolnie, bo nie chcemy znosić jarzma moskiewskiego”.

Skąd także wniossek, że już wtedy Polska zwana była na Obczyźnie Krajem (z dużej litery), choć znaczenie tej nazwy miało inny podkład. Naszym poprzednikom chodziło o ogarnięcie jednym terminem geograficznym obszarów rozdartych granicami zaborów. Dla nas jest to przede wszystkim odpowiednik Narodu, pozwalający na unikanie używania nazwy PRL a podkreślenie emocjonalnego stosunku — do Kraju.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

8 października 1975

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 łącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959.

Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

## Książki

### Krótko o książkach

Wiosną 1974 roku dwóch dziennikarzy amerykańskich, Marvin i Bernard Kalb, wydało książkę „Kissinger”\* — biografię amerykańskiego Sekretarza Stanu. Gdy latem 1975 czytałem tę książkę w przekładzie francuskim, wiedziałem już co wydarzyło się po jej wydaniu: ucieczka Amerykanów z Wietnamu, Konferencja w Helsinkach, niepowodzenie a następnie sukces Kissingera na Bliskim Wschodzie. Ale książka o Kissingerze jest nadal aktualna nie tylko dlatego, że charakter jej bohatera nie uległ zmianie, ale przede wszystkim dlatego, że jest ciekawą analizą amerykańskiej polityki zagranicznej na przestrzeni pięciu ważnych lat — 1969-1974.

Autorzy książki szczegółowo przedstawili biografię Henry Kissingera — niemieckiego emigranta, amerykańskiego żołnierza, profesora Harvardu, Sekretarza Departamentu Stanu U.S.A., który przyjął dymisję prezydenta amerykańskiego; człowieka próżnego i opanowanego żądzą władzy. Jeden z jego współpracowników powiedział: „Henry uwielbia władzę, uwielbia ją absolutnie. Dla niego nie ma niczego innego w dyplomacji”. W latach 60-tych, będąc profesorem Harvardu, autorem szeregu książek poświęconych polityce zagranicznej, Kissinger pisał np.: „Dla nas umowa ma charakter prawny, a nie tylko utylitarny, reprezentuje siłę moralną, a nie wyłącznie praktyczną. Z sowieckiego punktu widzenia ustępstwo jest jedynie etapem w prowadzonej walce”. W 1966 roku pisze o wojnie w Wietnamie: „Zwycięstwo trzeciorzędnego państwa komunistycznego nad USA wzmocni ogrom-

\* Marvin Kalb, Bernard Kalb, *Kissinger. Ses origines, sa formation, son ascension, son apogée*, Robert Laffont, Paryż, 1975.

nie bojowe siły ruchu komunistycznego na całym świecie". Poglądy Kissingera radykalnie się zmieniają z chwilą nominacji na stanowisko doradcy Nixona w sprawach polityki zagranicznej; bardzo szybko stał się faktycznym kierownikiem polityki zagranicznej USA. Zwrot w polityce USA, który nastąpił na początku lat 70-tych, Kissinger tłumaczy zasadniczą zmianą „równowagi atomowej” między USA a ZSSR. Po przymusowym usunięciu rakiet sowieckich z Kuby, ZSSR — według danych amerykańskich — zdołał doścignąć USA w zakresie produkcji rakiet i broni atomowej. Nixon i Kissinger postanawiają się do tego dostosować. Boddżem nowej polityki Kissingera były — jak by to nie brzmiało paradoksalnie — wystąpienia robotników gdańskich w grudniu 1970 roku. Jeden ze współpracowników Kissingera tak to wyjaśnia: „Po zaburzeniach w Polsce Breżniew zrozumiał, że jego władza jest zagrożona, i że może ją utracić, jak Gomułka, jeżeli nie uporządkuje społeczeństwa komunistycznego, a w pierwszym rządzie gospodarki. Zrozumiał, że trzeba zastąpić liczydła maszyną elektroniczną, ożywić handel i stosunki finansowe z zagranicą. Nie miał innego wyjścia”.

Wychodząc więc z założenia, że dla Breżniewa Zachód jest niezbędny, gdyż bez niego zginie, Kissinger już 9 stycznia 1971 roku wysłał na Kreml list formułujący zasady nowej polityki amerykańskiej. USA są gotowe pomóc w modernizacji sowieckiej gospodarki, jeśli ZSSR „stanie się bardziej elastyczny i wyrazi życzenie rozmów z nami na temat ważnych zagadnień”. Zaczyna się polityka *détente*, której perypetie są nam dobrze znane. Na 540-tu stronach książki zarysowuje się sylwetka dyplomaty, który prowadzi pertraktacje z komunistycznym przeciwnikiem, zupełnie nie rozumiejąc co ten przeciwnik sobą reprezentuje. Charakterystyczne jest wyznanie Kissingera: dopiero w trzecim roku rokowań z Północnym Wietnamem zrozumiał, czego właściwie chcą północni Wietnamczycy — pomocy USA w przegnanu Thieu. Podpisując umowę z Północnym Wietnamem, Kissinger był przekonany, że udało mu się wybronić Thieu. Wiemy czym to się skończyło.

Książka kończy się cytata z ulubionego bohatera amerykańskiego Sekretarza Stanu: „Henry Kissinger kiedyś zacytował Metternicha: „Wiem czego chcę i wiem do czego są zdolni inni, dlatego jestem całkowicie przygotowany”. Książka amerykańskich dziennikarzy pokazuje, że być może Kissinger dobrze wie czego chce, ale zupełnie nie zdaje sobie sprawy do czego są zdolni inni.



Z książek, które ostatnio przeczytałem, dwie specjalnie do-

brze uprzytamniają „do czego są zdolni inni”. Pierwsza z nich, to biografia Maurice Thorez'a\*, napisana przez francuskiego historyka, Philippe Robrieux, który w swoim czasie był przywódcą francuskiej młodzieży komunistycznej. Robrieux zbadał szczególnie dostępne archiwa państwowe i prywatne, a także przepisał wszystkich, którzy znali przywódcę francuskich komunistów, w tej liczbie i jego żonę, żelbetonową stalinistkę, Jeanette Ver-mersch. „Maurice Thorez” jest pierwszą naukową, tj. opartą na dokładnie sprawdzonych danych, biografią przywódcy komunistycznego. Książka jest interesująca nie tylko dla czytelników zajmujących się historią Francji, ale również i dla tych, których interesuje historia ZSSR. Życie Thorez'a to historia przekształcenia niegłupiego, sprytnego, młodego Francuza ze środowiska robotniczego w stalinowskiego biurokratę, który niczym, absolutnie niczym — ani wyglądem zewnętrznym, ani stylem życia, ani zachowaniem — nie różnił się od sowieckich biurokratów partyjnych. Historia tej metamorfozy jest wymowną odpowiedzią na twierdzenia komunistów zachodnich: „U nas będzie inaczej”. Książka Philippe Robrieux dowodzi, że będzie dokładnie tak samo. Wystarczy wskazać fantastyczną historię głośnej autobiografii Maurice Thorez'a „Syn ludu”, która wyszła w milionowym nakładzie. Ph. Robrieux wykazuje na podstawie posiadanych dokumentów, że wszystko w tej książce jest kłamstwem: od samej biografii do autorstwa. Sam Thorez nawet ręki do niej nie przyłożył — zlecił tylko jej napisanie specjalistce od propagandy, a ten z kolei przekazał zamówienie swemu literackiemu „murzynowi”. „Murzyn”, mając poczucie humoru, włączył do tekstu akrostych. Uważny czytelnik mógł rozszyfrować bezmyślnie-liryczne zdanie na stronie 36-tej: „Freville napisał tę książkę”. Formowaniem Thoreza i przekształceniem go w posłuszne narzędzie Stalina zajmował się przez 10 lat wysłannik Kominternu, słowacki komunista Eugen Fried. Bez jego aprobaty Maurice Thorez słowa nie mógł powiedzieć. Wszystko jak w Moskwie.



Druga książka, „Bez ojczyzny i granic” Jana Valtina\*, to autobiografia komunisty. I to *Bildungsroman* — historia przekształcenia niemieckiego robotnika — marynarza w aktywnego agenta Kominternu. Od 1918 roku, gdy jako chłopiec rozdawał ulotki w porcie hamburskim, do 1938 roku, kiedy szukając schronienia przed Gestapo i NKWD, uciekł do Stanów Zjednoczonych, — Richard Krebs — tenże Jan Valtin, — znany policjonom

\* Philippe Robrieux, *Maurice Thorez. Vie secrète et vie publique*, Str. 660, Fayard, Paryż, 1975.

\* Jan Valtin, *Sans patrie ni frontières*, I. Clattes, 1975.

dziesiątków krajów pod dziesiątkami różnych nazwisk, wierzył że walczy o oswobodzenie mas pracujących. Niemiecki komunista, który brał udział w powstaniu hamburskim w 1932 roku, Jan Valtin po przejściu stażu w Moskwie staje się jednym z ważniejszych ogniw sowieckiej tajnej policji, która przy pomocy Kominternu oplotła swoją siecią cały świat. Historia książki Jana Valtin'a jest równie zdumiewająca, jak historia jej autora. Opublikowana w 1948 roku, spotkała się z gwałtownymi atakami nie tylko komunistycznych, ale i liberalnych gazet. Całkowicie zapomniana, została ponownie wydana we Francji w 1975 roku i natychmiast trafiła do sądu, który zażądał by usunięto z niej 10 stron z 716-tu; 10 stron, na których autor opowiada o komunistach francuskich — współpracownikach NKWD.

Z dużym talentem literackim Jan Valtin opowiada o aparacie NKWD — Komintern, potwornym ze względu na swoją potęgę, okrucieństwo i bezwzględność, działającym na wszystkich kontynentach; o tragicznych przygodach jego agentów, nieuchronnie pożeranych przez bezdusznego potwora. Wszystko to, co w 1948 roku wydawało się wymysłem, oszczerstwem w stosunku do Związku Sowieckiego, potwierdziło się. Aktualność książki Jana Valtina polega jednak na czymś innym. Długo i szczegółowo opowiada on o działalności Kominternu w Niemczech w początkach lat 30-tych, gdy komuniści wszystkie swe siły skierowali na rozgromienie Republiki Weimarskiej. „Ślepa nienawiść do socjaldemokratów — pisze Jan Valtin — znalazła swój wyraz w poufnych instrukcjach Dymitrowa, rozesyłanych w połowie stycznia 1931 roku. Wszystkim przywódcom komunistów niemieckich polecono zorganizować wspólną akcję partii komunistycznej i ruchu hitlerowskiego w celu przyspieszenia zguby bloku demokratycznego, który ówczesnie rządził Niemcami”. Jan Valtin przypomina jaki skutek miały w Niemczech wskazania Manuilskiego: „By oszukać masy, socjaldemokraci ogłaszają faszyzm głównym wrogiem klasy robotniczej. To nieprawda, że faszyzm typu hitlerowskiego jest głównym wrogiem...”. Dziś, gdy prasa sowiecka prowadzi kampanię przeciwko socjalistom portugalskim, słowa te brzmią niezmiernie aktualnie.

Wysłany do Niemiec na podziemną robotę, po dojściu Hitlera do władzy, Jan Valtin został przez Gestapo aresztowany, poddany nieludzkim torturom i wtrącony do obozu koncentracyjnego. I tam otrzymał od partii polecenie rozpoczęcia współpracy z Gestapo. Wierny żołnierz partii wypełnia i to zadanie. W rozmowach z Gestapo dowiaduje się o szacunku, z jakim gestapowcy odnoszą się do swoich konkurentów: „Inspektor Kraus mówi o GPU z szacunkiem. Wiele się od nich uczymy — przyznał. Każdego

dnia dowiadujemy się czegoś nowego”. Nie ma wątpliwości, że i NKWD pełnymi garściami czerpało ze skarbnicy Gestapo.

Elegijny opis działalności — już dawno nie NKWD, a KGB — znalazłem obecnie w ostatniej książce angielskiego pisarza John Le Carré\*. Autor znakomitej powieści szpiegowskiej „Szpieg który przyszedł z chłodu” powrócił do tematu, który mu przyniósł sławę, i do swego starego bohatera, angielskiego wywiadowcy Johna Smiley'a. Historia opowiedziana przez Le Carré jest prosta (choć akcja niezmiernie skomplikowana, a rozwiązanie znajdujemy na samym końcu książki): w samym sercu wywiadu angielskiego siedzi agent sowiecki, „kret” w języku szpiegowskim. Le Carré jest mistrzem w pisaniu tego rodzaju książek i jego ostatnią powieść czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Jest ona jednak interesująca i z innych powodów: jest to obraz wewnętrznego rozkładu psychicznego Wielkiej Brytanii. Nie znam drugiej książki, w której tak tragicznie brzmiałoby przekonanie, że wszystko poszło na marne, że klasa rządząca krajem straciła rację bytu.

W końcowym rozdziale powieści John Smiley demaskuje szpiega. Jest to jego były przyjaciel, kochanek jego żony, człowiek z jego środowiska. Ale Smiley rozumie szpiega. Nie usprawiedliwia, ale rozumie, znajduje wyjaśnienie dlaczego Bill Haydon przez wiele lat zdradzał swoją ojczyznę, stał się nawet obywatelem sowieckim: „Haydon zdradził. Jako kochanek, kolega, przyjaciel; jako patriota; jako członek tej drogocennej grupy, którą się nazywa wyższą sferą: zdradził pod każdym względem. Haydon otwarcie dążył do jednego celu, a potajemnie chciał osiągnąć co innego. Smiley dobrze wiedział, że nawet teraz nie uchwycił jeszcze rozmiarów tej przerażającej dwulicowości. Ale coś w nim już narastało w obronie Haydona. A czy Bill też nie był zdradzony?... Z dręczącą jasnością zobaczył człowieka przeznaczonego do wielkich zadań, do tego by rządzić, dzielić i zdobywać, człowieka którego marzenia i ambicje wyrwały się ku grze światowej. A jego rzeczywistością była nieszczęsna wyspa, której głos ledwo był słyszalny na drugim brzegu kanału”.

Cóż nam pozostaje? W USA werbuje się młodych ludzi przy pomocy ogłoszeń: „Chcesz zobaczyć świat — wstąp do marynarki wojennej”. Być może, już wkrótce tego rodzaju ogłoszenia będzie plakatować na Zachodzie KGB...

Adam KRUCZEK

\* John Le Carré, *Tinker, tailor, soldier, SPY*, 1975.

## Satyryk na ambonie

„Heretykiem na ambonie” nazwał się kiedyś Antoni Słonimski. Określenie znakomite i ponadczasowe, bo wszelkiego rodzaju ambony świeckie czy duchowne, ale symbolizujące w istocie choćby zamaskowaną śmiechem powagę poruszanych kwestii, kuszą polskich wesołków po dziś dzień. Wielkim tych wesołków protoplastą i symbolem jest Stańczyk — jak głosi narodowa legenda — informator królów, mówiący im o rzeczywistości takie prawdy, których by inaczej nigdy nie usłyszeli. W niejednym kraju satyrycy byli cenieni i szanowani, ale tylko w krajach „socjalistycznych” rola ich staje się tak ogromna i uprzywilejowana: mogą czasami krytykować na własną rękę i NIEODPOWIEDZIALNIE, co nie jest tam dozwolone najwyższym politykom i „działaczom społecznym”. W rezultacie z nowelek i humoresek Zoszczenki wiecej się dowiemy o rzeczywistości sowieckiej lat dwudziestych, niż ze wszystkich przemówień ówczesnych mężów stanu razem wziętych. Z tym, że „nieodpowiedzialność” wesołka ma w tym ustroju swoje granice, o czym przekonał się właśnie nieszczęsny Zoszczenko, kończąc karierę i życie nader tragicznie. Ale represje jakie na niego spadły są zarazem potwierdzeniem wagi jego roli, nieodpartej siły satyrycznego humoru, który przeświecła wszelką materialną rzeczywistość na wskroś, niczym promienie Roetgena.

W Polsce Ludowej satyra miewa też swoje przywileje, często zresztą z daleka mało dostrzegalne. Ostatnio jednak zanotować można w tej dziedzinie swoisty rekord: oto popularny, ceniony, prezentowany w telewizji milionom widzów i słuchaczy, satyryczny konferansjer, Jacek Fedorowicz, wstąpił na poważną problemową ambonę tak zdecydowanym krokiem, że aż dech zapiera.

Książeczkę Fedorowicza „W zasadzie tak”\*, na którą zwrócił mi uwagę redaktor *Kultury*, czytałem z rosnącym uwielbieniem tudzież z zadziwieniem, zaglądając parokrotnie do tak zwanej „stopki” aby upewnić się iż rzecz ta istotnie wydana została w kraju. Ale numerek cenzora — szczegół częstokroć przez rodaków z Emigracji nie dostrzegany — przekonał mnie w zupełności. Bez wątplenia jest to książka krajowca i to tkwiącego w samym ustrojowo socjologicznym sednie polskiej rzeczywistości. Dzięki temu siła i celność krytyki bije tu o głowę wszystko, co wyprodukować by się dało na Emigracji. Jako negatywny przykład podać mogę powierzchowne i pełne błędnych spostrzeżeń, w dodatku anonimowe (dlaczego? więc za granicą też się boją?) wra-

\* Jacek Fedorowicz, *W zasadzie tak*. Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, 1975, str. 181, nakład 60.000 egz.

żenia jakiejś Pani z pobytu w Polsce, zamieszczone w październikowym Zeszytcie *Kultury* z bieżącego roku.

Celność krytyki? Ale Fedorowicz od krytyki się odrzeka. „My krytykować nie chcemy — mówi — jakkolwiek myśl o krytyce jest nam obca i proszę się nie spodziewać, że cokolwiek zostanie w tej książeczce skrytykowane. My przede wszystkim... postaramy się poznać istotę zjawiska”. I dalej w rozdziale o pracy kelnerów którzy żyją z NIEDOWAŻANIA potraw, i podziału powstałego w ten sposób funduszu więc nawet bodźce w postaci napiwków są im w zasadzie obojętne: „Ewentualny nasz Ruch Konsumpcyjny nie powinien polegać na krytyce „złych” kelnerów, ponieważ kelnerzy nie są zli ani dobrzy. Winien jest system. Tak więc powinniśmy raczej zmienić system rozliczania udziałów w Ogólnej Puli Niedoważania, czego nie jesteśmy w stanie zrobić, więc nie ma o czym mówić”.

Genialny to zaiste chwyt, który odróżnia Fedorowicza od całej plejady satyryków, wyzwierających i znęcających się na co dzień nad tak zwaną w systemie „strefą usług nieprodukcyjnych”, nad stosunkami w handlu, gastronomii, hotelarstwie, komunikacji itd. Czują oni słusznie, że w tej dziedzinie właśnie leży klucz do wytłumaczenia niewygodny i ciężaru życia w PRL, atakują nieraz z pasją, z furią, ale żaden z nich (poza ongiś Mrożkiem) opisując nieraz znakomicie poszczególne absurdy i dziwactwa czy nadużycia, nie wpadł na pomysł znalezienia formuły uogólniającej, która z jednej strony nadając satyrę jednolitość formalną i czyniąc ją przez to całościową, z drugiej strony, w kraju — gdzie można krytykować szczegóły wykonania lecz nie można kwestionować ustrojowej ZASADY — byłaby strawna mimo wszystko dla cenzury. I oto Fedorowicz znalazł na swój użytek taką formułę: godzi się (w zasadzie) z rzeczywistością, jako czymś niezmiennym, danym z góry, niczym pogoda, powódź lub klimat, objaśnia ją tylko z rzekomą (choć w życiu niezbędną, bo wymuszoną) powagą oraz dokładnością i doradza, jak się w niej „ustawiać”, jak postępować. Jak dawać napiwki i łapówki, jak nie pracować w biurze, lecz chałturzyć, jak przypodobać się recepcjonistce czy taksówkarzowi, jak nie pić a nie narazić się pijakom. Wszystko w satyrycznej kondensacji, czasem z surrealistyczną przesadą, w ekstrakcie, ale zawsze z żelazną konsekwencją utrzymane w przyjętej konwencji: ja nie oceniam, ja opisuję i doradzam. W rezultacie Autor formułując swe socjalistyczne „prawa Parkinsona” (słowo socjalizm nie pada zresztą ani razu) jest w zasadzie nieuchwytny dla cenzora: trzeba by skonfiskować wszystko — albo nic. Jednolitość zamysłu czyni go *intouchable*, opancerzonym.

A więc koncept znakomity, w swej istocie na pewno zamysł przedziwne artystyczny: przedstawić w sposób uporządkowany świat czystego absurdu, czerpiąc do tego materiały z konkretnego otaczającego nas życia. Powstaje wizerunek perfidnie upiorny, takie właśnie obrazy realizował Sławomir Mrożek, lecz straciwszy



od lat kontakt z krajem macierzystym swych wizji, poszedł w kierunku eksterytorialnej, symbolicznej abstrakcji czy karykatury, bardziej zrozumiałej dla Zachodu. Za to Fedorowicz w owych przewrotnie pouczających „wykładach” nigdy nie zrywa kontaktu z bezpośrednimi realiami. Realia te, mimo ograniczenia się do określonego kręgu obserwacji, są w istocie tak reprezentatywne i wszechstronne, że mogłyby służyć jako materiał przykładowy dla przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych czy duchowych. Wyobrażam sobie doskonale iż groteskowe na pozór wywody Jacka Fedorowicza mogłyby zostać szczegółowo zinterpretowane czy przełożone na swój język przez ekonomistę, historyka o zacięciu socjologicznym i księdza. Ekonomista powie: oto skutki ustroju, gdzie nie obowiązuje powszechne samoczynne prawo wartości rynkowej, prawo podaży, popytu oraz bodźców i konkurencji, gdzie siła nabywczą pieniądza jest względna, a ceny i płace ustalone arbitralnie przez centralistyczną górę, gdzie lekceważy się usługi, a goni za ilościową produkcją częstokroć fikcyjną, bo niezbywalną. Historyk socjolog dopatry się w Fedorowiczowym obrazie rezultatów zniszczenia uchwytnych kryteriów społeczno-moralnych przez ostatnią wojnę i rewolucję, które zlikwidowały dawną hierarchiczność oraz narodową świadomość, stawiając po latach na ich miejsce anonimową masę, pozbawioną kryteriów, organicznych spoiw i podbudowaną materialną oraz państwową czy organizacyjną tradycją samowiedzy. Książd wreszcie zauważy niechybnie, że nowe społeczeństwo, w dużym procencie wywodzące się ze wsi, ale wykorzenione, zlaicyzowane, oderwane od swej macierzystej wiary i kultury, musi odznaczać się upadkiem zasad moralnych, egoizmem, zanikiem ideałów duchowych. Wszystkim trzem drapieżna groteska Fedorowicza dostarczy walnego materiału dowodowego: jest „obrotowa”, bo bogata w obserwacyjne realia, paradoksalne, jak tylko samo życie paradoksalnym być potrafi.

Wspomniałem już, że w książeczce „W zasadzie tak” nie jest wymienione słowo „socjalizm”. Nie pada też słowo „biurokracja” — ulubiony termin wszystkich polskich satyryków, pragnących uzasadnić jakoś swój krytyczny stosunek do naszej administracyjno-usługowej rzeczywistości. I słusznie, że nie pada, biurokracja bowiem jest w tym wypadku nie przyczyną, lecz skutkiem. Skutkiem ustroju. Fedorowicz podkreśla wciąż, że on nie ocenia tylko opisuje, jednakże nie jest tak po mrożkowsku zimny i konsekwentnie jednolity, aby czasem nie dać ujścia swej nostalgii za poprawą całościową, choć niby oficjalnie uważa ją za niemożliwą. Oto np. opisując fakt, że mnóstwo zarobić można na zleconych chałturach, a mało na etatowej pracy zasadniczej, pisze: „A skąd ten nasz kolosalny dochód? Po prostu stąd, że każda chałtura jest honorowana bez porównania lepiej, niż praca tzw. zasadnicza. I nie ma tu żadnej dowolności. Takie ustalono cenniki. Dlaczego? To już nas nie obchodzi. Skoro tak jest, to widocznie tak ma być. Naszą sprawą jest tylko odpowiedzialnie ustawianie się w zastanej sytuacji...”

Podobnych aluzji i merytorycznych tęsknot wypsnęło się Autorowi więcej. Gdy np. przedstawia finansowe ubóstwo telewizji, powodujące słabe jej programy, a jednocześnie przypomina, że olbrzymie sumy wpłacane przez miliony teleabonentów idą do ogólnej, bankowej puli, stwierdza tym samym pośrednio konieczność materialnego usamodzielnienia przedsiębiorstwa i unaocznienia związku między jego dochodowością a poziomem „świadczonych” przez nie usług. A znowu uwaga, że człowiek kupujący samochód jest przesłuchiwany przez organa skarbowe, badające skąd wzięł na ten cel pieniądze, gdyby natomiast pieniądze te przepił, nikt by się tym nie zainteresował i nie powiedział mu złamanego słowa, stanowi w istocie krytykę marksistowskiej zasady „walki klas” i stawiania w związku z tym spraw społecznych na głowie. Takich aluzji, ukrytych przemyślnie, aby były ukryte, lecz nie za głęboko, jest u Fedorowicza sporo: niewielka jego książeczka to w istocie kunsztowny zbiór dowodów rzeczowych i argumentów dla ewentualnego reformatora, choć wierna przyjętej przez Autora metodzie, nie mówi wprost i formalnie od wszelkich reform się odrzeka.

Jest to zatem dzieło poważne i szczerze zatroskane (troska obywatelska czy „gospodarska” — powie ktoś), traktujące o państwowych i społecznych, ekonomicznych i moralnych schorzeniach systemu. Mogłoby i powinno stać się przedmiotem pracy doktorskiej, na pewno nie gorszej niż historia gry w palanta, jaką zaprodukowała przed paru laty pewna doktorantka we Wrocławiu. Takie nastąpiły czasy, że dowcipnisie mówią poważnie, a przemówienia mężów stanu, profesorów i działaczy społecznych są „z Mrożka”, kwalifikują się prosto do *Szpilek* czy kabaretu. Kiedyś zaprodukował to w programie „Kochany Panie Ionesco” Studencki Teatr Satyryków w Warszawie, wyzyskując w owym spektaklu bez żadnych zmian fragmenty oficjalnych enuncjacji, referatów, artykułów prasowych. Śmiech był potężny. Z kogo się śmiejecie? Z siebie się śmiejecie?!

Tak więc, narodowej tradycji Stańczyka jeszcze raz stało się zadość. Nasuwa się pytanie czy niniejsza pochlebna recenzja w *Kulturze* nie zaszkodzi satyrykowi, czy nie odegra roli donosu lub denuncjacji? Jest to poważny szkopuł i zwróciłem na to uwagę Redaktorowi. Postanowiliśmy bardzo na dalszy bieg sprawy uważać. Pocięszam się jednak tym, że Odnosne Władze są nader ambitne i samodzielne, nie lubią robić tego, co im ktoś podsuwa, zwłaszcza gdy owym kimś jest paryska *Kultura*. Jeśli więc my tutaj rozważamy taką ewentualność, to na pewno Jacek Fedorowicz zniszczony nie będzie. Któżby zresztą wyruszał z artylerią na komary — choćby gryzące. Nieprawdaż?

Stefan KARAIBSKI

## Balcerowi następcy

Nie będąc krytykiem literackim, napiszę (skoro już takie życzenie Redaktora *Kultury*) na temat książki Jana Wójcika\* zgoła prozaiczną garstkę informacji.

Zacznijmy od autora, zamieszkałego dziś w Stanach Zjednoczonych (adres na liście przedstawicieli *Kultury*), a przed kilkunastu laty w Brazylii, w mieście Porto Alegre, w stanie Rio Grande do Sul. Jako były oficer artylerii znalazł się w czasie ostatniej wojny na terenie Niemiec i po zakończeniu działań wojennych pracował jako oficer oświatowy wśród przebywających tam Polaków. Wybrał się potem do Brazylii i spędził tam całe dwanaście lat, pracując na życie jako instalator-elektryk a równocześnie jako działacz społeczno-kulturalny, o czym skromnie napisał kilka słów w ostatnim rozdziale omawianej tu książki.

Nie widząc przyszłości w Brazylii, bo zarobki pożerała tam inflacja sięgająca 80 do 90 % rocznie, przeniósł się do Ameryki. Ale dwanaście lat to „huk czasu”, a że to człowiek towarzyski, więc nic dziwnego, że zostawił w Brazylii wielu przyjaciół, a w swoim sercu dużo wspomnień i ogólne zainteresowanie sprawami tamtejszej Polonii.

Z tego właśnie zrodził się pomysł książki o tej Polonii. Autor nie chciał jednak „popętnić” jeszcze jednej, ogólnikami pisanej i na uczuciowych tylko wspomnieniach opartej książki. Takich jest już sporo. Powiedział zdaje się Goethe, że „*in der Begrenzung zeigt sich erst der Meister*”. Ograniczył się więc autor do tego, co osobiście widział i naocznie sprawdził, a więc do Polonii w jednym tylko stanie, w Rio Grande do Sul. (R.G.S.). I dobrze się stało choćby z tego powodu, że dawniejsze książki omawiały przeważnie tylko Polonię w stanie Paraná, jako że tam miesiły się dawniej centrale polskich organizacji, z Centralnym Związkiem Polskim na czele, nie mówiąc już o tym, że Paraná wiedzie prym co do liczby Polaków, którzy tworzyli zwarte skupiska czyli „kolonie”, będące dziś miastami i powiatami. Tymczasem w R.G.S. liczba Polaków jest mniejsza, a co gorsze są oni tam rozprószeni i mieszkają pomiędzy Niemcami, Włochami i osadnikami pochodzącymi ze wszystkich prawie krajów europejskich. Pisał kiedyś jeden z pierwszych księży polskich, że w jego parafii (Ijuí, wym. — „Ižu-i”) byli przedstawiciele 24 narodowości.

Nic dziwnego więc, że o Polonii w R.G.S. pisano o wiele mniej niż o polskich Parańczykach z okolic Kurutyby. Ta nowa książka

\* Jan Wójcik, *Balcerowi następcy*. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1975.

stanowi więc cenną pozycję na liście książek o Polonii Brazylijskiej.

Tylko nienormalne warunki naszego emigracyjnego rynku księgarskiego mogły spowodować, że tego rodzaju książka musiała się ukazać w zbyt skromnej formie, bez ilustracji, mapek i wykresów i że autor musiał ją streścić do dwustu stroniczek. W tym znaczeniu pcha się na język powiedzenie: „lepszy rydz niż nic”. Nowe ograniczenie, z którym sobie autor musiał i umiał poradzić.

Jest w „Balcerowych następcach” trochę historii, jakżeby mogło być inaczej. Więcej jest jednak obrazków aktualnych, malujących dzisiejsze stosunki w tamtejszych polskich ośrodkach czy raczej „odpryskach”. Wszystko udokumentowane, bo autor zwiedzał wszystko co polskie: kościoły i szkoły, towarzystwa i sklepy, cmentarze i domy rodzinne, gospodarstwa rolne i zakłady przetwórcze, a notatek i „szpargałów” w postaci książek z protokołami towarzystw szukał nawet w zakurzonych kryjówkach pod starymi scenami szkolnymi. Podróżując zaś od osady do osady widział na własne oczy drogi, przeważnie isticie „kalwaryjskie”.

Z tego wszystkiego można by zapewne sporządzić solidną monografię, upstrzoną schematami, tabelkami statystycznymi, tak jak to dziś robią modni „socjologowie”. Wójcik wolał jednak wybrać formę przystępnych reportaży, z zacięciem literackim a nie stylem prozaiczno-naukowym i suchym. Zapewne te wszystkie statystyki i inne podobne mądrości zostawił tamtejszemu przyjacielowi i towarzyszowi tych wędrówek, zmarłemu niestety niedawno inżynierowi *Edmundowi Gardolińskiemu*. Napisał on wiele artykułów z każdego prawie okręgu, które się ukazywały na łamach „*Diario de Noticias*” w Porto Alegre, gdzie redaktorem był Tad. Onar-Konarzewski. Największą zaś jego pracą był długi i bardzo szczegółowy artykuł o polskiej grupie etnicznej w R.G.S. zamieszczony w stanowej encyklopedii. (Dwa dłuższe rozdziały artykułu Gardolińskiego z tej encyklopedii ukazały się w przekładzie Jana Wójcika na język polski na łamach *Kalendarza Ludu* na rok 1958 i 1959. Ktoś powinien się postarać o wydanie całego przekładu na język polski).

Tak to współpraca trzech ludzi: inż. Edmunda Gardolińskiego, redaktora Konarzewskiego i Jana Wójcika rozjaśniała horyzonty wiedzy o Polonii w samym południowym zakątku Brazylii. Pisze Wójcik, że nazywano ich: „Trzej Muszkieterowie Sprawy Polskiej”. Dzisiejsi zwolennicy równo-uprawnienia kobiet upomnieliby się o należyty przydomek dla dwóch przynajmniej współpracowniczek: Zenobii Gardolińskiej i Danuty Wójcikowej, które były równie choć mniej „prominentnie” czynne na tym polu.

Ale do rzeczy.

„Balcerowi następcy” są zbiorem reportaży z podróży badawczych Gardolińskiego i Wójcika. Dużo miejsca poświęcił autor osadom polskim nad *Rio das Antas*. Jest to bardzo kręta rzeka górská, zataczająca wielkie półkole i wpadająca do szerokiej rzeki a właściwie rozlewiska wód na zachód od Porto Alegre. Tam

władze skierowały największą liczbę ofiar „gorączki” brazylijskiej (1889-92), na same górkę i pagórki, gdzie równej ziemi mało, a zbocza kamieniste i nie zawsze urodzajne. Zanim się tam pojawili Polacy, koloniści włoscy zajęli najlepsze skrawki ziemi i jak to wyraził kronikarz tych czasów: „Włosi wzięli góry, a Polacy dziury”.

O wiele lepsze ziemie otrzymali — a raczej później już zajęli przesiadając się z biednych okolic — Polacy w okolicy *Erechim* („Eresziń”), prawie na pograniczu stanu Santa Catarina między rzekami *Rio do Peixe* („Peisie”) i *Varzea*.



Ale omówienie książki nie może być jej streszczeniem. Zostawmy więc na boku reportaże z Guarani z tamtejszymi szkołami i Dom Feliciano, gdzie autor znalazł wielkie przywiązanie do polskości i „zapomnianą”, choć blisko stolicy położoną kolonię Evaristo, gdzie „kamień na kamieniu” na beznadziejnych niby-to drogach utrudnia komunikację — i zbyt produktów rolnych.

Poza opisami poszczególnych kolonii poświęcił autor osobne rozdziały wybitniejszym jednostkom. Jedną z nich jest *profesor Czesław Marian Bieżanko*, entomolog, ale równocześnie doradca rolników i promotor niektórych roślin, jak np. soji. Innym bohaterem dawniejszej nieco Polonii był kapitan *Przewodowski*, o którym się Gardoliński dowiedział zobaczywszy napis nad głównym wejściem do teatru „*Theatro Perezewodowski*”, w miasteczku Itaquí na pograniczu Argentyny. Pisownia nazwiska oczywiście mylna, chodzi bowiem o Stanisława Przewodowskiego, który był synem powstańca (listopadowego) i zasłużył się w Brazylii przede wszystkim jako kartograf. Stanisław zaś zasłynął, choć na krótko, jako buńczuczny kapitan brazylijskiej floty. Kiedy mieszkańcy — nie wiadomo dokładnie kto — miasteczka argentyńskiego pobili do nieprzytomności lekarza służącego na statku Przewodowskiego, a potem odmówili satysfakcji, kapitan spowodował incydent międzynarodowy, dając rozkaz ostrzelania z armat nie tyle samego miasta ile pustych pól za miastem. Brawura spodobała się ludności miejscowej, choć władze musiały zareagować inaczej. W owym miasteczku nie ma wcale Polaków i zasługi „senacyjnego kapitana” poszłyby w zapomnienie, gdyby nie inż. Gardoliński i nie ten napis na gmachu teatru. Dziś postać kapitana przypominał historyk tego miasta a rada miejska nadała jednej z ulic poprawnie już napisane nazwisko kapitana Przewodowskiego. Owe salwy armatnie to wydarzenie z roku 1874, a więc sprzed stulecia i sprzed napływu polskich kolonistów do R.G.S.

Ale najwięcej nie tyle dumy narodowej ile serca okazał autor „bohaterowi bez pomnika”, *Raniszewskiemu*, który był przez długie lata moralnym przywódcą, doradcą, a jako znawca języka niemieckiego tłumaczem i pośrednikiem z innymi kolonistami i z władzami. Jego starszy brat wyjechał do Stanów Zjednoczo-

nych i pewnego dnia nadszedł od niego list z zaproszeniem na lepsze życie do Ameryki Północnej. Ucieszył się Raniszewski i już był gotów do drogi, ale na prośby rodaków zdecydował się zostać i być ich „ojcem”.

Tragedią kolonistów w R.G.S. był właśnie brak takich ludzi jak Raniszewski. Gdzie się tacy pojawiali, tam kolonie rozwijały się lepiej. Cóż się dziwić — ówczesni emigranci byli prawie wszyscy niepiśmienni, w odosobnieniu po borach, bez szkoły i często bez księdza, nie mieli podniety do lepszej gospodarki rolnej, do zawiązywania towarzystw, do zakładania szkół. Autor ubolewa na wielu stronicach tej książki nad beznadziejnym miejscami zacofaniem kolonistów, co nawet dachu naprawić nie umieją, nad kobietami, co nawet o hodowli kur nic nie wiedzą, nad drogami, które by przecież własnym przemysłem można choć trochę poprawić. O wpływach politycznych szkoda przeważnie marzyć, bo polscy kandydaci rzadko znajdują poparcie przy wyborach, a nawet gdy który wypłynie, to go wnet ludzka zazdrość dosięgnie i zniszczy.

Trudno po przeczytaniu tej książki powiedzieć, czy autor wyniósł z tych objazdów jak się to mówi „dobre wrażenie”. Wyraża często gęsto swój zachwyt na widok polskich towarzystw, szkół (zamienionych zresztą od roku 1938 rozkazem rządowym na portugalskie), kościołów i dzielnych gospodarzy. Mimo to zachwyty te nie przesłaniają autorowi oczu na widok wielu, wielu „minusów”. Jednym z największych minusów jest smutny fakt, że koloniści pracują przeważnie „dziesięcioma palcami”, ale rzadko „głową”, że sama robocizna od świtu do nocy nie zostawia im wiele czasu na co innego, że nawet kobiety chodzą pogarbione, z dłońmi zniekształconymi chorobą i „grzebaniem w ziemi”, pozabawione w wielu osadach pomocy lekarskiej i akuszerskiej. Jednego tylko właściwie dokonali: *przetrwali!*

W ostatnim rozdziale czytamy o pracy kulturalnej samego autora, oczywiście przy współpracy chętnych, którzy się sami zgłaszali do teatru amatorskiego i do godziny radiowej. Na to ostatnie po przeszło dwóch latach zabrakło pieniędzy, bo dykcja stacji radiowej kazała sobie dobrze płacić. I z żalem musiał pan Jan, pani Danka i inni porzucić mikrofony. Nie tylko to — Wójcikowie, mimo że musieli być zapatrzeni w postać Raniszewskiego, zdecydowali się na wyjazd z Brazylii do Ameryki.

Pozwolę sobie zacytować ostatnie zdania z „*Balcerowych następców*”:

„*Nie utargowałem w tym kraju wiele. Z biedą za pan brat tam pojechaliśmy, z podobnąśmy uciekli. Ale — moi mili przyjaciele — chcę, żebyście wiedzieli, że nie żałuję zem z Wami, Balcerowymi następcami, przeżył tak pięknie dwanaście lat mojego życia. Bywajcie!*”.

## «Język ich stał się nam obcy»

Jeszcze jedna książka o getcie warszawskim. Przy pomocy szeroko zakrojonego komentarza od autorskiego Maria Czapska w książce pt. *Gwiazda Dawida*, wydanej w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy (1975), przedstawia wojenne „dzieje jednej rodziny”. Tak brzmi podtytuł książki stworzonej we współpracy z jedyną pozostałą przy życiu przedstawicielką jednej rodziny, jednej z wielu rodzin, które spotkał podobny los. Urodzona w roku 1923, Bluma Babic wraz z rodziną, częściowo zasymilowaną i po mieszczańsku żyjącą w Warszawie, złożoną z rodziców i sześciorga rodzeństwa, znalazła się w getcie krótko po jego stworzeniu przez okupanta. Przesuwają się sceny znane nam częściowo z innych lektur, z innych opowieści, zawsze jednak na nowo przejmujące.

Jak kiedyś dwugłos Czapskiej z bratem Józefem (*Dwugłos wspomnień*, 1965), tak dziś jej dwugłos z nieznaną nam do tej pory Blumą Babic wskrzesza, obok tragizmu wypadków, jeszcze jeden jego odbiór. Na próżno zagłuszane latami uregulowanego życia wśród życzliwych ludzi w Izraelu, odzyskanej ojczyźnie, „wspomnienia wracają jakże różnymi drogami. Suchy chrząst liści palmowych, co nie dają cienia, ani ochłody... Podobnie szeleściły papierowe zasłony w rozbitych oknach pustych domów — lipy wtedy kwitły; wiatr przynosił zapach, jak tu woń sadów pomarańczowych, powietrze pełne było puchu z rozprutych pierzyn, tyle tego było... szukano skarbów w pierzynach opuszczonych mieszkań”.

To głos Marii Czapskiej, któremu odpowiada głos bohaterki: „Nie mają żadnej płyty grobowej, ani pomnika z nazwiskiem i gwiazdą, żadnego domu, który ich pamięta — tylko popioły. Gdyby spisać ich losy, byłaby pamiętka po nich, zostałoby jakieś świadectwo...”.

Spotkanie z Czapską wyzwoliło Blumę z ostatnich oporów. Raczem wystawią na grobie zabitych pomnik w postaci książki stworzonej wspólnymi siłami, którą należy przeczytać.

Talent Czapskiej do łączenia skrupulatności kronikarskiej z dobrze zapamiętanym szczegółem, żywości narracji z szacunkiem dla prawdy drugiego człowieka, znany nam już z poprzednich jej książek (np. *Wspomnienia Jadwigi Zamoyskiej*, *Pamiętniki Sybiraka*, *Szkice Mickiewiczowskie*, *Europa w rodzinie*) odzywa się raz jeszcze pełnym głosem.

Czytamy znów o nędzy getta, zagrożeniu, strachu, egzekucjach, o szmuglu, komandach pracy, targach Judenratu z Niemcami, o masowych wywózkach z Umschlagplatzu do Tręblinki na śmierć,

wysiłkach (zwłaszcza Abrahama Gepnera i Janusza Korczaka), by ratować dzieci, o kontrastowych sytuacjach: bogactwo i rozpusta przy ostatecznej biedzie i śmierci głodowej, współpraca z Gestapo przy odrodzeniu pobożności i praktyk religijnych. Czytamy wreszcie o bohaterstwie powstańców i ostatecznej likwidacji skazanej dzielnicy.

Bohaterka traci po kolei całą liczną rodzinę, przy czym najbardziej rozdzierającym etapem w tym nieuniknionym procesie jest etap ostatni: w osiemnastym roku życia zostaje Bluma sama z najmłodszym rodzeństwem, ośmioletnim Heniusiem i sześciolletnią Rózią, których dzięki regularnej pracy za murami może jeszcze ukrywać, żywić i chować w nadziei przetrwania. Chora i słaba, wbrew złym przeczuciom, oddaje w końcu dzieci do podstepnego Domu Sierot, skąd wraz z innymi wysłane są do Tręblinki. „Została nagle pustka. Nie ma dla kogo żyć, dla kogo szmuglować, gotować, uprać... Wracam do domu, a tu łóżeczko stoi puste [...]. Było mi bardzo źle, nie mogłam spać, myślałam o samobójstwie”. Przeżywszy powstanie w getcie w kwietniu 1943, Bluma znajduje się z młodszą od siebie, osieroconą w getcie Halinką, nad którą roztacza macierzyńską opiekę, najpierw na Majdanku, potem w Oświęcimiu. Dzięki odwadze i energii ratuje i siebie, i Halinkę.

Nie mniej przejmujący niż relacje okrucieństw przeżytych w getcie i obozach koncentracyjnych jest opis okresu, który nastąpił po wyzwoleniu. Los, który świat obojętnością swoją na nieznanie bliżej cierpienia b. kacetowców zgotował uratowanemu dziewczynom, mógł dzielną Blumę wprowadzić w gorzkie rozczarowanie. Na szczęście, w Holandii trafiają one wreszcie na dobrych ludzi, którzy jak ojciec i matka otwierają im ramiona. „Miałymy po raz pierwszy uczucie, że ktoś się cieszy naszym ocaleniem”.

Jak widać z przytoczonych cytatów, które chciałoby się mnożyć, tekst bohaterki, wprowadzany wiernie przez autorkę, uderza prostotą spontaniczności niewinnego stworzenia, tym bardziej zasługującą na uznanie, że snując po wielu latach swoje wspomnienia jako kobieta dojrzała, żona i matka, Bluma ani razu nie spaczyła ich naturalnej spoistości próbą dostosowania do nich *ex post* innego typu refleksji, co byłoby z niewątpliwą szkodą dla przedstawionej w *Gwieździe Dawida* rzeczywistości.

Osadzenie postaci i wypadków w historii oraz ocenę zjawisk wnosi głos autorki, z taką jednak delikatnością i sympatią oddający pierwszeństwo swojemu przedmiotowi, że trudno ustalić, który z dwóch tekstów jest pierwszy, a który przytoczony. Szerokie ramy utworu potrafiły wpuścić i zmieścić także fragmenty odnalezionego pamiętnika najstarszego brata Blumy, Beniamina, który kryjąc się po lasach ocalał po to, żeby w nieznanych okolicznościach przepaść bez śladu po zakończeniu okupacji niemieckiej, jak i listy Bronisława Moskala, polskiego chłopca, który przez dwa lata chronił Beniamina przed Niemcami. Wszystkie głosy wprowadzone do tekstu, zrównoważone pod względem siły wymowy, prze-

mawiają równocześnie. Żaden, łącznie z głosem autorki, nie postuluje monopolu prawdy.

Nie tylko pod względem świeżości podania autorka i narratorka wydają się znakomicie dobrane. Podejmując temat już wiele razy na różne sposoby podejmowany — od suchych sprawozdań aż do wynurzeń lirycznych, czasem ubranych w szatę powieściową, z których nierzadko przebija pycha cierpienia — Bluma zdaje się w sobie odkrywać świadomość, jedyną słuszną, że nie to się będzie liczyło, co ona sama przeżyła. Zawsze zresztą słowo trafia obok, bo z chwilą powstania nabiera nieodmiennie cech przekazu, tzn. dokooptowania, uogólnienia, intencji, tracąc to, co w nim jest wyjątkowo własnego. Jeżeli trafiając obok trafia się czasem bardzo blisko, jak Bluma, to można już mówić o zwycięstwie prawdy.

Cytując kilka fragmentów ze słynnego wiersza Czesława Miłosa, *Campo di Fiori*, w rozdziale o powstaniu getta warszawskiego przeciwko Niemcom, Maria Czapska określa jedyny ton, jaki jeszcze w tej tematyce zdaje się być dopuszczalny. Tak wobec tematu, jak i wobec czytelnika, autorka pozostaje skromna: sama siebie podciąga pod tych, którym „język ich stał się obcy”, jakkolwiek wiadomo — choćby z osobistej pomocy jaką świadczyła zza murów skazańcom — że właśnie jej był i pozostał bliski.

Olga SCHERER

## Nadesłane nowości wydawnicze

*Third Congress of Scholars, Scientists, Writers and Artists.* Program. Str. 23. (The Polish Institute of Arts and Sciences in America; McGill University, Montreal, 16, 17 i 18. 5. 1975).

*Ferment in Ukraine.* Redakcja Michael Browne, przedmowa Max Hayward. Dokumenty V. Chornovil, I. Kandyba, L. Lukyanenko, V. Moroz i in. Str. 267 i 1 nlb. (Wyd. Crisis Press, Woodhaven, N.Y., 1973; cena: dol. 2,50).

CREVELD van (Martin). *Military Lessons of the Yom Kippur War: Historical Perspectives.* Str. 60. (Wyd. Sage Publications, Bever-

ley Hills (London, 1975 — seria: 24: The Washington Papers; cena: dol. 3,00).

BOGUSŁAWSKA (Anna). *Food for the Children.* A Diary of the Warsaw Rising-Summer 1944. Tłumaczenie Ewa Barker. Str. 201 i 3 nlb. (Wyd. Leo Cooper, London, 1975; cena £4.95).

MIŁOSZ (Czesław). *Apollo N. Korzeniowski: Joseph Conrad's Father.* Str. 121-140. (Nadbitka z *Mosaic* VI/4 — A Journal for the Comparative Study of Literature and Ideas Published by the University of Manitoba Press).

## Humor krajowy

VII Zjazd Partii pierwszy sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, otworzył słowami: Towarzysze! Proszę nie palić!...

Dowiadujemy się z Warszawy, że w ostatnim czasie z menu w restauracjach zostało wykreślone danie „kotlety pożarskie”, a na ich miejsce wstawiono: „placki kartoflane”.

W Polsce — wzorem Zachodu — postanowiono wprowadzić do szkół naukę seksuologii. Na pierwszej lekcji w jednej ze szkół warszawskich nauczycielka, trochę skrepowana tematem, w ten sposób rozpoczęła wykład: „Jak wszyscy zapewne wiedzą seksuologia jest nauką o miłości. Miłość bywa różna np. miłość mężczyzny do mężczyzny. O tym mówić nie będziemy, bo to świństwo. Bywa także miłość kobiety do kobiety — to takie samo świństwo. Jeśli idzie o miłość kobiety do mężczyzny, to przypuszczam, że na ten temat moglibyście mi powiedzieć o wiele więcej, niż ja wam. Cóż nam zatem pozostaje? Będziemy mówić o miłości do Związku Radzieckiego...”

Do restauracji wchodzi były minister oświaty w PRL. Szatniarz wita go: — Uszanowanie dla Pana Ministra! — Skąd pan mnie zna? — zdziwił się były minister. — Ja byłem nauczycielem, a Pan był naszym ministrem! — odparł szatniarz. W restauracji, przy stoliku kelner zwraca się do nowoprzybyłego: — Co Pan rozkaże, Panie Ministrze? — A pan skąd mnie zna? — spytał były minister kelnera. — Ja byłem nauczycielem, a Pan naszym ministrem! — odpowiedział kelner. Również w ubikacji babcia kłozetowa podziękowała mu za napiwek słowami: „Dziękuję, Panie Ministrze”, a na pytanie, skąd go zna odparła: — „każdy były nauczyciel zna byłego ministra”. Kiedy były minister wyszedł z restauracji spotkał obok drzwi żebraka i wrzucił mu do kapelusza 10-złotową monetę. Duże było jego zdziwienie, gdy i ten podziękował słowami: „Dziękuję, Panie Ministrze”. — Czy Pan też był nauczycielem? — zapytał żebraka. Nie odparł żebrak — ja jestem nauczycielem. Pracuję tu po godzinach...

W kolejce u rzeźnika

Rzeźnik wychodzi ze sklepu i oznajmia długiej kolejce:

— Mięsa dziś będzie mało. Żydz do domu!

Po paru godzinach znów wychodzi i oznajmia:

— Mięsa dziś nie starczy dla wszystkich. Bezpartyjni — do domu!

Znów po paru godzinach wychodzi i mówi:

— Mięsa dziś w ogóle nie będzie! Niech się wszyscy rozejdą!

Tum stojących w ogonku zaszemrał:

— Oczywiście Żydzi znowu wygrali! Pierwsi mogli pójść do domu...

Zebrała Zofia HERTZ

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

**23-10-75**

W Warszawie zmarł, w wieku 78 lat, Marian Henryk Serejski, wybitny historyk, twórca polskich badań nad dziejami historiografii.

**24-10-75**

Mieczysław Jagielski, od 1971 roku przewodniczący Głównej Komisji Planowania PRL, został zwolniony z tego stanowiska, zachowując tytuł Wicepremiera i członkostwo Komitetu Centralnego. Na jego miejsce został mianowany dotychczasowy minister Przemysłu Maszynowego, Tadeusz Wrzeszczyk, z tytułem Wicepremiera. Również Wicepremierem został mianowany Tadeusz Pyka, z-ca przewodniczącego Głównej Komisji Planowania. ■ W uczelniach pedagogicznych w Orle i Kijowie otwarto wydziały szkolące polskich nauczycieli języka rosyjskiego. Do tych uczelni ma zostać skierowanych ponad 300-tu nauczycieli. Ponadto doksztalcaniem polskich rusycystów ma się zająć także Instytut im. A. Puszkina w Moskwie.

**25-10-75**

W Warszawie zmarł Mieczysław Wallis, historyk sztuki, krytyk artystyczny.

**26-10-75**

Nagrody Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie za prace naukowe opublikowane w 1974 roku przyznano: R. Bierzankowi („Załatwianie sporów międzynarodowych 1945-1973”), Januszowi W. Gołębiowskiemu („Ideologia i polityka współczesnej socjal-demokracji”) i Józefowi Kokotowi („Od Poczdamu do Helsinek”). ■ Minister finansów PRL, H. Kisiel, podał że łączny stan oszczędności PKO i w bankach spółdzielczych wynosi 295 miliardów złotych.

**29-10-75**

Na IX Konkursie chopinowskim w Warszawie pierwszą nagrodę otrzymał Polak — Krystian Zimmerman (lat 19). Dalsze trzy nagrody otrzymali pianiści sowieccy. Ponadto Zimmerman otrzymał szereg nagród poza regulaminem. Mianowicie anonimową nagrodę dla laureata I-szej nagrody w wysokości 25.000 zł.; nagrodę im. Zbigniewa Drzewieckiego, ufundowaną przez jego uczniów, i wreszcie nagrodę im. Anny Godlewskiej, ufundowaną przez J. Godlewskiego ze Szwajcarii.

**1-11-75**

W Moskwie dwunastu czołowych intelektualistów rosyjskich solidaryzowało się z przyznaniem pokojowej Nagrody Nobla A. Sacharowowi. Deklarację, którą wręczono korespondentom zagranicznym w Moskwie podpisali m.in. A. Amalrik, Roy Miedwiediew, gen. Grigorenko, rzeźbiarz E. Nieizwiestnyj. ■ Rozpoczynają się prace przygotowawcze przy budowie wielkiego zbiornika wodnego na rzece Warcie w woj. sieradzkiem, o długości 20 km i szerokości 3 km. Ma on nawodnić ponad 54 tysiące ha okolicznych terenów. Rozpoczęto wykup gospodarstw, położonych na terenie przyszłego dna zbiornika. ■ Śródkowy, 270-ciokilometrowy, odcinek Wisły ma zostać uregulowany do 1985 roku kosztem 3 i pół miliarda złotych. Koryto rzeki ma uzyskać całą szerokość 150-225 m.

**5-11-75**

Bałtyk jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych mórz Świata. Martwa strefa na dnie Bałtyku zajmuje do 20 %. Najsilniejsze zanieczyszczenia występują w zatoce fińskiej i botnickiej oraz w rejonie: Sztokholmu, Göteborga, Malmö, Rostoku i Gdańska. ■ W Warszawie miały miejsce rozmowy z ministrem Handlu Zagranicznego Francji w sprawie zwiększonego eksportu węgla, miedzi i siarki z Polski do Francji.

**11-11-75**

Andriej Sacharow zwrócił się do Prezydenta Giscard d'Esteing z apelem by zainterweniował u Leonida Breżniewa w sprawie więźniów politycznych w ZSSR. Przypominamy, że Prezydent Francji 24. 10. br., przy przyjmowaniu listów uwierzytelniających od nowego ambasadora Chile we Francji, poruszył sprawę uwolnienia więźniów politycznych w Chile.

**12-11-75**

Władze sowieckie odmówiły A. Sacharowowi wyjazdu do Oslo dla odebrania nagrody pokojowej Nobla, co miało nastąpić 10. 12 br. P.H. Sacharowa, przebywająca obecnie we Włoszech, oświadczyła, że sytuacja jej męża jest coraz bardziej niepokojąca i że po raz pierwszy obawia się on o swoje życie. Jednocześnie władze sowieckie pozbawiły obywatelstwa sowieckiego Władimira Maksimowa, redaktora pisma *Kontynent*.

**17-11-75**

Zmarł w Krakowie, w wieku 81 lat, dr Kazimierz Szwarzenberg-Czerny, b. konsul RP w Rzymie, Hamburgu i Pile, b. wykładowca na KUL-u, dziennikarz i publicysta. Firmował *Tygodnik Powszechny* w okresie kiedy znajdował się on w gestii Paxu.

**18-11-75**

W kościele Karola Boromeusza na Powązkach odbyła się msza żałobna za Marką Hłaskę po czym jego zwłoki, sprowadzone przez matkę z Niemiec, zostały złożone na cmentarzu powązkowskim.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**10-9-75**

Przybyła do Rzymu oficjalna pielgrzymka katolików węgierskich (350 osób, w tym 70-ciu księży) pod przewodnictwem Arcybiskupa Ijjasza i 8-miu biskupów. Papież przyjął 5-ciu biskupów węgierskich, mianowanych w styczniu bieżącego roku.

**7-10-75**

W Rzymie została otwarta wystawa wydawnictw Pallotinum, zastrżonej placówki wydawniczej, która ma w dorobku kilkadziesiąt pozycji wydanych w swych zakładach w Poznaniu i w Paryżu. ■ Dr Jan Ostrowski, który od 33 lat prowadził w londyńskim *Orle Białym* stałą kronikę kulturalną i dział recenzyjny, ustąpił z redakcji na skutek „zmian zaszyłych w obsadzie *Orla Białego* oraz w polityce redakcyjnej”.

**10-10-75**

W okresie od 10-go do 15-go października przebywała w Rzymie z okazji Roku Świętego pielgrzymka z Kraju licząca około 2 tysięcy osób, obejmująca delegacje ze wszystkich diecezji. Około 80-ciu osobom odmówiono paszportów (niemał wszystkim studentom). Na ich miejsce władze państwowe „wkręciły” swoich kandydatów. Pielgrzymka została przyjęta przez Papieża, który wyraził swą „wdzięczność” polskim katolikom za „przykład wypróbowanej wierności i odważną wiarę”.

**17-10-75**

Przez tydzień przebywała w Rzymie z okazji beatyfikacji matki Marii Teresy Ledóchowskiej pielgrzymka z Kraju, licząca około 600 osób (w tej liczbie księża z metropolii krakowskiej, ze zgromadzeń misyjnych i b. więźniów z Dachau). W inwokacji, podczas aktu beatyfikacji w dniu 19. 10. br., Paweł VI przemawiał po niemiecku, co wywołało rozgoryczenie polskich pielgrzymów i zbojkotowanie przez polskich biskupów przyjęcia w ambasadzie austriackiej przy Watykanie (episkopat austriacki postulował beatyfikację). Papież mógł doskonale przemawiać w języku „neutralnym” tj. po włosku. Matka Ledóchowska (działała w czasie zaborów) umarła w Rzymie, a jako założycielka zgromadzenia klawerianek poświęciła swe życie misjom w Afryce. Radio watykańskie nazwało nową błogosławioną „Austriaczką polskiego pochodzenia” (!).

**19-10-75**

W Lens (Francja) odbył się walny zjazd Kongresu Polonii Francuskiej. Prezesem został ponownie wybrany Józef Kudlikowski.

**22-10-75**

Zmarł w Londynie, w wieku 67 lat, Sylwester Karalus, b. urzędnik MSZ, działacz polityczny w ośrodku londyńskim. ■ W paryskim wydawnictwie Albin Michel ukazała się książka Sławomira Mrożka „Les émigrés” w adaptacji francuskiej Gabriela Meretika.

**24-10-75**

W Paryżu odbyło się kollokwium badań historycznych na temat „La Pologne et la France dans la guerre et la résistance de 1939 à 1945” pod patronatem ministrów spraw kombatanczkich PRL i Francji.

**25-10-75**

Doroczną nagrodę — £.250.00 — tygodnika *Wiadomości* w Londynie za najlepszą książkę emigracyjną ub. roku otrzymał Czesław Miłosz za tom wierszy „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”, wydany przez Instytut Literacki. Ponadto trzy nagrody, po £.50.00 każda, ufundowane przez Jana Badeniego za najlepsze teksty drukowane w *Wiadomościach* w 1974 roku otrzymali: Wacław Iwaniuk, Roman Karst i W. A. Zbyszewski. ■ Zmarł we Włoszech prof. Carlo Verdiani, wykładowca uniwersytetu we Florencji, wybitny tłumacz i popularyzator literatury polskiej.

**29-10-75**

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie dyskusyjne na temat „Polonia 1975 we Francji” zorganizowane przez niezależne polskie organizacje we Francji. ■ W Sztokholmie odbył się kolejny wieczór Towarzystwa Przyjaciół *Kultury*, poświęcony współczesnej polskiej i szwedzkiej muzyce i poezji. Słowo wstępne i komentarze wygłosiła p. E. Lipko-Lipczyńska. ■ W Sztokholmie w galerii Gula Paviljongen została otwarta wystawa obrazów p. Janiny Jasińskiej-Luterek.

**5-11-75**

Nagrodę Związku Polskich Dziennikarzy w Londynie otrzymał w bież. roku Stanisław Kudlicki. Jest on akredytowanym korespondentem pism emigracyjnych w Bonn. Pisuje pod pseudonimem Stanisław Czechanowski.

**6-11-75**

W galerii „L'Expression” w Strasbourgu została otwarta wystawa obrazów Jana Lebensteina.

**7-11-75**

W 58-mą rocznicę Rewolucji Październikowej odbył się w Londynie, w Westminster Central Hall, meeting otworzony przez Leonarda Schapiro, baronową Seear, J. Rankę i dr A. Ramishvili. Adam Ciołkosz wygłosił przemówienie o krajach satelickich, podbitych przez ZSSR. Meeting zamknęto rezolucją potępiającą politykę sowiecką wobec krajów wchodzących w skład ZSSR jak Ukraina, Białoruś, kraje Bałtyckie, etc. jak i wobec podbitych krajów satelickich. ■ W dniach 7-9 listopada odbyła się w Waszyngtonie Konferencja Polonii Wolnego Świata „Polonia 75”. W konferencji wzięło udział 50 delegatów, reprezentujących 18 organizacji z 11 krajów. Konferencja uchwaliła wspólną deklarację ideową i stwierdziła potrzebę ciągłości współpracy Polonii wolnego świata. Następny zjazd ma się odbyć w roku 1978 w Kanadzie. Konferencja zostanie omówiona w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

**10-11-75**

Kanclerz austriacki, Bruno Kreisky, oskarżył Szymona Wiesenthala, kierownika ośrodka dokumentacji żydowskiej w Wiedniu, o współpracę z hitlerowcami w czasie wojny. Kanclerz oświadczył, że w razie wytoczenia mu procesu o zniesławienie przez S. Wiesenthala będzie prosił parlament o zniesienie swego immunitetu poselskiego, by mógł brać udział w tym procesie.

**13-11-75**

W Rzymie odbyło się publiczne zebranie zorganizowane przez włoską partię chrześcijańsko-demokratyczną w sprawie Sacharowa. W zebraniu tym wzięła udział Helena Sacharowa. Przemawiali: Sacharowa, Maksimow, Bohumil, Bunza (b. poseł do parlamentu czeskiego) oraz korespondent *Kultury*, D. Morawski. Grupa posłów chadeckich złożyła interpelację do rządu włoskiego, domagając się stwierdzenia, że ZSSR pogwałciło umowę w Helsinkach.

**14-11-75**

Jan Nowak, dyrektor Sekcji Polskiej Radia Free Europe w Monachium, podał się do dymisji ze względu na masowe redukcje personelu i ograniczenia budżetowe. Straty personelu od roku 1968 do listopada 1978 wyniosą 40 % stanu. Nie mogąc temu, mimo licznych wysiłków, zapobiec — Jan Nowak zdecydował się na wcześniejsze odejście na emeryturę; był dyrektorem rozgłośni od chwili jej powstania tj. od 3 maja 1952 roku. Tymczasowym zastępcą został Zygmunt Michałowski.

**16-11-75**

Na terenie OPON w Sztokholmie odbyła się uroczystość odsłonięcia i poświęcenia pomnika katyńskiego. Pomnik został ufundowany przez polską emigrację w Szwecji.

**23-11-75**

W Rzymie odbył się odczyt Stefana Kisielewskiego na temat „Wspomnienia polityczne”, zorganizowany przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

3 i 4. 10. br. odbyło się na Uniwersytecie w Detroit sympozjum na temat nacjonalizmu w ZSSR i Europie Wschodniej za rządów Breżniewa i Kosygina. W sympozjum uczestniczyli naukowcy z USA i Kanady. Kilka referatów dotyczyło spraw polskich. W sesji na temat „Rozwój wydarzeń w Polsce od roku 1964” uczestniczyli: M. K. Dziewanowski z Uniwersytetu bostońskiego, Jarosław A. Piekałkiewicz z Uniwersytetu w Kansas, Vincent Chrypiński z Uniwersytetu windsorskiego (Kanada) i Wienczysław Wagner z Uniwersytetu Detroit. Ponadto w sesji na temat „Kwestia żydowska w ZSSR od 1964 roku” referat pt. „Sytuacja Żydów w Polsce od 1964 roku” wygłosił Włodzimierz Rozenbaum z Uniwersytetu Indiana (Kokomo). ■ W dniach 8-11. 10. br. w Atlancie (stan Georgia) odbyła się doroczna ogólnoamerykańska konferencja Amerykańskiego Stowarzyszenia dla Postępu w Studiach Sławistycznych. Do ciekawszych należała sesja kierowana przez W. W. Kulskiego z Uniwersytetu Duke, poświęcona stosunkom polsko-niemieckim, sesja Teresy Rakowskiej-Harmstone z Uniwersytetu Carleton w Kanadzie na temat problemów narodowościowych w społeczeństwach komunistycznych. Na tej sesji Włodzimierz Rozenbaum wygłosił referat na temat kampanii anty-syjonistycznej, demonstracji studenckich i sytuacji Żydów w Polsce w latach 1967-1968. ■ 1 listopada br. w pawilonie Dorothy Chandler w Music Center w Los Angeles odbyła się amerykańska premiera „Requiem” Romana Maciejewskiego. W koncercie pod batutą Rogera Wagnera wzięło ogółem udział 235-ciu wykonawców. Była to jedna z najkosztowniejszych imprez w historii Music Center (ponad 32.000 dolarów). Na koncert przyjechał specjalnie Artur Rubinstein z żoną

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

Wydawca *Tygodnika Polskiego* w Melbourne, Spółdzielnia „Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki” w Melbourne, preliminowała na to wydawnictwo w budżecie na rok 1975/76 kwotę \$A 50.000. ■ Inż. Krzysztof Łańcucki został ponownie wybrany prezesem Koła Techników Polskich w Victorii; wiceprezesem został inż. Marian Juszyk, sekretarzem inż. Jerzy Król, a skarbnikiem inż. Edmund Łobaza. Wszyscy należą do młodego pokolenia polskich inżynierów w Australii. ■ W tegorocznym finale konkursu polskiej nowocześniejszej pieśni sakralnej „Sacrosong 75”, który miał miejsce w Melbourne (w Sanktuarium Maryjnym w Essenden) 14. 9. br. wzięło udział 40 osób, rekrutujących się w większej części z dzieci i młodzieży urodzonych w Australii. Konkursy „Sacrosong” cieszą się dużą popularnością i ściągają młodych śpiewaków również i z innych stanów Australii. Pierwszy tego rodzaju konkurs odbył się 3 lata temu z inicjatywy jezuity O. Wiesława Słowika. ■ Ukazały się nowe pozycje wydawnicze polskich pisarzy, mieszkających w Australii: „Żywica” — zbiór wierszy Ludwika Tabaczynskiego z Perth (W.A.) nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, „Ucieczka za druty” Marii Bonieckiej z Sydney oraz „Emigrancka opowieść” Andrzeja Chciuka z Melbourne — obie pozycje nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. ■ Dziewięciu uchodźców politycznych, którzy po upadku południowego Wietnamu uzyskali, wraz z tysiącem innych, azyl w Australii musiało podpisać specjalną deklarację, że w czasie swego pobytu w Australii nie będą brali udziału w akcji politycznej. Na zapytanie w senacie, czy podobną deklarację musieli również podpisać niektórzy z uchodźców politycznych

z Chile, minister Spraw Zagranicznych Australii, Don Willensee, odpowiedział negatywnie. ■ Założycielka organizacji „People Against Communism”, p. Jennifer McCallum z Melbourne, złożyła rezygnację ze stanowiska przewodniczącej tej organizacji z powodu ustawicznych groźb zamachu na życie jej męża, płk. lotnictwa H. McCalluma i jedenastoletniego syna, jakie otrzymywała od nieznanymi osobników. „People Against Communism” istnieje od roku, liczy 3.000 aktywnych członków i nie jest organizacją faszystowską. ■ 4. 10. br. odbyła się w Sydney niecodzienna impreza — zjazd australijskiej gałęzi roku Platerów. Organizatorem zjazdu był p. Melvyn de Plater, prawnik Lucjana Platera, który osiadł w Australii z początkiem 1840 roku. W czasie zjazdu otwarta była wystawa „australijskich” pamiątek rodzinnych Platerów. ■ Premier Rządu RP na uchodźstwie, mec. Alfred Urbański, odwiedził skupiska polskie w Australii, zaproszony przez Radę Naczelną Organizacji Polskich w Australii. Wizyta jego trwała 6 tygodni (od 2. 9. br.). Premier Urbański spotkał się z życzliwym przyjęciem Polaków i Australijczyków. ■ Polski ośrodek wypoczynkowy dla młodzieży, „Polana”, znajdujący się w podgórskiej miejscowości Healsville koło Melbourne, otrzymał dotację rządu stanowego (Victoria) w wysokości \$A 9.075,00 przeznaczoną na rozbudowę ośrodka. „Polana” jest własnością Związku Polaków w Melbourne i istnieje już od 15-tu lat. ■ W konkursie na pomnik-fontannę, rozpisany przez rząd stanu Victoria, drugie miejsce i nagrodę w wysokości \$A 3.500,00 uzyskał Tadeusz Tomaszewski z Melbourne. Tadeusz Tomaszewski jest również autorem płaskorzeźby Mikołaja Kopernika, która została umieszczona przez premiera Australii w obserwatorium astronomicznym w Siding Spring. ■ W zlocie z okazji 25-lecia harcerstwa w stanie Victoria, który odbył się w ośrodku „Polana” 5. 10. br., wzięło udział blisko 400 polskich harcerek, harcerzy, zuchów i sympatyków ZHP. Z tej okazji hufiec „Podhale” (Melbourne) wydał specjalną odznakę pamiątkową.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

Specjalna komisja parlamentarna, której zadaniem jest zbadanie wszystkich aspektów polityki imigracyjnej, złożyła swój pierwszy raport. Komisja, na 50-ciu publicznych zebraniach w różnych miejscowościach, wysłuchała opinii jednostek i organizacji, zbadała ponad 400 złożonych memoriałów oraz setki listów z różnymi sugestiami. Raporty tej komisji będą stanowiły podstawę do zapowiedzianej, nowej ustawy imigracyjnej. Komisja wypowiada się za wprowadzeniem systemu kontyngentów. Liczba imigrantów, dopuszczanych rocznie, będzie uzależniona od sytuacji gospodarczej, od wymagań rynku pracy. Sugeruje się górną granicę między 0,5 % do 1 % ogółu ludności — zawsze jednak z uwzględnieniem sytuacji na rynku pracy. Komisja stwierdza, że Kanada nie jest w stanie ani przyjąć, ani wchłonąć nieograniczonej ilości imigrantów. Komisja wypowiada się za obniżeniem w punktacji kwalifikacyjnej rubryki „wykształcenie” z 20-tu na 10 punktów (w obowiązującej obecnie ustawie kandydata na imigranta kwalifikuje się na zasadzie punktacji za różne właściwości: wiek, zawód, wykształcenie, znajomość języka angielskiego względnie francuskiego, stan rodzinny, miejsce, do którego się udaje itp. Aby otrzymać wizę imigracyjną kandydat musi osiągnąć ponad 50 punktów na ogólną ilość 100 punktów). Punkty za wykształcenie stanowią swoistą dyskryminację osób niewykwalifikowanych. Do kategorii osób, które nie mogą otrzymać wiz imigracyjnych włączono: członków organizacji terrorystycznych, porywaczy samolotów, handlarzy narkotykami, alkoholików i elementy wywrotowe. Komisja podkreśliła w swoim raporcie, że system kontyn-



gentów nie może mieć charakteru dyskryminacyjnego, gdyż Kanada jest państwem wielorasowym i wielokulturowym. Kwoty kontyngentowe nie będą obowiązywały wobec uchodźców politycznych i osób uprawnionych do uzyskania azylu. ■ Na walnym zjeździe delegatów Związku Narodowego Polskiego (tzw. Sejmie) prezesem Związku wybrano ponownie Kazimierza Mytkowskiego. Zlikwidowano ostry zatarg z największą Gminą 1, która została na poprzednim Sejmie (sprzed 2-ch lat) zawieszona. Gmina ta jest obecnie restytuowana w swoich prawach i jej przedstawiciele weszli w skład władz naczelnych. ■ Senator P. Yuzyk wszedł w skład kanadyjskiej delegacji na Zgromadzenie Ogólne ONZ. Wyznaczenie go ma na celu umożliwienie mu przeprowadzenia wśród delegatów — szczególnie w komisji spraw ludzkich — interwencji na rzecz więzionych przez władze sowieckie Ukraińców.

B. H.

## KRONIKA NIEMIECKA

Na licytacji w Monachium sprzedano rozprawę Mikołaja Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium* (wyd. z 1543 r.), za sumę 160 tys. marek. ■ 7 września br. w bońskim *Auswärtiges Amt* parafowano dwie umowy: zryczałtowana kwota tytułem zwrotu „wypłaconych rent” — 1,3 mld. marek i kredyt w wysokości 1 mld. marek oraz protokół dotyczący przesiedleń 120-125 tys. Niemców. ■ Dr hab. Erwin Josef Smolarek alias Adler, b. polski seminarzysta, późniejszy uchodźca i pracownik monachijskiego *Institut für Osteuropakunde*, został aresztowany w ČSSR i wydany polskiej bezpiece. W tajnym procesie skazano go na 10 lat więzienia za rzekome „szpiegostwo na rzecz jednego z państw kapitalistycznych”. ■ Ósma konferencja komisji mieszanej PRL-NRF do spraw rewizji podręczników szkolnych (geografia i historia), znajdująca się pod protektorem UNESCO, obradowała w Warszawie. Polscy i niemieccy historycy poszli na kompromis w ocenie wielu ważnych zagadnień politycznych, gospodarczych i kulturalnych w stosunkach PRL-NRF w okresie powojennym. ■ Oddziały Wartownicze i Duszpasterstwo O.W. i Technicznych przy *US-Army*, obchodzący uroczystości w Mannheim XXX-lecie istnienia. Ks. prałat płk Juliusz Janusz pełni obowiązki Naczelnego Kapelana O.W. od 1945 roku. Na uroczystości przybył z Rzymu ks. bp Władysław Rubin. Episkopat Polski reprezentował ks. bp Mikołaj Sasinowski z Łomży. Obecny był korpus oficerski *US-Army*, przedstawiciele zarządu miasta, niemieccy i polscy duchowni oraz posłowie z ramienia CDU i SPD. ■ Gwałtownemu zmniejszeniu — o 14 % — uległ polski eksport mięsa, drobiu i ryb do NRF. Polska zakupi w tym kraju duże ilości zboża. ■ Zespół pieśni i tańca *Śląsk* odbył drugie tournée po Republice Federalnej. ■ Polskie linie Lotnicze *Lot* przewiozły w 1974 roku 80.578 pasażerów na trasie Warszawa-Frankfurt. ■ Podczas „Dni Polskiej Sztuki Teatralnej” w Berlinie Wschodnim, wystawiono m.in. *Tango Mroźka* i *Wesele* Wyspiańskiego. Obydwie sztuki spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. W NRD zauważa się pewną „odwilż” na odcinku kulturalnym. Mimo to, urządzenie polskiego festiwalu w stolicy NRD nie było wcale łatwe. *Trybuna Ludu* pisze o „długich i zmuśnych” przygotowaniach. ■ Władze PRL utrudniają firmom zachodniemieckim otwarcie przedstawicielstw w Warszawie. Reżym od szeregu lat utrzymuje całą sieć podobnych placówek w NRF. ■ *Hannoversche Allgemeine Zeitung*: „Inną sprawą jest to, czy przesiedleńcy będą szczęśliwi w Republice Federalnej. Już część tych, którzy przybyli dotychczas, rozczarowana chce powrócić do Polski. Nowoprzybyłym będzie jeszcze trudniej. Przybędą do kraju nawiedzony bezrobociem. Duże przeszkody stoją na drodze do ich integracji”. ■ Znany z przyjaznego stosunku do Polski Klaus von Bismarck zrezygnował z kierownictwa najwięk-

szej w NRF rozgłośni radiowo-telewizyjnej *Westdeutscher Rundfunk*. ■ Przymusza się, że w br. liczba zachodniemieckich turystów odwiedzających PRL osiągnie cyfrę 200 tysięcy. ■ Muzeum Narodowe w Krakowie zorganizowało w Hamburgu wystawę portretu polskiego. ■ Kardynał Wojtyła spotkał się w Berlinie Wschodnim z kard. Bengsem. ■ Ministrowie spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher (NRF) i Stefan Olszowski podpisali 9 października br. w Warszawie porozumienie o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym, o udzieleniu Polsce przez NRF kredytu finansowego. Ponadto dokonano „zapisu protokolarnego” dot. wyjazdów Niemców z PRL. ■ Stanisław Kopa, szef Misji Wojskowej PRL w Berlinie Zachodnim, został odwołany ze stanowiska. ■ Prof. Eugeniusz Zaleski z Paryża, wygłosił odczyt w Moguncji pt. „Zmiany w systemie ekonomicznym ZSSR i ich polityczne implikacje”, na kongresie Niemieckiego Towarzystwa Nauk Wschodnich. ■ Na XXVII Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem — 4 tys. wydawców wystawiło 72 tys. nowych tytułów. Polskie publikacje emigracyjne zostały zaprezentowane na zbiorowym stoisku. Wydawnictwa *Instytutu Literackiego*, *Polonii Book Fund*, *Odnowy*, *Polskiej Fundacji Kulturalnej* oraz książki w języku rosyjskim *Overseas Publication Interchange*, budziły duże zainteresowanie. Sześć rozgłośni radiowych i zachodniemiecka TV, poświęciły stoisku sporo miejsca w swoich programach. ■ Gabinet NRF zatwierdził umowę o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym, podpisaną w Warszawie między PRL a NRF. ■ W Duisburgu otwarto wystawę polskiej grafiki i malarki Teresy Janoty-Wierzbianskiej. Wystawa spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem niemieckiej krytyki. ■ Boński dziennik *Die Welt* omówił szczegółowo okoliczności towarzyszące skierowaniu telegramu gratulacyjnego do Sacharowa, przez pięciu polskich dysydentów. ■ Film Krzysztofa Kiesłowskiego *Personel*, otrzymał Wielką Nagrodę Międzynarodowego Festiwalu Filmów w Mannheim. ■ Orkiestra warszawskiej Filharmonii Narodowej pod batutą Witolda Rowickiego, wystąpiła z koncertami w bońskiej *Beethoven-Halle* oraz w *Westdeutscher Rundfunk* w Kolonii. ■ Prof. Krzysztof Skubiszewski, wybitny znawca prawa międzynarodowego z Poznania, nie otrzymał paszportu na wyjazd do NRF, gdzie miał wygłosić serię odczytów. ■ W Frankfurcie nad Odrą w trakcie budowy znajduje się centrum katolickie — *Dom im. Maksymiliana Kolbe*. Ośrodek, powstający dzięki znacznej pomocy finansowej zachodniemieckiej organizacji *PAX-Christi*, ma służyć jako miejsce spotkań niemieckich i polskich katolików. ■ W Warszawie ukazała się książka Mieczysława F. Rakowskiego pt. „Dymisja kanclerza”. Redaktor *Polityki* wyraźnie pisze o roli agenta Guillaume'a, jako „sprawcy z przekonania w służbie NRD”, który doprowadził do upadku Brandta. ■ 12-osobowa ekipa polskich konserwatorów odnawia freski w zamku Augustsburg w miejscowości Brühl k/Bonn. Koszt prac konserwatorskich wyniesie 850 tys. marek. ■ Galeria *Runhof* w Kolonii, po raz trzeci urządziła wystawę obrazów i rzeźb polskich artystów sztuki naiwnej. ■ Znana powieść historyczna Tadeusza Nowakowskiego *Die Radziwiłły*, ukazała się obecnie jako *pocket book*, w ramach programu *Deutscher Taschenbuch Verlag*. ■ Władze PRL udzieliły w październiku br. zgodę na przesiedlenie się do NRF 2.533 osobom. ■ Przewodniczący kościoła protestanckiego Hesji-Nassau, dr Helmut Hild, konferował w Warszawie z wiceministrem Zdrowia i Opieki, Józefem Grendą oraz z dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań — Kazimierzem Kąkolem. Kościół ewangelicki w NRF popiera finansowo budowę Ośrodka Zdrowia Dziecka w Warszawie. ■ Zdaniem tygodnika *Der Spiegel*, sprawcami „sześciu pożarów w stolicy Polski, wzniesionych przy użyciu fosforowych zapalników”, są „ludzie Moczara”. W miejscach przestępstw, podpalacze rozrzucili ulotki o treści: „Mieczem i ogniem pozdrawiamy Zjazd Partii”. ■ Nakładem *Goverts Verlag* we Frankfurcie nad Menem, ukazała się książka o historii wywiadu izraelskiego

pt. *Israels langer Arm* (Długie ramię Izraela), pióra Janusza Piekalkiewicza. ■ Jörg K. Hönsch i Gerlind Nasarski, wydali w serii *Edition Zeitgeschehen* (*Fackelträger-Verlag*, Hannover), studium pt. *Polen: 30 Jahre Volksdemokratie* (Polska 30 lat demokracji ludowej). ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z 3. 9. 75 potwierdza informację z Warszawy o uzgodnieniu przez kardynała Königa wyjazdu do Austrii 30-tu polskich księży, którzy będą czasowo zatrudnieni jako pomocnicy proboszczów na terenie Archidiecezji wiedeńskiej, odczuwającej rosnący brak księży.

Andrzej J. CHILECKI

## Z OSTATNIEJ CHWILI

18. 11. 75 zmarł w Warszawie, w wieku 89 lat Juliusz Poniatowski, żołnierz Legionów Marszałka Piłsudskiego, współzałożyciel w 1915 roku PSL „Wyzwolenie”, minister Rządu Lubelskiego w 1918 r., kurator Liceum Krzemienieckiego w latach 1927-34, Minister Rolnictwa w latach 1934-39. Po 1939 r. internowany w Rumunii, w 1941 r. na Środkowym Wschodzie, kierował wydawnictwami Polskiej YMCA we Włoszech przy 2-im Korpusie. W roku 1956 wrócił do Kraju, gdzie współpracował w dziedzinie rolnictwa z Polską Akademią Nauk.

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

## KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15



TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

## EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły: WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40

## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużym zainteresowaniem i aprobatą przeczytałem artykuł p. Marii Hirszowicz „O politycznej roli inteligencji” (*Kultura* Nr 7/8, 1975). Z przytoczonych przez Autorkę cyfr wynika dość jasny wniosek, że w składzie inteligencji następują dość istotne zmiany — rośnie w gwałtowny sposób liczba inżynierów, agronomów, ekonomistów, organizatorów pracy. W Rosji sowieckiej nie był to diabelski wymysł stalinowskiej administracji, ale (po dyletancku przeprowadzone) ogólne prawo rozwoju wszystkich uprzemysłowionych społeczeństw. Jak wiadomo także w USA co najmniej połowę „inteligencji” z wyższym wykształceniem stanowią inżynierowie, agronomowie, ekonomiści itd. Ludzie ci także mają swój konkretny zawód i też starają się trzymać „z dala od polityki”, na co wielu autorów w pismach swych wskazywało.

W Polsce, w „socjalizmie”, stykają się inżynierowie zaraz u początku swej kariery zawodowej z oporem robotników przeciw swym podstawowym zadaniom — postępowi technicznemu i organizacyjnemu, celowym planom reorganizacji pracy, podnoszeniu wydajności pracy robotniczej itd. Student czy młody inżynier już w czasie przymusowych praktyk styka się bezpośrednio z „reakcyjnością” robotników, którzy nie chcą podnoszenia wydajności ich pracy. Oto dwa trochę anegdotyczne przykłady. Młody student rozpoczął swą pracę w dziale wojskowym fabryki im. Kasprzaka w Warszawie. Przyjmując z dobrą wiarą hasła partii, w ciągu kilku dni podniósł wydajność swej pracy o 500 % dość prostym zabiegiem. Majster nadzorujący przyszedł do niego z oskarżeniem: — „Co pan robi? Przynosi mi pan szkodę!”. A robotnicy zaczęli wcale głośno mówić: — „Stachanowiec się znalazł!”. Inny, za poradą swego ojca dyrektora departamentu w ministertwie przemysłu lekkiego, poszedł już jako inżynier do pracy na rok do fabryki obrabiarek. Szybko się zorientował, że wydajność pracy można znacznie podnieść. Po kilku miesiącach podniósł wydajność swej pracy o 500-600 %. Spotkało się to ze stanowczym oporem robotników. Pewnego dnia zaczęły śruby fruwać i jedna z nich uderzyła go w głowę i poraniła. Fakty takie powtarzają się corocznie. Zwane są przez inżynierów i socjologów „sabotażem robotniczym”. Już młodzi inżynierowie śmieją się z hasel partii o przodującej roli klasy robotniczej; między sobą mówią o „reakcyjności klasy robotniczej”. O „sabotażu robotniczym” pisało nawet kilku socjologów pracy nawet w Polsce.

Ten opór robotników znaczy postawę inteligencji technicznej, która znajduje się między sloganami partii a faktyczną postawą robotników. Nie można tego nazwać współczesną „obłomowszczyzną”. Dlatego inżyniera czy organizatora pracy wyposaża się we władzę nad robotnikami. Jego władza w ustroju socjalistycznym jednak rozciąga się często tylko na maszyny i urządzenia techniczne — wielu inżynierów chce bowiem „świętego spokoju”.

W socjalnym położeniu inżynierów często szukać należy źródeł ich postawy psychicznej, tak trafnie scharakteryzowanej przez Autorkę. Inżynier, agronom itd. jest poważnie entuzjastą swej pracy, jest związany ze swą fabryką czy oddziałem fabrycznym, związany z produktem swej pracy, chce jej dobra.

W odróżnieniu od tego, robotnik odnosi się do swego zakładu pracy trade-unionistycznie, obcy jest fabryce, obcy produktowi swej pracy — jest „wyalienowany”. Duża część inżynierów jest często obca „polityce”, czasem obca narodowej literaturze i życiu artystycznemu, ale za to nie jest „wyalienowana”, nie obca swej pracy, swemu zakładowi pracy, często odnosi się z szacunkiem do swych przełożonych.

Inżynier jest wskutek swego stanowiska częścią aparatu kierowniczego przedsiębiorstwa. Praca jego jest zhierarchizowana, w tej hierarchii zajmuje coraz wyższe stanowisko — w miarę swych uzdolnień i awansu. To nie jest po prostu karierowiczostwo czy uległość wobec hierarchii partyjnej. Większość inżynierów czy administratorów ucziwie ustosunkowuje się do swych obowiązków i do swej pracy. To nie jest „obłomowszczyzna”, która należy do innej epoki historycznej i obyczajowej. Wynalazczość, odkrycia techniczne i organizacyjne, udoskonalenia produktu pracy są obowiązkiem pracy inżynierów. Inżynier jest zainteresowany „wartością użytkową” produktu swej pracy, w odróżnieniu od robotnika, którego stosunek do produktu swej pracy jest „trade-unionistyczny”. Sprawa inżynierów wymaga innych metod analizy, innego doboru środków i metod, nie można ich podciągać po prostu pod ogólne miano „inteligencji” — choćby z przymiotnikiem „techniczna”. Samo pojęcie „inteligencja” należy do zamierzchłej epoki; większość tej inteligencji — inżynierowie, ekonomiści, agronomowie, organizatorzy pracy itd. jakoś nie mieści się w tym pojęciu lub mieści z coraz większym trudem.

„Obłomowych” jest dużo w każdej warstwie społecznej, ale nie wszystkie okazy fauny przedhistorycznej zasługują na miano nowości. Do inżynierów należy bezsprzecznie przyszłość.

Ciekawy artykuł Marii Hirszowicz nasuwa wiele innych uwag, które z aprobatą przyjmuję; wzbogacił on niewątpliwie dotychczasowe dyskusje o inteligencji.

Al.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Londyn, 29 października 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mimo to, że liczę się z cennym czasem Pana, pragnę zamiast wstępu napisać coś o sobie, aczkolwiek nie jest to w moim stylu.

Od lat osiemnastu, czyli od czasu, gdy udało mi się zbiec przed prześladowaniem — z Polski pod rządami reżymu komunistycznego, jestem stałą klientką kiosku „Ogniska”, gdzie kupuję *Kulturę* i te najlepsze dzieła wydane na emigracji, które pozwoliły mi, a raczej ułatwiły, poznanie przeróżnych a nieznanym mi spraw emigracyjnych, jej dziejów, walecznych bojów na polu chwały i tych między sobą — po skończonej wojnie.

Oczywiście nie jest to poznanie dogłębne, poznanie wyczerpujące temat tak spraw, jak i ludzi, ale pozwoliło mi wejść w pewne sprawy. Co prawda — to wejściem frontowym... dla gości. A ja wolałabym — od strony kuchni. Ale niech tam! Dobrze i to. Efekt? Uczucia mieszane! Na plan pierwszy wysuwa się jednak nasza polska — jakże polska — wada: swary, małe i większe zawiści, zazdrość, brak szczerości, nepotyzm, kameralność spraw, które winny znać się — sprawami wszystkich Polaków — którzy mają pretensje do przynależności do emigracji politycznej.

Każda prawda wypowiedziana publicznie, na jakimś zebraniu, budzi gniew i sprzeciw. Za najlepszych uważa się bijących zawsze brawo! We mnie taka reakcja budzi wstręt — przypomina mi bowiem *meeting*'i komunistyczne. Od Akademii Nauk aż po zwykłe zebranie „robocze”, oklaski... oklaski... które

zresztą zapoczątkowane były zawsze przez tzw. prezydium. Jakże by inaczej? Z dala od wszystkich spraw popieram z mej skromnej emerytury to co pozostanie po nas: Bibliotekę, *Wiadomości*, POSK, Teatr, odczyty literatów i dziennikarzy.

Te ostatnie — to rozrywki kulturalne. Słowo! Polskie słowo w morzu obcości tak konieczne! Wciąż go brak. Nie ma spotkań na temat przeczytanych dzieł polskich pisarzy. Np. — ostatnia książka J. Mackiewicza: „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”. Głuche milczenie jest odpowiedzią na tę wspaniałą książkę. Grajdołek się boi. Tym bardziej to denerwuje, że kler katolicki w kraju, uważa, iż wiele jest tam spraw niepokojących, aktualnych, dziejących się w tej chwili, a nie jakichś tam bajek, czy plotek. Najbardziej się nie podoba w kraju przysięga księży emigracyjnych przed władzami PRL'u, a raczej pracujących na emigracji. Wielu z nas — emigrantów oburzało się na to od początku. Zaczęło się od nakazu głosowania wydanego przez ks. kardynała klerowi świeckiemu i zakonom. Stało się! Ale czy musi to trwać? Nie wiem. Chce się o tych sprawach coś usłyszeć. A tu nic, grobowa cisza!

Owszem, można posłuchać o Mirewiczu. Ale wiadomo, że choć to kapłan bardzo światły, nie może niczego powiedzieć, co byłoby niezgodne z postawą Watykanu. Dla mnie — wychowanki klasztoru sercanek w Liège (jedenaście lat, aż do matury) to całkowita rewolucja! Nie mogę pojąć postawy papieża, jego stosunku do komunizmu i komunistów.

Ale emigracja tkwi w szacunku dla wszystkich TABU. Polityczne, społeczne, finansowe, dlategożby więc nie tabu: Religia. Tak bowiem pojmuje większość. Mieszanie się w sprawy Watykanu, wydaje się nie do pomyślenia! Trudno! Tkwią w wieku najwyżej XVI-tym. Nie odróżniają wiary w Boga od ludzi w Watykanie urzędujących, a będących — tylko ludźmi.

A teraz jeszcze jedna sprawa, która cieszy raczej! Otóż dowiedziałam się z ogłoszenia w *Wiadomościach* o dwumiesięczniku *Krzyżówka*, wychodzącym w Sztokholmie! Prenumeruję już od miesięcy ten doskonale redagowany dwumiesięcznik, Marka Trokenheima.

Jest w tej *Krzyżówce* tyle odmian zadań do rozwiązania, że czekam na nowy numer z wielką niecierpliwością. Są tam krzyżówki, krypto-krzyżówki, magiczne, arytmografy, szyfrogramy, kombinagramy, diakrostychy, rozwiązania szachowe, karciane, przy tym bogactwo odmian krzyżówek: literackie, przyrodnicze, geograficzne, itp., itp.

Dla nas Polaków poza krajem, wielka pomoc w przypominaniu sobie słów polskich z różnych dziedzin. Przepiękna to i przemiła rozrywka.

Polecam *Krzyżówkę* każdemu, kto lubi łącać sobie troszkę głowę i stawia taką rozrywkę ponad filmy kryminalne czy wulgarne w telewizji.

Zrobi Pan — Panie Redaktorze ogromną przysługę nie tylko wydawcom, dobrym i pracowitym ludziom, ale i nudzącym się wieczorami, lub tym którym zaczyna brakować polskich słów, przypominając ten godny polecenia dwumiesięcznik.

Łączę wyrazy uznania i poważania,

M. E. BONCZA-TOMASZEWSKA

Johannesburg, 27 października 1975.

Drogi Panie Redaktorze!

Czytając w *Kulturze* o wizycie prezydenta Forda w Polsce zadałem sobie pytanie, gdzie podziała się ta odwaga, która porywała Polaków do heroicznych zrywów, często w imię utopijnych celów.

Nie wykorzystano możliwości dla okazania Fordowi i towarzyszącym mu osobom, że naród polski nigdy nie pogodził się z dykturą komunistyczną.

Wśród wielotysięcznego tłumu zabrakło odważnych, którzy by w czasie przejazdu Forda przez Warszawę rozwinęli transparenty: „*We want free Poland. — We want free elections.*”. Zachód i ujarzmione narody Europy Wschodniej przyjęłyby taką demonstrację polskiej myśli niepodległościowej z uznaniem i szacunkiem — być może, że jej oczekiwały.

Opowiadanie dowcipów politycznych, utyskiwanie w kolejkach sklepowych czy obojętność wobec zarządzeń władz to tylko mizerna namiastka biernego oporu wobec reżymu.

Nie wolno dopuścić do tego aby idea czynnego oporu — tak brutalnie zdławiona przez Bezpiekę — omamiona mętными hasłami ZBOWiD'u — uspiona kunktatorskimi tonami „Wolnej Europy” odeszła w legendarne groty rycerzy Giewontu i tam czekała na męża opatrnościowego, zaś karły — o których mówił prymas Wyszyński — wdarły się do mózgów i serc polskich.

Przesyłam wyrazy szacunku,

C. A. HALICKI

Londyn, 14 listopada 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako żona śp. prof. Romana Wajdy byłam świadkiem jego niestrudzonych wysiłków, dążących do połączenia bibliotek polskich w Londynie dla dobra całej społeczności emigracyjnej. Jako prezes Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego przeprowadził wiele rozmów z przedstawicielami Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w sprawie połączenia bibliotek, ale niestety trafiła na zdecydowane trudności z ich strony. Sprawozdania z tych rozmów są pieczołowicie przechowywane w archiwach POSK.

W liście do *Kultury* z listopada 1975 pan ambasador E. Raczyński stara się zrzucić winę za niepowodzenie rokowań na mego męża, który bronić się już nie może. Ocenę tego wystąpienia pozostawiam społeczeństwu. Na podstawie dokumentów historia oceni odpowiednio słuszność postępowania w sprawie połączenia bibliotek.

Na zakończenie chciałabym dodać, że mój mąż w sprawach POSK nigdy nie występował personalnie a zawsze w imieniu władz POSK. Wysoko sobie cenił, że mógł reprezentować opinie i decyzje grona oddanych działaczy społecznych pracujących dla POSK.

Z wyrazami poważania,

Olga WAJDOWA

P. Stanisław Żochowski prosi o podanie do wiadomości Czytelników, że nie współpracuje z *Tygodnikiem Polskim* w Melbourne.

Na skutek licznych zapytań naszych Czytelników ze Stanów Zjednoczonych wyjaśniamy, że *Kultura* nie współpracuje i nie ma żadnego kontaktu z wychodzącymi w Chicago pismami *Po Prostu* i *Wolna Polska*. Zamieszczane w nich przedruki czy ogłoszenia były drukowane bez naszej wiedzy i zgody.

Redakcja

## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1975

### Spis autorów

A. G., AGURSKI Michał, AKUŁA Kastus, Al., AMALRIK Andriej. — BARTŁOMIEJ, BĄCZKOWSKI Włodzimierz, B. B., B. H., BONIECKI Jerzy, BOŃCZA-TOMASZEWSKA M. E., BRODZIŃSKI Bohdan, BROMKE Adam, BRONSKI M., BRUKSELczyk, BRYLEWSKI Włodzimierz, BUJAŁSKI Alexander, BUSZA Andrzej, BYRSKI Zbigniew. — CHCIUK Andrzej, CHILECKI Andrzej, CHORAŻYNA Hanna, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERWIŃSKI Witold, CZYTELNIK Z KRAJU. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DĄBCZEWSKI Teodor, D. M., DOBROSTAŃSKI Jerzy, DUCH Bronisław, gen. — ERDMAN Marta. — FRENDEL Ludwik, FUNDACJA LANCKOROŃSKICH. — GARLIŃSKI Józef, G. H., GIDYŃSKI Józef, GŁOGOCZOWSKI Marek, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI George, GROSS Feliks, GRYNBERG Henryk, GUTOWSKI Antoni. — HALICKI C. A., HAUPT Zygmunt, HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HIRSZOWICZ Maria. — ISTNER Filip, IWANIUK Wacław, IWANŃSKA Alicja. — JANKOWSKI Jerzy, JASIŃSKI Zbigniew, JAWORSKI Władysław, JECHOVA Hana, JELEŃSKI Konstanty Aleksander, JENNE Benjamin Józef, JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC. — KAŁUSKI Marian, KARAIBSKI Stefan, KATELBACH Tadeusz, KATZ-HEWETSON Janina, KILKU TURYSTÓW Z POLSKI, KLATOVSKY Karel, KOŁAKOWSKI Leszek, KOŁYMSKI Tadeusz, KORASZEWSKI Andrzej, KORNICKI F., KORWIN Artur, KOSIK Karel, KOSZELIWEĆ Iwan, KOTT Jan P., KOWALSKA Janina, KOWALSKI Marian, KOZŁOWSKI Henryk P., KRAJEWSKI Wojciech, KRAJOWIEC, KRÓLIKOWSKI A., KRÓTKI Karol, KRUCZEK Adam, K. S., KURECKA Maria, K. W. — LANGROD Jerzy St., LEWANDOWSKI Józef, LEWICKYJ Borys, LICHTEN Józef, LIEBERT W. J., LITWIN Aleksander. — ŁOBODOWSKI Józef,

ŁOKAJ Bronisław, ŁUCZEŃCZYK Andrzej, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MAKSIMOW Władimir, MANELI Mieczysław, MARCINKOWSKI Stefan, MAREK Zdzisław, M. B., MEINHARDT Lesław M., MIEROSZEWSKA Monika, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MORAWSKI Dominik, MOSZCZYŃSKI Wiktor. — NASIELSKI Adam, N. N., N. N. Z WARSZAWY, NOWAK Grażyna, NOWAKOWSKA Krystyna. — OSSOWSKI Zygmunt, OSTROWSKI Janusz W. — PELIKAN, P. EMIGRANT, PROKOP Myrosław. — RACZYŃSKI Edward, RAINA Peter, REDAKCJA, ROSS Michał, ROZENBAUM Włodzimierz, RUDZYŃSKI Aleksander Witold, RUDNYTSKY Ivan L. — SAKOWSKI Juliusz, SASKOWROŃSKI Mieczysław, SCHERER Olga, SILONE Ignazio, SOBONIEWSKI Stefan, SOJKA Wojciech, Ks., SOLARZ Irena, STALIŃSKI Tomasz, STYPUŁKOWSKA Alexandra, SUFFERT Georges, SUKIENICKI Wiktor, SULIMIRSKI Tadeusz, SZADKOWSKI Zygmunt, SZWEDOWICZ Karol. — SMIEJA Florian. — TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tymon. — VINCENZ Andrzej. — WAGNER J. K., WANDYCZ Piotr, WAJDOWA Olga, WANKE B., WIRPSZA Witold, WISTI Maria, WOYNO Czesław, W. S., W. W., WYRWA Tadeusz. — ZAMORSKI Kazimierz, ZBYSZEWSKI Waclaw Alfred, ZWADA Jan. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL Edmund.

### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

AMALRIK Andriej: *USA i ZSSR w jednej łodzi* (12/339), przeł. z rosyjskiego M. B.  
 BARTŁOMIEJ: *Cienie zapomnianych przodków* (5/332).  
 BONIECKI Jerzy: *A bal na pokładzie Titanica trwa* (3/330).  
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Finis Britanniae* (1/328-2/329).  
 BRUKSELCZYK: *Widziane z Brukseli* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 12/339).  
 DĄBCZEWSKI Teodor: *Jakiej pragnąć Polski* (1/328-2/329).  
 GŁOGOCZOWSKI Marek: *Postępowcy i reakjoniści* (1/328-2/329).  
 GUTOWSKI Antoni: *Ludzkość na zwrotnym punkcie* (1/328-2/329).  
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Na marginesie ostatniej książki Sacharowa* (12/339).  
*Miara odpowiedzialności* (Deklaracja pisarzy rosyjskich) (9/336).  
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *List do Czytelników* (11/338).  
 — *Materiały do refleksji i zadumy* (5/332, 6/333).  
 — *Materiały do refleksji i zadumy* (Utracone sprawy — Utopie — Wizje — Gigantomachia — Dewolucja) (4/331).  
 — *Za nami — przed nami* (1/328-2/329).  
 MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 11/338, 12/339).  
 M. B. (tłumacz) ob. Amalrik Andriej.  
*Obserwatorium: Program — Obszar ULB — „Kontynent”* (3/330).  
 REDAKCJA: *Pieczęć* (9/336).

— *Potrzeba realna* (1/328-2/329).  
*Wydarzenia miesiąca* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 11/338, 12/339).

### Co robić?

CZYTELNIK Z KRAJU: *List do Redakcji* (5/332).  
 HIRSZOWICZ Maria: *O politycznej roli inteligencji* (7/334-8/335).  
*Inauguracyjna dyskusja w londyńskim Klubie „Kultury”* (7/334-8/335).  
 JESZCZE JEDEN KRAJOWIEC: *Czy w Polsce jest możliwa opozycja?* (7/334-8/335).  
 KILKU TURYSTÓW Z POLSKI: *Jeszcze o wyborach* (11/338).  
 KOŁAKOWSKI Leszek: *O nas samych* (6/333).  
 KORASZEWSKI Andrzej: *Komunizm a reformacja* (9/336).  
 KOWALSKI Marian: *O potrzebie programu* (5/332).  
 KRAJOWIEC: *Parę uwag w kwestii socjalizmu* (5/332).  
 LITWIN Aleksander: *Ani opozycja ani ruch oporu* (10/337).  
 — *Czy „polityczna opozycja”?* (5/332).  
*Od Redakcji* (5/332).  
*Perspektywy polskie* (9/336).  
 ROSS Michał: *Kilka uwag do programu* (11/338).  
 WIRPSZA Witold: *Frekwencja wyborcza* (11/338).  
 — *Jaki jest sens emigracji?* (10/337).  
 WYRWA Tadeusz: *Kolega to zrobi...* (7/334-8/335).  
 ZWADA Jan: *Poprawki, uzupełnienia, propozycje* (6/333).

### Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria (tłumacz), ob. SUFFERT Georges.  
 HERLING-GRUZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/328-2/329, 4/331, 7/334-8/335, 10/337, 11/338).  
 JELEŃSKI K.A.: *Od bosości do nagości* (10/337).  
 KURECKA Maria: *Tomasz Mann* (6/333).  
 MAREK Zdzisław: *Przyptywy i odpływy Europy* (12/339).  
 MIŁOSZ Czesław: *Ogród nauk* (3/330, 11/338).  
 — *Zdania* (6/333).  
 PELIKAN: *Lepiej niż gorzej i na odwrót* (3/330).  
 SUFFERT Georges: *Sens życia* (6/333) przeł. z francuskiego Maria Danilewicz Zielińska.

### Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

GOMBROWICZ Witold: *Historia* (10/337).  
 HAUPT Zygmunt: *Szpica* (7/334-8/335).

- KATELBACH Tadeusz: *Nad Wentą* (11/338).  
 KOWALSKA Janina: *Vivat Regina!* (7/334-8/335).  
 LUCZENCZYK Andrzej: *Dereś* (9/336).  
 — *Łyżka* (9/336).  
 — *Pierwsza zmiana* (9/336).  
 — *Synowie* (9/336).  
 — *Więzienie* (9/336).  
 STALINSKI Tomasz: *Ludzie z Akwarium* (12/339).

### Utwory poetyckie

- BUSZA Andrzej: *Kohelet* (12/339).  
 IWANIUK Waław: *Cytatomania* (1/328-2/329).  
 — *Do Ikara* (1/328-2/329).  
 — *Drogowskaz* (1/328-2/329).  
 — *Myśli wierszem i prozą spisywane na wewnętrzny użytek* (1/328-2/329).  
 — *Nemesis idzie pustymi drogami* (1/328-2/329).  
 MIŁOSZ Czesław: *Cezarea* (9/336).  
 — *Dowód* (9/336).  
 — *Podziw* (9/336).  
 — *Studium samotności* (9/336).  
 — *Udane życie* (9/336).  
 — *Upadek* (9/336).  
 — *Widok* (9/336).

### Sprawy krajowe

- „Czarna lista” polskiego dziennikarstwa (5/332).  
 Demokracja (9/336).  
 GIDYŃSKI Józef: *Neostalinizm bez terroru* (11/338).  
 GUTOWSKI Antoni: *Inflacja w samą porę* (5/332).  
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 11/338, 12/339).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Międzynarodowa konferencja etniczna w Krakowie* (12/339).  
 KORWIN Artur: *Po nas choćby trawnik...* (7/334-8/335).  
*Kronika gospodarcza* (12/339).  
*Niszczenie filmowych materiałów archiwalnych w PRL* (7/334-8/335).  
*Obecna sytuacja gospodarcza w Polsce* (11/338).  
*Orenburski wiatr* (7/334-8/335).  
 OSSOWSKI Zygmunt: *Neostalinizm bez terroru* (6/333).  
 STYPULKOWSKA Alexandra: *Wokół projektu ustawy psychiatrycznej* (1/328-2/329).  
*Tajemnica państwowa* (7/334-8/335).  
*Traktory* (9/336).

- Wiadomości* (6/333).  
*Wrażenia z pobytu w Polsce* (10/337).

### Sąsiedzi

- Ameryka i Bałtowie* (7/334-8/335).  
 BRYLEWSKI Włodzimierz: *Białoruś* (Odpowiedź Redakcji) (10/337).  
 D. M.: *Kronika słowacka* (9/336, 10/337).  
 — *Kronika ukraińska* (4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335).  
 G. H. i K. S.: *Kronika czeska i słowacka* (7/334-8/335).  
 GÖMÖRI George: *Kronika węgierska* (1/328-2/329).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Spotkanie z Niekrasowem* (5/332).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Kronika ukraińska* (1/328-2/329).  
 JECHOVA Hana: *Kronika czeska i słowacka: Przypisana do ziemi* (4/331).  
 KLATKOVSKY Karel: *Czeska kultura lat ostatnich* (6/333).  
*Konsulat PRL w Kijowie* (11/338).  
 KOSIK Karel: *List do J.-P. Sartre'a, przeł. z czeskiego Józef Lewandowski* (11/338).  
 KOSZELIWEĆ Iwan: *Kronika ukraińskiego oporu* (1/328-2/329).  
*Kronika ukraińska* (3/330, 9/336).  
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 11/338, 12/339).  
 LEWANDOWSKI Józef: *Memoriał Vaclava Havela* (12/339).  
 — (tłumacz) ob. KOSIK Karel.  
 MAKSIMOW Władimir: *Wzruszająca jedynomyślność* (10/337).  
 M. B.: *Ośrodek ukraiński w Harvardzie* (11/338).  
 MORAWSKI Dominik: *Jeszcze Ukraina nie zginęła* (4/331).  
 — *Kronika litewska* (1/328-2/329).  
 — *Kronika ukraińska* (12/339).  
 N. N. z WARSZAWY: *Wypisy i przypisy o Rosjanach* (6/333).  
 REDAKCJA: *Litwa: Zgryźliwe echo przeszłości* (10/337).  
 SILONE Ignazio: *Akt rewolucyjny* (12/339).  
 SUKIENICKI Wiktor: *Białoruskie czasopisma na Zachodzie* (3/330, 4/331).  
 — *Białoruskie rozbiecie i „legalizm”* (3/330, 4/331).  
 — *Białoruskie rozbiecie — Trzecia siła* (5/332).  
 — *Kronika białoruska* (1/328-2/329).  
 SZWEDOWICZ Karol: *Kronika czeska* (10/337).  
 — *Kronika czeska i słowacka* (3/330).  
 W. S.: *Kronika litewska* (6/333).  
 ŻAGIELL E.: *Kronika litewska* (3/330, 4/331, 7/334-8/335, 9/336, 12/339).

### Polemiki

- SUKIENICKI Wiktor: *Enver Pasza* (1/328-2/329).

**Sprawy i troski**

- Apel POSK'u do społeczeństwa (10/337).  
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Co zostanie z polskiego Londynu?* (12/339).  
 CHCIUK Andrzej: *Polacy w Nowej Zelandii* (9/336).  
*Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie w roku 1974* (7/334-8/335).  
 GARLIŃSKI Józef: *Na zachodniej półkuli* (4/331).  
 GIDYŃSKI Józef: *Przedwojenne pożyczki zagraniczne* (9/336).  
 JANKOWSKI Jerzy: *Czyżby zmiany na lepsze* (9/336).  
 — *Kronika francuska* (4/331).  
 — *Opowiadanie o polskim życiu kulturalnym we Francji* (7/334-8/335).  
 JASIŃSKI Zbigniew: *Testament i krzywda R. Gronowskiego* (7/334-8/335).  
 KRAJEWSKI Wojciech: *Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy* (10/337).  
 NOWAK Grażyna: *List z Londynu* (6/333, 11/338).  
 OSTROWSKI Janusz W.: *Kongres naukowców polskich w Montrealu* (12/339).  
 P. EMIGRANT: *Raptularz londyński* (4/331, 5/332).  
*Poradnik dla turystów* (4/331).  
 SOJKA Wojciech, ks.: *Amerykańska Częstochowa* (6/333).

**Ci co odeszli**

- LANGROD Jerzy St.: *Jan Wolski* (9/338).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Zahora* (1/328-2/329).  
 NASIELSKI Adam: *Marek Romański* (4/331).  
*Pamięci Stefana Starzyńskiego* (1/328-2/329).  
*Prof. Dr Roman Wajda* (3/330).  
 SUKIENNICKI Wiktor: *Juliusz Epstein* (9/336).  
 WANDYDZ Piotr: *Wspomnienie o moim ojcu* (1/328-2/329).  
*Z przemówienia gen. B. Duchy* (3/330).  
*Zygmunt Haupt* (7/334-8/335).

**Kronika kulturalna**

- BROŃSKI M.: *Odpowiedź* (7/334-8/335).  
 — *O filozofii Bierdiajewa* (1/328-2/329).  
 CZAPSKI Józef: *Sładem Piniego* (7/334-8/335).  
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Najlepsze pismo slawistyczne* (3/330).  
 — *Rozważania o literaturze zwanej „emigracyjną”* (12/339).

- *W 30-lecie polskiej literatury na obczyźnie* (6/333).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Wywiad z dr. T. Brzezińskim* (3/330).  
*Józef Mackiewicz a nagroda Nobla* (3/330).  
 KATELBACH Tadeusz: *O Wańkowiczu bez szminki* (4/331).  
 KOZŁOWSKI Henryk P.: *Położenie nauki w Kraju* (3/330).  
*„Modern Poetry”* (6/333).  
 RAINA Peter: *Dedecius i Lisiecka o literaturze emigracyjnej* (6/333).  
 TARNAWSKI Wit: *Zakazane szkice Conrada* (1/328-2/329).  
 WIRPSZA Witold: *Demoralizacja szlachetna* (7/334-8/335).  
 W. W.: *Neostalinizm w „Poezji”* (4/331).  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Profesorowie U.I. w latach dwudziestych* (1/328-2/329).

**Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze**

- BRODZIŃSKI Bohdan: *Stara linia w nowym wydaniu* (7/334-8/335).  
 BROŃSKI M.: *Laur i Ciemność* (5/332).  
 — *Metateza Marka Głogoczowskiego* (6/333).  
 — *Socjalizm dla dorosłych* (7/334-8/335).  
 BYRSKI Zbigniew: *„Poland” Mariana Brandysa* (1/328-2/329).  
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Dedecius* (10/337).  
 — *Krajowe nowości wydawnicze* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 7/334-8/335, 9/336, 11/338).  
 GÖMÖRI George: *József Lengyel: buntownik i świadek* (10/337).  
 GRYNBERG Henryk: *Próba wysokiej wartości* (11/338).  
 HAUPT Zygmunt: *Dziś, przedwczoraj, jutro* (1/328-2/329).  
 HELLER Michał: *Sołżenicyn i Lenin* (11/338).  
 HIRSZOWICZ Maria: *Normalizacja* (6/333).  
 IWAŃSKA Alicja: *Rozsmakowani w Meksyku* (4/331).  
 JAWORSKI Władysław: *Ajdukiewicz po angielsku* (1/328-2/329).  
 — *W sprawach życia i śmierci* (6/333).  
 KARAIBSKI Stefan: *Satyryk na ambonie* (12/339).  
 KATZ-HEWETSON Janina: *A ten dom — to kraj cały* (6/333).  
 — *Cyganeria świetna, ale nie ostatnia* (11/338).  
 — *Książka nienapisana* (10/337).  
 — *„My” i „Oni”* (5/332).  
 — *Polak wieczny tułacz* (7/334-8/335).  
 — *W krajowej prasie literackiej* (3/330).  
 KOŁYMSKI Tadeusz: *Świat niewolnictwa i jego literatura* (5/332).  
*Koniec świata Olgi Pietrownej* (11/338).  
 KRÓCZEK Adam: *„Bodło cię dąb...”* (3/330).  
 — *„Iz pod głyb”* (1/328-2/329).  
 — *Krótko o książkach* (6/333, 12/339).  
 — *Uwagi Czytelnika* (3/330).  
 LEWANDOWSKI Józef: *Książka o Bierucie* (7/334-8/335).  
 — *Szkice o rosnącej ideologii* (7/334-8/335).

Nadestane nowości wydawnicze (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 7/334-8/335, 9/336, 11/338, 12/339).

NASIELSKI Adam: *Od Marxa do Alexa* (7/334-8/335).

ROZENBAUM Włodzimierz: *Anatomia przewrotów komunistycznych* (9/336).

SCHERER Olga: „*Język ich stał się nam obcy*” (12/339).

SOJKA Wojciech, ks.: *Balcerowi następcy* (12/339).

SUKIENNICKI Wiktor: *Mała rosyjska miłościna Wilno* (6/333).

*Visitez l'URSS* (9/336).

ŻAGIELL E.: *Encyklopedia Lithuanica* (7/334-8/335).

— *Przez pryzmat nienawiści* (3/330).

### Listy do Redakcji

AGURSKI Michał (i Odpowiedź Redakcji) (9/336), AKUŁA Katus (7/334-8/335, 11/338), AL. (12/339), BĄCZKOWSKI Włodzimierz (4/331), BOŃCZA-TOMASZEWSKA M. E. (12/339), BROMKE Adam (1/328-2/329), BUJALSKI Alexander (11/338), CZAYKOWSKI Bogdan (9/336), CHORAŻYNA Hanna (7/334-8/335), CZERWIŃSKI Witold (1/328-2/329, 4/331), ERDMAN Marta (3/330, 6/333), FRENDL Ludwik (5/332), GUTOWSKI Antoni (3/330), HALICKI C. A. (12/339), IWANIUK Wacław (10/337), JASIŃSKI Zbigniew (7/334-8/335, 9/336, 10/337), JELEŃSKI K. A. (11/338), JENNE Benjamin Józef (7/334-8/335), KAŁUSKI Marian (10/337), KATZ-HEWETSON Janina (11/338), KORASZEWSKI Andrzej (11/338), KORNICKI F. (9/336), KOTT Jan P. (10/337), KRÓLIKOWSKI A. (3/330), KRÓTKI Karol (3/330), K. W. (4/331), LEWANDOWSKI Józef (9/336), LICHTEN Józef (11/338), LIEBERT W. J. (10/337), LIST NADEŚLANY Z KRAJU (5/332), ŁOKAJ Bronisław (3/330), ŁUKOMSKI Kazimierz (1/328-2/329), MANELI Mieczysław (1/328-2/329), MARCINKOWSKI Stefan (7/334-8/335), MEINHARDT Lesław M. (5/332), MIEROSZEWSKA Monika (7/334-8/335), MOSZCZYŃSKI Wiktor (3/330), NASIELSKI Adam (5/332), N. N. (7/334-8/335), NOWAKOWSKA Krystyna (3/330), PROKOP Myrośław (4/331), PRZEDSTAWICIELE ŻYCIA SPOŁECZNEGO NA EMIGRACJI — MIESZKAŃCY ANTOKOLU (Odpowiedź REDAKCJI) (3/330), RACZYŃSKI Edward (11/338), ROZENBAUM Włodzimierz (7/334-8/335), RUDNYTSKY Iwan L. (4/331), RUDZIŃSKI Aleksander Witold (5/332, 7/334-8/335), SAKOWSKI Juliusz (1/328-2/329), SAS-SKOWROŃSKI Mieczysław (3/330), SOJKA Wojciech, Ks. (5/332, 9/336), SOBONIEWSKI Stefan (3/330), SOLARZ Irena (10/337), SUKIENNICKI Wiktor (7/334-8/335), SULIMIRSKI Tadeusz (3/330), SZADKOWSKI Zygmunt (3/330), ŚMIEJA Florian (7/334-8/335, 11/338), TERLECKI Tymon (11/338), VINCENZ Andrzej (9/336), WAGNER J. K. (10/337), WAJDOWA Olga (12/339), WANDYCZ Piotr (5/332), WANKE B. (6/333), WISTI Maria (5/332), WOYNA Czesław (3/330), ZAMORSKI Kazimierz (3/330), ZARZĄD

FUNDACJI LANCKOROŃSKICH (11/338), — ODPOWIEDZI REDAKCJI (3/330, 6/333).

### Tłumaczenia

#### Z języka czeskiego

KOSIK Karel: *List do J.-P. Sartre'a* (11/338), przeł. Józef Lewandowski.

#### Z języka francuskiego

JECHOVA Hana: *Kronika czeska i słowacka — Przypisana do ziemi* (4/331), przeł. Zofia Hertz.

SUFFERT Georges: *Sens życia* (6/333), przeł. Maria Danilewicz Zielińska.

#### Z języka rosyjskiego

AMALRIK Andriej: *USA i ZSSR w jednej todzi* (12/339), przeł. M.B.

### Komunikaty

*Fundusz Pomocy Dzieciom Więźniów Politycznych w ZSSR* (11/338).

*Komunikat o tomie II-im „Archipelagu GULag”* (9/336).

*Komunikat POSK'u* (7/328-8/329).

*Nowy cennik Biblioteki „Kultury”* (6/333).

REDAKCJA: *Apel do Czytelników* (9/336).

— *Do Czytelników „Kultury”* (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 7/334-8/335).

— *Do Prenumeratorów* (11/338, 12/339).

REDAKCJA „KULTURY”: *Historia emigracji* (3/330).

*Z ostatniej chwili: Postscriptum do artykułu Brukselczyka* (5/332).

### Bibliografia

*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1975* (12/339).

### Noty biograficzne

JAWORSKI Władysław (6/333).

KRAJEWSKI Wojciech (10/337).

KURECKA Maria (6/333).

MAREK Zdzisław (12/339).



## Różne

- Sprostowanie (1/328-2/329, 12/339).  
 Sprostowania Redakcji (12/339).  
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/328-2/329, 3/330, 4/331, 5/332, 6/333, 7/334-8/335, 9/336, 10/337, 11/338, 12/339).  
 Wyjaśnienia (12/339).

**Wydawnictwa książkowe w roku 1975**  
**« Biblioteka Kultury »**

- Tom 252 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 31-szy), str. 240.  
 Tom 253 — Korboński Stefan: *Polskie Państwo Podziemne* (Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945), str. 288.  
 Tom 254 — Tarniewski Marek: *Ewolucja czy rewolucja*, str. 288.  
 Tom 255 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 32-gi), str. 240.  
 Tom 256 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 33-ci), str. 240.  
 Tom 257 — Danilewicz Zielińska Maria: *Bibliografia* („Kultura” 1958-1973; „Zeszyty Historyczne” (1962-1973); *Działalność wydawnicza* (1959-1973), str. 432.  
 Tom 258 — Sołżenicyn Aleksander: *Archipelag GULag*, Tom II-gi (Cz. III i IV), str. 608.  
 Tom 259 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 34-ty), str. 240.  
 Tom 260 — Sacharow Andriej: *Mój kraj i świat* (Poślowie Leszka Kołakowskiego).

*Sprostowanie:* W Indeksie za rok 1974 (*Kultura* Nr 12/327), w dziale „Wydawnictwa książkowe” podaliśmy jako tom 252 „Biblioteki Kultury” „Bibliografię” Marii Danilewicz Zielińskiej, mieliśmy bowiem nadzieję, że będzie się mogła ukazać w końcu 1974 roku. Ponieważ wydanie „Bibliografii” znacznie się opóźniło (wyszła jako tom 257) numeracja z konieczności uległa zmianie.

Dla orientacji Czytelników podajemy tytuły głównych artykułów, zamieszczonych w 4-ch *Zeszytach Historycznych* wydanych w 1975 roku:

- Zeszyt 31-szy — Bogusław Miedziński: *Polityka wschodnia Północnego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Żagiell: *Kronika litewska*; płk Zygmunt Borkowski: *Wspomnienia 1939-1943* (c.d.); Stanisław Wachowiak: *Wspomnienia*; Roman Buczek: *PRL w 1946 roku*; Z. S. Siemaszko: *O Polakach w ZSSR*; Stefan Benedykt: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; W. T. Drymmer: *Wspomnienia*.

- Zeszyt 32-gi — *Świadectwo Smrkowskiego* w opr. Gustawa Herling-Grudzińskiego; J. Lewandowski: *Podróż za miedzę*; Bogusław Miedziński: *Wspominając Sawinkowa*; W. Masłowski: *Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa*; gen. Antoni Szylling: *O Kampanii Wrześniowej*; Lucjan Szulkin: *O powstaniu i upadku „Ghetta podziemnego”*; działy: *Wrzesień 1939, Dokumenty, Okrucy historii*.  
 Zeszyt 33-ci — B. Miedziński: *Moje wspomnienia* (I); J. Lewandowski: *Między historią a współczesnością*; K. Smogorzewski: *Eugeniusz Kwiatkowski*; T. Żenczykowski: *Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jalty*; St. M. J. Komorniki: *Fragmenty pamiętnika Stanisława Downarowicza*; Z. Borkowski: *Wspomnienia*; E. J. Czerniawski: *Z mojej służby w Belwederze*; W. Rostański: *Wspomnienia z niewoli w Niemczech*; M. Borwicz: *Trzydzieści lat temu*; dział *W obcych oczach*.  
 Zeszyt 34-ty — Józef Garliński: *Konferencja w Belgradzie*; Tadeusz Katelbach: *Północny i Sosnkowski*; Roman Buczek: *Udział delegacji polskiej w Konferencji Poczdamskiej w 1945 roku*; Bogusław Miedziński: *Moje wspomnienia* (II); dział *Dokumenty: List Rady Zakładowej Stoczni Szczecińskiej do MSW; Przemówienie tow. Wiśtawa na plenarnym posiedzeniu KC PPR 3. 6. 1948 roku; Wyjaśnienia Wł. Gomułki w związku z jego referatem i projektem rezolucji Biura Politycznego*.

## DO PRENUMERATORÓW „KULTURY” I „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Nie podwyższając prenumerat na rok 1976 zmuszeni jesteśmy, na skutek dewaluacji w niektórych krajach, wyrównać ją do ceny frankowej, czyli prenumeratę *Kultury* do F. 120,00 rocznie (F. 65,00 — półrocznie), a prenumeratę *Zeszytów Historycznych* do F. 80,00 rocznie. Jeśli idzie o Stany Zjednoczone, Kanadę i inne kraje, w których prenumerata obliczana jest w dolarach USA, prenumerata roczna *Kultury* wynosi w tej chwili Dol. 28,00, półroczna Dol. 15,00, a prenumerata *Zeszytów Historycznych* Dol. 19,00. Wszystkich tych, którzy zapłacili już abonament na rok 1976 bardzo prosimy o nadesłanie różnicy.

Specjalna prośba do naszych bezpośrednich prenumeratorów w Kanadzie: dotąd za inkaso czeku w dolarach kanadyjskich, płatnego w Kanadzie, niezależnie od kosztów inkasa, płaconych w naszym banku, banki kanadyjskie potrącały — z niewiadomych nam powodów — około Dol. 1,00 - 1,30 od każdego czeku, nawet najmniejszego. Obecnie banki kanadyjskie podwyższyły ten „harcz” do Dol. 2,00 - 2,80. Jest to sytuacja dla nas zupełnie katastrofalna, ponieważ jeżeli ktoś przysłał nam czek za książkę np. na Dol. 4,00, to w ogóle nie opłaca się go dać do inkasa. Prosimy zatem usilnie o przysyłanie nam należności albo *międzynarodowym przekazem pocztowym* albo *czekiem bankowym wystawionym we frankach i płatnym w Paryżu*, jak to już zresztą wielu naszych prenumeratorów robi. Rozumiemy, że to jest pewien kłopot, ale prosimy zrozumieć naszą sytuację.

Dziękujemy z góry za pomoc.

REDAKCJA KULTURY



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury” Bohdan BRODZIŃSKI,  
 87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Tel.: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffite.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
 Dépôt Légal : 4<sup>e</sup> Trimestre 1975.

### PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata		lub równoważność
		1/2-roczna	roczna	
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23 .....	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00	
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724 .....	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00	
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00	
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00	
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00	
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00	
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00	
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00	
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 .....	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00	
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00	
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.  
 Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,  
 par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

TOM 258 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# ARCHIPELAG GUŁag

Tom II (Część III i IV)

PRZEKŁAD MICHAŁA KANIEWSKIEGO

Str. 608.

Cena F. 65 (z przesyłką F. 72,50)



TOM 259 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT TRZYDZIESTY CZWARTY

Zawiera m.in. następujące prace: Józef Garliński: *Konferencja w Belgradzie*; Tadeusz Katelbach: *Piłsudski i Sosnkowski*; Roman Buczek: *Udział delegacji polskiej w Konferencji Poczdamskiej w 1945 roku*; Bogusław Miedziński: *Moje wspomnienia (II)*; dział *Dokumenty*: *List Rady Zakładowej Stoczni Szczecińskiej do MSW*; *Przemówienie tow. Wiesława na plenarnym posiedzeniu KC PPR 3. 6. 1948 roku*; *Wyjaśnienia Wł. Gomułki w związku z jego referatem i projektem rezolucji Biura Politycznego*, oraz *Działy: POLEMIKI, KRONIKA, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI*.

Str. 240.

Cena F. 25 (dol. USA 6,75)